

Duncan Judith

Małżeństwo według Marii

Miłosne manewry

Mitchell Munroe nie miał lekkiego życia. Przy każdej okazji członkowie licznej rodziny czynili przytyki do jego wolnego stanu, uważając, że powinien się ożenić. On miał odmienne zdanie. Zasłaniał się brakiem czasu - prowadzenie Centrum Ogrodniczego wymagało pełnej dyspozycyjności. Zaszły jednak pewne okoliczności i musiał ulec: poślubił Marię, przyjaciółkę rodziny, aby zapobiec odesłaniu jej do Meksyku. Miał to być czysto formalny związek, dlaczego więc Mitchell śni o Marii i coraz bardziej jej pragnie?

ROZDZIAŁ 1

20 lutego

Rzęsiście oświetlona hala przylotów międzynarodowego terminalu lotniczego w Calgary pękała w szwach. Ponad jednostajny szum, na który składały się gwar rozmów oraz szczeł wózków bagażowych, wybijał się co chwila głos spikerki podającej kolejny komunikat.

Przez ogrodzone linami przejście przesuwał się rząd grubo ubranych pasażerów o nieruchomych twarzach i spowolnionych ruchach. Sprawiali wrażenie oszołomionych tym męczącym hałasem.

Za rzędem kiosków i małych sklepików znajdowała się poczekalnia. Tu na odmianę panowała przytłaczająca cisza. Z zewnątrz sączyło się przyćmione światło. Szary, zimowy dzień zdawał się pozbawiać świat koloru i energii.

Ciężkie płatki śniegu ześlizgiwały się po szklanych taflach, sięgających od sufitu do posadzki, zostawiając na nich mokre ślady. Za oknami, na tle szaro-białego krajobrazu wyraźnie rysowały się różowe kałuże płynu rozmrażającego oraz szafirowe kombinezony naziemnej obsługi.

6

Mitchell Munroe jednym szarpnięciem rozpiął puchową kurtkę i usiadł na ostatnim wolnym fotelu pod oknem. Świadomość, że ma mokre spodnie, wzmagająca jeszcze jego irytację. Kiedy przed chwilą wyszedł, żeby wrzucić kolejną monetę do parkometru, furgonetka z hot dogami wjechała w sam środek kałuży, opryskując go mokrą breją od pasa w dół. Była to ostatnia kropla, która przepełniła kielich gorzkości.

Poprzedniego wieczoru matka nagrała mu wiadomość, że wracają i proszą, żeby ktoś po nich wyjechał na lotnisko, i to najlepiej furgonetką. A ponieważ w całej rodzinie tylko on miał samochód dostawczy, a poza tym to on wysłał rodziców na zimowy urlop do Meksyku, naturalnym biegiem rzeczy jemu przypadło to zadanie.

Nie miał zresztą nic przeciwko temu, bo i tak liczył się z tym, że będzie musiał ich przywieźć.

Irytowało go wyłącznie to, że ich przylot coraz bardziej się opóźniał. De pożytecznych rzeczy mógłby zrobić w tym czasie, gdy beczynn timer tkwił w tej ponurej poczekalni! Była to oczywiście jego własna wina. Przed wyjazdem powinien był sprawdzić kanał lotniczy w telewizji. Ale robiło się już bardzo późno, a on musiał jeszcze zamontować tylne siedzenia w furgonetce. Teraz miał za swoje. Okazało się, że samolot ma bardzo duże opóźnienie. Próbując stłumić kolejny przypływ złości, rozprostował nogi i ze styropianowego kubeczka upił spory łyk czarnej, gorącej kawy, napawając się jej aromatem. Przynajmniej kawa okazała się całkiem przyzwoita, a jemu rzeczywiście potrzebny był

7

solidny zastrzyk energii. Był na nogach od piątej rano, czyli od momentu, kiedy odezwał się system alarmowy w jego szklarniach. Obowiązki związane z prowadzeniem dużego centrum ogrodniczego często spędzały mu sen z powiek. Dzisiaj, na przykład, zepsuł się automat sterujący ogrzewaniem. Temperatura spadła, uruchamiając system alarmowy. Awaria musiała nastąpić w jednej ze szklarni, w których hodował rośliny ozdobne i egzotyczne.

Na szczęście, jego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze centrum, dlatego mógł być na miejscu dosłownie w chwilę po tym, jak włączył się alarm. Strach pomyśleć, co by to było, gdyby stracił kilka furgonetek delikatnego towaru. Dobrze też, że na dworze nie było na przykład minus trzydzieści, bo wtedy mógłby stracić wszystko. Przy takich warunkach zewnętrznych temperatura w szklarniach potrafiła w ciągu kilku minut spaść nawet poniżej zera. No tak, mogło być gorzej. Znacznie gorzej... Mitch upił łyk kawy i wygodniej usadowił się w krześle. Mimo wszystko nie powinien narzekać. Ostatnio szczęście wybitnie mu sprzyjało. Miał za sobą ciepłą wiosnę i lato, a i zima, jak na razie, była wyjątkowo łagodna. Ponadto nigdy dotąd sezon gwiazdkowy nie wypadł tak korzystnie. A w dzień świętego Walentego padł rekord. Tak... chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że ostami rok był dla niego bardzo udany.

W tej właśnie chwili jego księgowa - i jednocześnie szwagierka - siedziała w biurze i robiła kolejny bilans. I z tego, co zdążył zobaczyć przed wyjściem, jasno wyni-

8

kało, że jest lepiej, niż przypuszczał. A to oznacza, że będzie mógł zatrzymać wszystkich pracowników aż do wiosny, kiedy znów zacznie się ruch w interesie. Dzięki ci, Boże, westchnął, bo ponad wszystko nienawidził zwalniać swoich ludzi. Od wielu lat nie musiał tego robić i miał nadzieję, że tak już zostanie. Zatrudniał na stałe sześć sprawdzonych osób, bez których nigdy nie osiągnąłby takich zysków. Ludzie ci ciężko pracowali i byli rnu oddani - i to nie tylko z powodu świątecznych premii, ale głównie dlatego, że mając na utrzymaniu rodziny, cenili sobie regularne wypłaty i stałą pracę również poza sezonem.

Mitch wypił kolejny łyk kawy, odstawił kubek i zerknął na zegarek. Samolot powinien wylądować za jakieś piętnaście minut. Odprawa potrwa pewnie kolejne dwadzieścia. Czyli w najlepszym wypadku rodzice pojawią się za jakieś pół godziny.

Westchnął z rezygnacją i przemknął wzrokiem po kioskach otaczających poczekalnię. Jego uwagę przykuł wysoki blondyn przeglądający kolorowe czasopismo przy stojaku na gazety.

Mężczyzna ubrany był w ciemną, skórzaną kurtkę. Na głowie miał czarny kowbojski kapelusz, spod którego wymykały się długie, jasne włosy. Ze swoim wysokim wzrostem i szerokimi barkami zdecydowanie wyróżniał się pośród tłumu. Miał pociągłą twarz nordyckiego wojownika, uparty irlandzki podbródek z dziurką i kołyszący się chód rewolwerowca. Poza tym, już na pierwszy rzut oka widać było, że to musi być ktoś niezwykły.

9

Dwie stewardesy, mijając go, odwróciły głowy, żeby się lepiej przyjrzeć postawnemu blondynowi. Mitch z uśmiechem zauważył, że omal nie skręciły sobie przy tym karku.

Tymczasem jasnowłosey macho odłożył pismo na stojak, a potem zniecierpliwiony zerknął na zegarek. Pstrykając palcami, przeciął poczekalnię, minął Miteha, niemal ocierając się o niego, i zatrzymał się przed szklaną ścianą. Wsunął ręce do kieszeni i wbił wzrok w wirujące płatki śniegu.

Mitch dokończył kawę, wrzucił kubek do kosza na śmieci, a potem zwrócił się do rosnącego blondyna:

- Nie stać cię na fryzjera, co?

Mężczyzna zakłósał się na piętach i odsłaniając w uśmiechu równe, białe zęby, odparł:

- Zawsze jesteś taki ordynarny czy coś cię ugryzło?

- Wyglądasz jak opryszek wyjęty spod prawa. Murphy Munroe odwrócił się i mrugnął znacząco.

- Nie możesz tego znieść, że jestem od ciebie przystojniejszy, prawda, braciszku?

Mitch potrząsnął głową, tłumiąc śmiech. Wiedział doskonale, że mimo dzielących ich piętnastu miesięcy mogli uchodzić za bliźniaków. Często przydarzało im się to w czasach ich nieokiełznanej młodości. Nawet ich babce zdarzało się pomylić braci. I nie tylko jej. Zwłaszcza po ciemku.

- Nie męczysz cię to, że tak się tu obnosisz ze swoją osobą? - zwrócił się sucho do brata.

Murphy zaśmiał się. Odwrócił się i oparł o szybę.

10

- Muszę coś zrobić. Nie mogę tak stać beczynn timer, bo mnie rozsadza energia. - Znowu spojrział na zegarek. - Jest jakaś szansa, że ten nieszczęsny samolot wreszcie wyląduje?

- Przestań narzekać - ofuknął go Mitch. - Jesteś tu dopiero od pięciu minut.

Murphy obrzucił go długim, na poły badawczym, na poły rozbawionym spojrzeniem.

- Co się tak czepiasz? Należało zadzwonić do informacji, zanim się tu wybrałeś. Nie trzeba być szczególnie byстрыm, żeby na to wpaść. - Znow zaczął nerwowo pstrykać palcami. - Mam dość tego gapienia się na śnieg. Idę na dół.

Mitch także się poderwał.

- Tak. Chodźmy. Lecą pierwszą Masą, więc może nam się poszczęści i odprawią ich na początku.

- Akurat - prychnął Murphy. - Znasz naszą mamę. Nie wyjdzie, zanim się nie upewni, że wszystkie staruszki, sieroty i zabłąkane psy mają zapewnioną opiekę. Podróż z nią to jak wycieczka z organizacją charytatywną.

Chcąc nie chcąc, Mitch musiał przyznać mu rację. Ellen Munroe zawsze uważała, że jej obowiązkiem jest matkować całemu światu.

Zjechali windą na niższy poziom, skąd roztaczał się widok na stanowiska odpraw. Spory tłum czekał na pasażerów spóźnionych samolotów. Mitch westchnął z rezygnacją. A niech to diabli! Sądząc po liczbie oczekujących, załatwiano właśnie pasażerów jumbo jęta linii międzynarodowych albo kilku mniejszych samolotów, które przyle-

11

ciały jednocześnie. A to oznaczało tylko jedno, że odprawa potrwa znacznie dłużej niż pół godziny. Po wyjściu z windy obaj mężczyźni skierowali się ku stalowym barierkom, oddzielającym halę od automatycznie rozsuwanych drzwi z matowego szkła. Brnąc za bratem przez zbity tłum, Mitch czuł, że cały kurczy się w sobie. Nienawidził tłumów. Tych napierających ze wszystkich stron ciał i świdrujących w uszach głosów. Miał wrażenie, jakby znalazł się w jakimś olbrzymim ulu.

Wreszcie udało mu się znaleźć trochę wolnej przestrzeni pod kolorową tablicą reklamującą uroki kanadyjskich parków narodowych. Zatknął kciuki za pas i oparł się o ścianę. Wzrok jego padł na dwie młode kobiety w tradycyjnych strojach, składających się z białych kapeluszy kowbojskich, białych koszul i białych kamizelek. Krążyły pośród tłumu jako uosobienie kanadyjskiej gościnności. Czytał kiedyś w gazecie, że były to wyłącznie wołonta-riuszki. Pomyślał, że byłoby to wręcz idealne zajęcie dla jego matki.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Murphy. - Przecież tu nie ma nic śmiesznego.

Mitch wskazał wzrokiem na jedną z hostess.

- Pomyślałem sobie tylko, że powinniśmy kupić mamie biały kapelusz i kamizelkę i wypuścić ją tutaj. Byłaby w siódmym niebie.

W oczach Murphy'ego zapaliły się łobuzerskie błyski. Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie waż się szydzić z naszej matki, Mitchellu An-

12

drew - odezwał się, naśladowując akcent ich zmarłego, irlandzkiego dziadka - bo ci pokażę, gdzie raki zimują.

Mitch skarcił brata spojrzeniem, a potem znowu ogarnął wzrokiem halę przylotów. Jego wysoki wzrost dawał mu tę przewagę, że mógł zobaczyć więcej niż inni. Ponad głowami tłumu patrzył teraz na wypływający z za bramki strumień barwnych kapeluszy i chustek, jaskrawych kurtek narciarskich oraz ciemnych płaszczy, rozlewający się w morze falującego koloru. Wyglądało to jak jakiś olbrzymi impresjonistyczny obraz.

Przez otaczający go tłum przepychało się ze śmiechem małe, śniade dziecko. Za nim sunęła starsza dziewczynka, która ewidentnie karciła chłopczyka po hiszpańsku. Patrząc na dzieci, Mitch nagle otrzeźwiał i zaczął się zastanawiać, jak jego rodzicom udała się wyprawa.

Matka nie wspominała nic na ten temat, kiedy mu się nagrała, a on nie chciał wypytywać tych członków rodziny, którzy rozmawiali z rodzicami przez telefon w trakcie ich miesięcznych wakacji. Mógł tylko mieć nadzieję, że wyprawa ta nie okazała się jedną wielką pomyłką. Przelot pierwszą klasą do Meksyku i miesiąc zimowych wakacji był gwiazdkowym prezentem. Ale tak naprawdę nie dlatego Mitch wysłał rodziców na południe.

Jego rodzice za pośrednictwem pewnej organizacji kościelnej od lat sponsorowali osierocone dzieci w Ameryce Łacińskiej. Nie wiedział, ile ich było, ale znalazła się wśród nich osoba wyjątkowa, inna niż wszystkie.

Miał wtedy jakieś piętnaście lat - czyli musiało to być

13

dwadzieścia pięć lat temu - kiedy jego rodzice zaopiekowali się Marią. Dowiedzieli się o jej istnieniu od pewnego pracownika organizacji opiekuńczej, który powrócił właśnie do Calgary. Dziewczynka została sierotą, kiedy miała dwa latka, i chowała się odtąd u niewidomej, kalekiej babki.

Mimo iż nie miały niczego, obu udało się jakimś cudem przeżyć w slumsach największego miasta na świecie. Kiedy rodzina Munroe po raz pierwszy o niej usłyszała, Maria miała już prawie pięć lat.

Sytuacja dziewczynki pogorszyła się do tego stopnia, że stała się ona w praktyce jedyną żywicielką i opiekunką niedołążnej babki. Państwo Munroe zaczęli wtedy przysyłać pieniądze na utrzymanie ich obu, na przyzwoite mieszkanie, wyżywienie i ubranie. Z czasem organizacja miała się również zająć zapewnieniem Marii należytego wykształcenia.

Tak się to wszystko zaczęło. Jednak w przeciwieństwie do tak zwanych adopcji zaocznych - może dlatego, że cała sprawa została zaaranżowana prywatnie - ich więź z Marią nigdy nie uległa rozluźnieniu. I choć Maria nie była przecież ich krewną, to z czasem stała się jedną z nich.

Wiedząc, że znajomość angielskiego otworzy przed dziewczynką dodatkowe możliwości, państwo Munroe załatwili jej lekcje tego języka u księdza prowadzącego katolicką szkołkę misyjną. Maria była prześlicznym dzieckiem o olbrzymich, poważnych oczach. Na zdjęciach wyglądała znacznie poważniej niż jej rówieśnicy. Uczyła się doskonale, co potwierdzały szkolne świadectwa. Robiła też

14

duże postępy w nauce angielskiego, czego dowodem były listy.

Maria nie przestała przysyłać swoim dobroczyńcom długich, szczegółowych listów ani wtedy, kiedy skończyła szkołę i zaczęła pracować dla zamożnych Amerykanów, którzy przyjeżdżali do Meksyku na wakacje, ani później, gdy w wieku lat siedemnastu wyszła za mąż. Więzy łącząca rodzinę Munroe z ich wychowanką zacieśniła się do tego stopnia, że jedna z sióstr Mitchella nauczyła się hiszpańskiego, żeby móc się lepiej porozumiewać z Marią.

Kiedy przed trzynastu laty Maria wychodziła za mąż za Pedra Rodrigueza, państwo Munroe polecili do Meksyku na jej ślub. Związek ten z początku bardzo ich niepokoił. Pedrp był ponad dwadzieścia lat starszy od Marii i miał już dwóch małych synków. To zrozumiałe, że chcieli czegoś więcej dla swojej pupilki. Jednak koniec końców Pedro zdobył ich sympatię i zaufanie i obie rodziny nadal utrzymywały jak najlepsze kontakty.

Rok po ślubie Maria straciła babkę. Państwo Munroe z najstarszymi dziećmi pojechali na jej pogrzeb. Uważali Marię niemal za swoją córkę, a ich dzieci traktowały ją jak \ siostrę. Jej zdjęcie stało na kominku wśród zdjęć innych członków rodziny. Z biegiem lat ze ślicznej dziewczynki wyrosła egzotyczna piękność.

A potem, nagle, kontakty zaczęły się rozluźniać. Mąż Marii zmarł przed dwoma laty, po długiej walce z rakiem, jednak zmiany zaczęły się już z chwilą, kiedy zachorował.

15

Maria pisała coraz rzadziej, ale państwo Munroe kładli to na karb stresów związanych z chorobą męża.

Kiedy Ellen i Patrick Munroe otrzymali od księdza z misji wiadomość o śmierci Pedra Rodrigueza, chcieli natychmiast lecieć do Meksyku. Jednak Maria okazała się nieugięta. Przekazała im - również przez księdza - wiadomość, że prosi, aby nie przyjeżdżali, a oni, rzecz jasna, dostosowali się do jej życzenia. Mitch natomiast nigdy nie przestał zadawać sobie pytania, dlaczego nie chciała mieć ich wtedy przy sobie. Po śmierci Pedra Maria pisywała coraz rzadziej, a jej listy były coraz krótsze, aż w końcu w ogóle przestały przychodzić. Ellen Munroe bardzo to przeżywała. Martwiła się o Marię, a z drugiej strony nie chciała jej się narzucać.

W tych latach Mitch latał parokrotnie do Meksyku w interesach i nawet zastanawiał się, czyby nie sprawdzić, co porabia Maria, ale w końcu doszedł do wniosku, że lepiej nie mieszać się w nie swoje sprawy, co zresztą było jego życiową dewizą.

Mitch wyprostował się z westchnieniem, po czym wsunął ręce do kieszeni. To prawda, że starał się zachować dystans, jednak nie aż do tego stopnia, żeby nie zauważać, co się dzieje wokół niego. I tym razem to on, uważany za niezbyt bystrego pod tym względem, pierwszy zorientował się, że jego matka cierpi.

Nic nikomu nie mówiąc, postanowił coś z tym zrobić. Wziął sprawę w swoje ręce i na Boże Narodzenie ofiarował rodzicom bilety lotnicze do Meksyku. Mieli spędzić

16

tam zimowe wakacje. Nawet Maria nie mogła im tego zabronić. A kiedy już tam będą, czemu nie mieliby przy okazji odwiedzić swojej przybranej córki? Jak Maria mogłaby mieć coś przeciwko temu? Tak to sobie przynajmniej Mitch wyobrażał. Było to, jego zdaniem, logiczne. Tyle tylko, że logika często prowadziła go na manowce.

Nagle uświadomił sobie, że on i Murphy stoją w identycznej pozie - ramię przy ramieniu, na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i ze wzrokiem wbitym w szklane, matowe drzwi. Czasami porażało go to ich fizyczne podobieństwo.

Tłum zakołysał się, jakby podświadomie przeczuwając, że lada chwila drzwi się otworzą, wypuszczając spóźnionych pasażerów, po czym runął na stalowe barierki. Mitch pomyślał, że jeśli coś nie zacznie się wreszcie dziać, oszaleje.

W tym momencie drzwi rozsunęły się nareszcie, wypluwając pojedynczego pasażera z wózkiem bagażowym, na którym leżał gigantyczny plecak oraz para nart. Na widok zgromadzonych tłumów młody chłopak zerwał z głowy fioletowo-żółtą, błazeńską czapkę narciarską, i wyszczerzając zęby w uśmiechu, nisko uklonił się oczekującym. Wszyscy wybuchnęli śmiechem; gdzieś tam rozległy się nawet oklaski. Mitch patrzył na chłopaka i usiłował sobie przypomnieć, czy w ogóle był kiedyś taki młody.

Drzwi otworzyły się ponownie. Grupa pasażerów opuściła czeluście komory celnej. Mitch zacisnął pięści. Przy takim tempie nie doczekają się rodziców przed północą.

Na szczęście, nie było aż tak źle. O godzinie ósmej

czterdzieści siedem, kiedy na dworze panowały już ciemności, w drzwiach pojawiła się kolejna grupa pasażerów, wśród których byli również państwo Munroe, z podwójną ilością bagażu.

Jak na komendę Mitch i Murphy wyprostowali się i ruszyli w ich stronę. Na ich widok twarz matki rozświetliła się ciepłym uśmiechem. Zostawiła ojcu oba wózki z bagażem i z otwartymi ramionami rzuciła się ku synom.

Matka to była chodząca instytucja. Mitch wprawdzie dobiegał czterdziestki, ale przy niej zawsze czuł się, jakby miał dziesięć lat. Teraz uściskała go serdecznie, jak to zawsze robiła, a on wziął ją w objęcia i ze wzruszeniem powiedział;

- Witaj w domu, Ma.

Matka poklepała go po policzku, po czym odwróciła się, by przywitać się z drugim synem.

- Tak się cieszę, że przyszliście obaj - powiedziała rozpromieniona. - Nie macie pojęcia, jak dobrze znowu być w domu.

Murphy roześmiał się i wziął od niej torbę.

- Zmienisz zdanie, kiedy zobaczysz, co się dzieje na dworze. Tu jest inaczej niż w tropikach.

- Nie szkodzi - odparła matka. - Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Mitch podszedł do ojca, żeby mu pomóc pchać wózki. Patrick Munroe obdarzył obu synów niedźwiedzim uściskiem, a potem cofnął się i zaczął szarpać wózkami w tę i z powrotem.

18

- Niech mi ktoś powie, jak to się dzieje - powiedział na poły rozbawionym, na poły poirytowanym tonem - że zawsze dostaję wózek z kwadratowym kółkiem.

- Taki już twój los, tato - roześmiał się Murphy. Mitch chwycił drugi wózek i ruszył do wyjścia.

- Chodźmy stąd wreszcie. Furgonetka stoi z tej strony.

- Zaczekaj, Mitch - odezwała się matka dziwnym tonem.

Odwrócił się i za plecami ojca zobaczył kilka osób -ewidentnie pochodzenia latynoamerykańskiego - stłoczonych jak grupka zalęknionych zakładników. Uwagę jego przykuła poważna młoda kobieta o klasycznym owalu twarzy i olbrzymich, czarnych oczach. Była wyższa niż kobiety tej rasy. Pomyślał, że pewnie sięgałaby mu do ramienia. A w jej twarzy i ciemnych, przepastnych oczach było coś takiego, co z miejsca uruchomiło dzwonek alarmowy w jego głowie. Poczuł dziwny skurcz żołądka. Opanowała go paniczna chęć ucieczki.

Serce zaczęło mu bić zdecydowanie zbyt szybko i nagle jakby przestało mieścić się w piersi. Nie mogąc znieść spojrzenia tych fascynujących oczu, zmieszany, odwrócił wzrok i spróbował przyjrzeć się reszcie grupy. Prócz młodej kobiety w jej skład wchodził przygarbiony staruszek o białych jak śnieg włosach oraz dwóch śniadych, przystojnych nastolatków. Mitch spojrzał na matkę pytającym wzrokiem. W jej oczach dostrzegł podekscytowanie, a także cień nadziei, że sam domyśli się, o co chodzi. Kompletnie zdezorientowany raz jeszcze zlustrował wzro-

19

kiem całą grupę. A potem nagle go olśniło. Spojrzał na młodą kobietę i nogi się pod nim ugięły. Był durniem, sądząc, że wyprawa do Meksyku zaspokoi rozbuchane macierzyńskie instynkty jego matki. Jak mógł się tak pomylić!

Zerknął na brata. Na twarzy Murphy'ego malowało się identyczne osłupienie.

W końcu Mitch wziął się w garść i przyoblókł twarz w maskę, która - taką miał przynajmniej nadzieję - stwarzała wrażenie stoickiego spokoju. Teraz nie będzie się już musiał martwić o to, co dzieje się w Meksyku. Ten Meksyk będzie miał od dziś w Calgary.

Olbrzymie, ciemne oczy, które od pierwszej chwili tak go zafascynowały, należały do Marii Rodriguez. I nie spoglądały już na niego z fotografii. To była ona. We własnej osobie. Mimo iż stał o kilka kroków od niej, mimo grubej, zimowej kurtki, niemal namacalnie wyczuwał ciepło jej skóry. Poczul się, jakby dostał obuchem w łeb. Z drugiej strony, było to dość pouczające doświadczenie. Nigdy dotąd nie sądził, że potrafi funkcjonować w stanie kompletnego zamroczenia. Tymczasem okazało się to możliwe. A wszystko wzięło się stąd, że rodzice tak nieoczekiwanie podzucili im tę bombę. Kto inny potrafiłby przywieźć do domu całą meksykańską rodzinę, nie uprzedzając o tym reszty domowników? Tylko oni!

Matka, rozpromieniona macierzyńskim uśmiechem, wzięła Marię za rękę i przyciągnęła ją bliżej.

- Znasz przecież Marię.

Mitch pomyślał, że nie była to do końca prawda. Znał jedynie jej twarz, uśmiechającą się do niego z fotografii na kominku. A tego nie dało się porównać z tą poważną osobą, która stała teraz przed nim, najwyraźniej zdenerwowana. Murphy powiedział parę słów i uściśnął jej rękę, ale Mitch nadal trzymał zaciśnięte pięści w kieszeniach. Nie pójdzie na to. Za żadne skarby.

Nie potrafił powiedzieć, jak to się stało, że przebrnął przez całą ceremonię powitania, nie popełniając większych głupstw. Ale jakoś mu się to udało. Poza poważną, nerwową Marią rodzice przywieźli do Calgary jej dwóch pasierbów, szesnastoletniego Roberta i dwa lata młodszego Enrica. Chłopcy także zbili go z pantafelku. Nigdy by nie przypuszczał, że tak świetnie mówią po angielsku. Niemal tak dobrze jak ich przybrana matka. Nie tak ich sobie wyobrażał. A właściwie, w ogóle ich sobie nie wyobrażał, bo się ich po prostu nie spodziewał.

Siwowłosy starzec o bystrym, jasnym spojrzeniu okazał się teściem Marii. Liczył sobie siedemdziesiąt osiem lat i podobnie jak jego zmarły syn nosił imię Pedro. Mówił dość kiepską angielszczyznę z silnym akcentem. Kiedy się witali, Mitcha zdumiała siła uścisku jego zdeformowanej artretyzmem ręki.

Cała ta sytuacja, która spadła na nich tak nieoczekiwanie, sprawiła, że Mitch poczuł się jak człowiek, który przeszedł pranie mózgu. Rozmyły się kontury otaczającego go tłumu; barwy i dźwięki zlały się w jedno. Jak przez

mgłę widział matkę, która mówiła coś, ale nie był w stanie wyłowić ani jednego słowa. Istny koszmar! A jednak jakoś funkcjonował w tym wszystkim i w którymś momencie udało im się z bratem zebrać wszystkich do kupy i zaprowadzić do furgonetki, a potem załadować bagaże.

W tym czasie rodzice zachowywali się tak, jakby powrót do domu z czwórką Meksykan był najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Żadne z nich nie czuło się w obowiązku rzucić bodaj słówko wyjaśnienia. Mitch nie był zresztą wcale pewny, czy chciałby je usłyszeć. Tam, gdzie w grę wchodziła jego rodzina, na ogół bezpieczniej było nic nie wiedzieć. Poza tym tak naprawdę to nie jego sprawa. Gdyby nawet rodzice zażyczyli sobie sprowadzić do Kanady całą meksykańską wioskę - to ich problem. Są przecież dorośli i nie potrzebują niczyjego pozwolenia. Tak, zdecydowanie lepiej było o nic nie pytać.

On sam postara się jak najszybciej z tego wykręcić. Nadarzała się zresztą świetna okazja. I tak wszyscy nie zmieszczą się w furgonetce. W tej sytuacji najsensowniej będzie, jeśli Patrick Munroe zawiezie swoich gości furgonetką, a on wróci z Murphym jego samochodem. Podał nawet taką propozycję. Gdyby to od niego zależało, wołałby jak najdłużej zostać w ukryciu.

Po odjeździe furgonetki bracia wreszcie zostali sami. Wsiedli do wozu Murphy'ego i na długą chwilę zastygli w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ciemność. Pierwszy odezwał się Murphy:

- Co tu jest grane?

Mitch nagle poczuł, że cały jest zlany potem. Rozpiął puchową kurtkę.

- Nie mam pojęcia.

Potrząsając głową, Murphy przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył światła, a potem wsteczny bieg.

- Moim zdaniem to jakaś tajemnicza sprawa.-Odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę. - Nie uważasz, że powinni byli nas uprzedzić o swoich zamiarach? A oni postawili nas wobec faktu dokonanego. -

Wyjechał z parkingu, zmienił bieg i skręcił na drogę prowadzącą z lotniska do miasta. - Dzięki Bogu/ że Jordan czeka na nas w domu. Nie wiem jak ty, ale ja czuję się jak kaczka, której ktoś spuścił wodę ze stawu.

Mitch doskonale rozumiał brata. Sam nie lubił niespodzianek. Wiedział też, że nigdy ich nie polubi.

Świadomość, że Jordan będzie w domu, kiedy tam przyjadą, sprawiła mu pewną ulgę.

Jordan, żona Murphy'ego, a także księgowa Mitcha, obdarzona była wyjątkową intuicją i potrafiła taktownie rozładować nawet najbardziej napiętą atmosferę. Ona z pewnością będzie wiedziała, co począć z tą bombą, którą rodzice im podrzucili. Bo on umywa od tego ręce.

Mitch lubił Jordan. Miał z nią znacznie lepszy kontakt niż z którąkolwiek ze swoich trzech sióstr.

Jordan wiedziała, kiedy nie należy naciskać, czuła też, kiedy trzeba zostawić go w spokoju. Tak, najlepiej będzie, jeśli Jordan zajmie się tą sprawą. On zabierze furgonetkę i wróci do domu.

Spojrzał na brata. Murphy zachowywał się jak świeżo upieczony kierowca, który po raz pierwszy zasiadł za kierownicą. Jechał z najniższą dopuszczalną prędkością, skrupulatnie dostosowując się do wszelkich przepisów ruchu drogowego. Mimo niemiłego skurczu w żołądku Mitch uśmiechnął się. Jak się okazuje, są różne sposoby na to, żeby nie znaleźć się na linii ognia.

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, przed domem nie było nikogo. Na ulicy stał sportowy samochód Jordan. Bracia wymienili spojrzenia i odetchnęli z ulgą.

Jordan powitała ich w progu. Jedno dziecko trzymała na rękę, drugie, starsze, chwyciło ją za nogę. Miała na sobie stary sweter, który nie krył zaawansowanej ciąży, i włosy w nieładzie. Mimo to na pierwszy rzut oka było widać, że to kobieta z klasą.

Na ich widok uśmiechnęła się wyrozumiale.

- No, no, wyglądacie, jakby ktoś was przepuścił przez wyżymaczkę. - Pogłaskała dwuletniego Jaya po głowie i przekazała go ojcu, a potem podsadziła wyżej rocznego Erica. Pocałowała Murphy'ego, a w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Strasznie długo trwało, zanim tu dotarliście. Którędy jechaliście, chyba przez Cochrane?

Mitch mimowolnie się uśmiechnął.

- Niezupełnie. Po prostu po raz pierwszy w życiu twój ukochany mąż prowadził jak człowiek przy zdrowych zmysłach. Nawet na żółtych światłach się zatrzymywał.

Jordan roześmiała się i poklepała męża po policzku.

- Ale z ciebie tchórz, kochanie. - Cofnęła się, żeby ich

wpuścić do domu, i wskazała na stos bagaży w holu. - To rzeczy Rodriguezów. Trzeba je znieść na dół. Mama uznała, że tam będzie im wygodniej, z uwagi na dodatkowe sypialnie i łazienki. A w tych walizkach są rzeczy rodziców. Zanieście je do ich sypialni.

Mitch od razu zdecydował, że nie ma zamiaru tknąć bagaży tych Rodriguezów, a co dopiero schodzić na dół. Zdjął mokre buty, zamknął za sobą drzwi, przeskoczył nad jakimś pudełkiem i sięgnął po walizkę. Jej ciężar omal nie wyrwał mu ręki ze stawów. Już miał zakląć, ale w samą porę przypomniał sobie o obecności małych bratanków.

- Cho... choroba, ale to ciężkie! Co oni tam zapakowali? Cegły?

Murphy odstawił z uśmiechem synka i sięgnął po jedno z pudeł.

- Dobrze ci tak. To kara za tchórzostwo. - Spojrzał na Jaya. - Chodź, synku. Pomożesz tatusiowi.

Mitch wykonał dwie tury do sypialni rodziców, a potem wstąpił do kuchni. Zastał tam matkę, która właśnie parzyła kawę. Kuchnia, jasna i przestronna, stanowiła centrum domu. Wszystko kręciło się wokół tego miejsca.

Przy drzwiach na patio stał okrągły stół, przy którym po rozłożeniu mogło zasiąść szesnaście osób. W roboczej części pomieszczenia znajdował się podwójny zlewozmywak, dwie kuchenki, podwójna lodówka, kuchenka mikrofalowa, drugi zlew oraz mnóstwo szafek. Ścianę naprzeciw drzwi zajmował kominek, obudowany półkami na książki. Wszędzie było pełno kwiatów, a w rogu, na podłodze z te-

rakoty, stały doniczki z tropikalnymi roślinami, pochodzącymi ze szklarni Mitcha.

Była to kuchnia wygodna i praktyczna, zaprojektowana z myślą o dużej rodzinie. Reszta domu mogła się zmieniać, ale nie kuchnia. W niej wszyscy czuli się najlepiej. Tu biło serce domu, a może nawet serce całej rodziny.

Teraz pogaszono wszystkie światła z wyjątkiem lampek pod szafkami i kuchnia tonęła w półmroku. Matka wyglądała na bardzo zmęczoną, a wokół jej ust rysowały się głębokie zmarszczki. Spojrzała na pierworodnego syna, a potem wróciła do swoich zajęć.

- Czuje, że masz mi coś za złe, Mitchell - stwierdziła ze spokojem.

- Nie mam ci nic za złe, Ma. To, co robisz, to nie moja sprawa.

Matka zamknęła puszkę z kawą i odstawiła ją na stół.

- Może i tak, ale znam to twoje spojrzenie. Co cię gryzie?

Mitch nie miał zamiaru tłumaczyć nikomu, a zwłaszcza matce, co go gryzie. Schował puszkę do szafki i wzruszył ramionami.

- Jak by tu powiedzieć... Trochę nas tym zaskoczyłaś, Ma. - Podniósł wzrok i napotkał jej badawcze spojrzenie.

Ellen Munroe patrzyła mu przez chwilę w oczy, a potem z westchnieniem przyznała:

- Wiem. To nie było z naszej strony fair, ale ojciec i ja baliśmy się, że będziecie próbowali nam ten pomysł wyperswadować. Maria kategorycznie nie chciała przyjąć od

nas żadnych pieniędzy. - Przerwała na moment, a potem ze smutkiem ciągnęła: - To, co zobaczyliśmy po przyjeździe, przeraziło nas. Oni żyli po prostu w nędzy. Długotrwała choroba Pedra pochłonięła wszelkie oszczędności, a na domiar wszystkiego Maria straciła pracę. Pamiętasz, pracowała u pary zamożnych Amerykanów. Zwolnili ją, kiedy już dłużej nie mogła godzić swoich obowiązków z opieką nad chorym mężem. - Ellen Munroe zamyśliła się na chwilę. - Krótko mówiąc - powiedziała, odpędzając przykre wspomnienia - Maria została bez środków do życia, z chorym mężem i dwójką pasierbów. Żeby mieli co włożyć do garnka, najęła się z chłopcami do pracy u hodowcy chryzantem. Zarabiali tak mało, że z trudem starczało im na najskromniejsze utrzymanie. Potem Pedro zmarł, Amerykanie wyprowadzili się na Kostarykę, a sytuacja w tej prowincji bardzo się pogorszyła i Maria nie mogła znaleźć lepszej pracy. Okazało się, że od śmierci męża pracowała w polu - jak wyrobnica! - Ellen znowu przerwała. Głos jej się załamał. Machinalnie skubiąc brzeg lnianej serwetki, dodała: - Byłam przerażona, kiedy się o tym dowiedziałam. Nie wiem, jak ona to wszystko znosiła. - Spojrzała z rozpaczą na Mitcha. - Któregoś dnia Roberto wyznał twojemu ojcu, że od dzieciństwa uczyli się angielskiego, żeby móc w przyszłości przenieść się do Kanady. Po śmierci Pedra odkładali każdy grosz na ten wyjazd. Co mogliśmy zrobić w tej sytuacji? - Ellen bezradnie rozłożyła ręce. - Uznaliśmy z ojcem, że nie możemy ich tak zostawić. Powiedzieliśmy im, że zabierzemy

ich do Kanady, a kiedy znajdą sobie pracę, będą mogli nam zwrócić poniesione koszty. Mitch wysłuchał matki i doszedł do wniosku, że lepiej od razu zdystansować się od tej smutnej historii.

- Ma - powiedział obojętnym tonem - to już wasza sprawa. Nie musicie się przed nami tłumaczyć. Skoro zdecydowaliście się przywieźć ich tutaj, *to* wasz problem. Kiedy podejmowaliście tę decyzję, nie pytaliście nas o zdanie. Jeżeli chodzi o mnie, nie zamierzam wściubiać w to nosa.

Ellen Munroe obrzuciła go uważnym spojrzeniem, a potem powiedziała:

- Jest pewna różnica między „wściubianiem nosa” a „angażowaniem się”. Nie jestem pewna, czy do końca ją rozumiesz. Człowiek nie żyje na bezludnej wyspie.

No tak, pomyślał Mitch. Zaczyna się stara, dobrze znana śpiewka.

- Nic z tego, mam - powiedział kategorycznym tonem. - Wybij to sobie z głowy. Poproszę o kluczyki. Wracam do domu. Mam co robić.

Ellen zdawała się nie przyjmować do wiadomości jego odmowy. Posłała mu wyrozumiały uśmiech, który zawsze go irytował, a potem odezwała się ze spokojem:

- Kluczyki są na stoliku w holu. Trudno prowadzić samochód, kiedy człowiek chowa głowę w piasek. Mitch bez słowa odwrócił się, chwycił kluczyki i kurtkę, głośno zatrzasnął drzwi i ciężkim krokiem ruszył do samochodu.

A kiedy już wsiadł do furgonetki, ulżył sobie, klnąc na cały głos. Nie musiał się kontrolować. Nie było przy tym małoletnich bratanków. Niech ją wszyscy diabli! Znowu chciała go zrobić! Czy oni nigdy nie zostawią go w spokoju? Jest przecież dorosły i wolno mu mieć swoje życie.

.Przekręcił kluczyk, dodał gazu i z piskiem opon ruszył sprzed domu. Nie zamierzał prowadzić tak kulturalnie jak jego brat.

Ujechał już spory kawał, a wciąż nie przestawał trząść się ze złości. Czemu nikt go nie rozumie? On ma swoją własną misję. A tą misją jest pilnować swoich spraw, w nadziei, że jego rodzina będzie robić to samo. Doskonale zdawał sobie sprawę, że co najmniej jedna trzecia jego krewnych uważa go za zranione zwierzę, część za dziwnaczalnego odludka, a reszta za egoistę i egocentryka.

Niestety, wszyscy oni byli w błędzie. Nie zaliczał się do żadnej z powyższych kategorii, a sposób, w jaki żył, najzupełniej mu odpowiadał. Nie miał najmniejszego zamiaru zmieniać status quo. Bo niby dlaczego? Był przecież bardzo zadowolony z życia.

Co z tego, że miał czterdziestkę na karku i był samotny? Raz już spróbował małżeństwa - a było to jakieś piętnaście lat temu - i przekonał się na własnej skórze, że to nie dla niego. Pierwsze dwa lata minęły bez większych problemów, ale potem wszystko diabli wzięli. A w połowie trzeciego roku on i jego żona skakali sobie do oczu jak dwa rozwścieczone kocury. Po pół roku tego koszmaru jego żona doszła do wniosku, że nic z tego nie wyjdzie i że

będzie lepiej dla nich obojga, jak się rozstaną. I nie chodziło o to, że do siebie nie pasowali. Rzecz polegała na czym innym. Żona chciała żyć wygodnie, a on był za młody i za głupi, żeby to zrozumieć. Zawsze musiał postawić na swoim. A to, co proponował, było jedną wielką pomyłką.

Po rozstaniu nie od razu wziął się w garść. Potrzebował dość dużo czasu, żeby się pozbierać. Ale w końcu i on zobaczył światełko w tunelu. Wtedy też zrozumiał, że jest najgorszym kandydatem na męża, jakiego można sobie wyobrazić. Był zbyt niezależny i nazbyt skupiony na sobie, by móc funkcjonować w jakimkolwiek związku. Może dlatego, że był najstarszym spośród szóstki rodzeństwa? A może dlatego, że był zbyt podobny do babki, która zawsze musiała grać pierwsze skrzypce? W małżeństwo nie można wchodzić z takim nastawieniem. Z tego wniosek, że nigdy nie powinien się żenić. A poza tym ten jeden raz już mu wystarczył.

Niestety, cała jego rodzina - no, może nie cała, ale na pewno jego rodzice i trzy siostry - podjęła zbiorowy wysiłek w celu znalezienia mu jakiejś kobiety, która byłaby tak zdesperowana, że wzięłaby go ze wszystkimi wadami. Uznali, że jego życie jest beznadziejne i puste. A przecież on był całkiem zadowolony.

A skoro tak, to czemu z taką irytacją reagował na ich docinki i aluzje w stylu „żaden człowiek nie żyje na bezludnej wyspie”? Czemu tak go złościły ich współczujące spojrzenia, sugerujące, że jest równie żałosny jak jego życie. Kiedy wreszcie nauczy się nie zwracać na nie uwagi?

W bocznym lusterku dostrzegł pulsujące czerwono-niebieskie światła. Opamiętał się i zmniejszył szybkość, ale było już za późno. Mandat za nadmierną prędkość miał już w kieszeni. Zjechał na pobocze i rozejrzał się wokoło. Był tak zaciętrzewiony, że dopiero po chwili zorientował się, gdzie jest. A był jakieś dwieście metrów od swojego centrum ogrodniczego.

Klnąc, sięgnął do skrytki i wyjął portfel, w którym miał dowód rejestracyjny i dowód ubezpieczenia. Kiedy policjant z drogówki podszedł do fargonetki, otworzył okno i podał mu dokumenty. Policjant przestudiował je z kamiennym wyrazem twarzy, którego z pewnością nauczył się w akademii policyjnej.

- To samochód dostawczy?

- Tak - odparł z westchnieniem Mitch. - Należy do mojej firmy.

- Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Mitch wyjął je z portfela i podał policjantowi. Dobijała go świadomość, że jest przepytany przez jakiegoś smarkacza, który mógłby być niemal jego synem.

- Gdzie się tak panu spieszyło?

Mitch spojrzał na młodego funkcjonariusza. Chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. A pracę swoją traktował tak poważnie, że pewnie nie uśmiechnął się ani razu od dnia, w którym wręczyli mu odznakę policyjną. Mitch nie miał pojęcia, co go podkusiło, ale wystawił głowę przez okno i zapytał:

- Powiedz mi, chłopcze, czy twoja matka też cię wkurza?

31

Ku jego zdumieniu, kamienną twarz policjanta rozjaśnił szeroki uśmiech.

- No jasne, że tak - odparł.

Mitch smętnie pokiwał głową i zapatrzył się w ciemność.

- Prawo jest prawem-westchnął.

Nie przestając się uśmiechać, policjant oddał mu papiery.

- W tej sytuacji poprzestanę na napomnieniu, panie Munroe. A na przyszłość radzę wracać od matki piechotą.

Mitch z trudem mógł uwierzyć, że tym razem wykpił się od mandatu. Rzucił dokumenty na półeczkę i pomyślał, że może jednak ten dzień nie był tak do końca nieudany. W końcu ile osób może się pochwalić tym, że spotkało policjanta z drogówki, obdarzonego poczuciem humoru? Odetchnął z ulgą, po czym podał policjantowi wizytówkę firmy.

- Wiesz co, chłopcze, zajrzyj do nas przed Dniem Matki. Przygotujemy twojej mamie taki bukiet, jakiego w życiu nie dostała. Będzie szczęśliwa.

Policjant wsunął wizytówkę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Obawiam się, że nie. - Znowu się uśmiechnął. - Chyba że do tego czasu zrobię ją babcią.

Zasalutował, odwrócił się i odszedł. Patrząc za nim, Mitch pomyślał, że może jednak wcale tak źle nie trafił, bo niektórzy mają jeszcze gorzej.

ROZDZIAŁ 2

25 lutego

tch siedział zgarbiony nad biurkiem, ze słuchawką przy uchu i ołówkiem w ręku. Z rozdrażnieniem przesunął stos katalogów ogrodnich na skraj blatu i pomyślał, że najwyższy czas, by dystrybutorzy wkroczyli w dwudziesty pierwszy wiek i zaczęli wreszcie używać Internetu.

Po chwili rzucił gniewnie słuchawkę i spojrzął na zegarek. Przez siedemnaście minut nie udało mu się uzyskać połączenia. Odebrał tylko wiadomość, przekazaną pocztą głosową. Co za dzień. Wystarczy, żeby człowiek miał ochotę się upić.

Zatknął ołówek za ucho i raz jeszcze popatrzył na zegarek. Potrzebował dwudziestu minut na sprawdzenie rozliczeń przygotowanych przez Jordan, ale musiał także pamiętać, że ma o trzeciej odebrać babcię od lekarza. I musi zdążyć, bo jeżeli nie będzie na nią czekał, babcia wsiądzie po prostu do autobusu i sama wróci do domu. Kochana staruszka już parokrotnie omal nie przyprawiła go o zawał serca.

33

Nagle zaburczało mu w brzuchu. Przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze lunchu. A to oznaczało, że będzie musiał zjeść coś na mieście, bo w lodówce na piętrze nie ma już nic. Absolutnie nic.

Rozejrzał się po gabinecie i doszedł do wniosku, że musi wreszcie zrobić z tym porządek. W jednym kącie leżała kupka zwiędłych roślin - stały dowcip jego pracowników - na półkach panował chaos, a szuflady biurka były permanentnie otwarte. Za to przynajmniej miał popłacone rachunki i korespondencja była prowadzona na bieżąco. Musiał przyznać, że nigdy by sobie nie poradził bez Jordan.

Znowu zerknął na zegarek i zaklął pod nosem. Cholera, jak ten czas leci. Całe przedpołudnie minęło mu nie wiadomo na czym.

- Co tam znowu mruyczysz? Wyglądasz, jakbyś chciał pożreć kogoś żywcem.

Mitch podniósł wzrok znad papierów i na widok siostry uśmiechnął się. Cora była jedną z bliźniaczek. Choć obie siostry na pierwszy rzut oka wyglądały identycznie, trudno było znaleźć dwie bardziej różne natury. Caroline była chłodna i rozsądna i lubiła, żeby ją zabawiać. Natomiast Cora, porywcza i bystra, pozowała na gwiazdę filmową z lat trzydziestych i to ona lubiła zabawiać innych. Już w dzieciństwie odgrywała całe spektakle przed widownią, którą stanowiła krytyczna Caroline. Obie dziewczyny po irlandzkim dziadku odziedziczyły ciemne włosy i szafirowe oczy. Cora miała także zadatki na projektantkę mody.

Gdy teraz stała oparta o drzwi, z dramatycznie wyciągniętymi rękoma, w czarnym obszernym płaszczu, z czarno-białym szalem i w czymś, co przypominało kozacką papachę, wyglądała, jakby zeszła z okładki żurnala.

Mitch z ironicznym uśmiechem odchylił się w krzesło i oparł nogi na przepelnionym koszu na śmieci.

- Czemu nie jesteś w swojej kancelarii? Znowu cię nosi? Pogotowie ratunkowe w akcji?

Cora była wziętą prawniczką i o ile Mitch się orientował, w całej swojej karierze zawodowej nie przegrała ani jednej sprawy. Mimo to nie przepuścił żadnej okazji, żeby jej dokuczyć. A to dlatego, że uparła się pełnić rolę pierwszej swatki w rodzinie i od lat bezskutecznie próbowała skojarzyć go z każdą wolną osobą płci żeńskiej między siedemnastym a siedemdziesiątym rokiem życia.

Cora opuściła ręce i spojrzała na niego z góry.

- Świetny dowcip, mój ty badylarzu. - Nagle porzuciła artystyczną pozę i spoważniała. Weszła do pokoju, rzuciła na krzesło elegancką torebkę, a sama rozsiadła się w fotelu, naprzeciw Mitcha.

- Mamy kłopoty.

Już sam jej ton mu się nie spodobał. Jeszcze bardziej ta liczba mnoga. Zwłaszcza że nie miał pojęcia, o co jej chodziło. Zachnął się lekko.

- Co to ma znaczyć?

Cora powoli zdjęła skórzane rękawiczki, po czym znowu spojrzała mu w oczy.

- Wiesz może, co się dzieje z Rodriguezami?

Mitch zakołysał się na krześle i bardzo z siebie zadowolony oświadczył:

- Nie. Nie mam pojęcia.

- No to lepiej, żebyś je miał.

To także mu się nie podobało. Wiedział jednak, że nie ma co Uczyć na to, żeby Cora potraktowała jego rezerwę jako protest przeciwko wciąganiu go w cudze sprawy. Nie pomylił się.

- Rodzice mogli mieć najszczerze intencje, ale zabrakło im zdrowego rozsądku. - Cora potrząsnęła głową, westchnęła, po czym z miną zaaferowanego adwokata ciągnęła: - Wydawało im się, że jak ich tu przywiozą, to największą przeszkodę będą już mieli za sobą. Użyli wszelkich wpływów, żeby załatwić im paszporty w tak krótkim czasie, co nie było łatwe, zwłaszcza w przypadku dziadka, którego jedynym dokumentem tożsamości było dotąd świadectwo chrztu. Paszporty mają ważność na dziewięćdziesiąt dni. Ale to już wszystko, co potrafili wymyślić. Trzeba było raczej załatwić Rodriguezom wizę turystyczną na sześć miesięcy, co zresztą także nie miałoby większego znaczenia. Bawiła się przez chwilę rękawiczkami, a potem znowu spojrzała na Mitcha.

- Tato uważa, że najgorsze już za nimi. Jest święcie przekonany, że wystarczy znaleźć Marii jakąś pracę i cała rodzina będzie mogła wystąpić o wizę pobytową. Tym bardziej że on i Ma będą ich wspierać finansowo. Ojciec

jest przekonany, że to wystarczy, by mogli tu zostać. Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna. Mitch zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Cora wzruszyła ramionami.

- Oni nie mogą wystąpić o wizę pobytową, będąc już w Kanadzie, Mitch - wyjaśniła z posępną miną. - Chyba Że chcieliby się starać o status uchodźców. A tego nie mogą zrobić, bo nie są uchodźcami. Poza tym, powiedzmy sobie szczerze, nie mają ani dostatecznych kwalifikacji, ani wystarczających środków, żeby móc liczyć na to, iż dostaną prawo stałego pobytu.

Zamknęła oczy i zaczęła masować sobie skronie, jakby chciała odpędzić migrenę. Potem głęboko odetchnęła i znów zwróciła się do brata:

- Tata i mama pokpili sprawę, a ja nie wiem, jak im to powiedzieć. Nie ma szans, żeby Rodriguezowie mogli tu zostać. O zamiarach rodziców dowiedziałam się dopiero dziś rano i mało na miejscu nie padłam trupem. Myślałam, że oni przyjechali tu na jakiś czas - to wszystko. Nie wiedziałam* że to miało być na zawsze. Co za krótkowzroczność! Brak mi po prostu słów!

Mitch popatrzył ze zrozumieniem na siostrę. Czuł już, do czego zmierza. Westchnął z rezygnacją. Ostatecznie tyle może dla niej zrobić.

- Mam z nimi porozmawiać?

- Chodzi nie tyle o rodziców - westchnęła Cora - co o tych chłopców. To takie fajne chłopaki. Przyjazd do

Kanady oznaczał spełnienie ich najskrytszych marzeń. Czy Ma mówiła ci o tym, że oszczędzali każdy grosz na wyjazd?

Mitch pokiwał głową.

- Boże! - jęknęła Cora. - Jak im powiedzieć, że nie mają szans?

W jej oczach malowała się taka rozpacz, że aż Mitchowi ścisnęło się serce. Spuścił wzrok i zaczął przekładać papiery na biurku. Znał dobrze swoją siostrę. Pamiętał, jak była mała i jej ukochanemu misiowi odpadła głowa. Płakała wtedy przez kilka dni. A przecież to nie to samo. Tutaj chodzi o ludzi, o ich przyszłość, o życie!

- Nie będziesz musiała im tego mówić - mruknął. - Wiemy też, jaki jest nasz tato. Najlepiej będzie, jak ja im to powiem.

Cora uśmiechnęła się blado i otarła oczy rękawiczką.

- To dobrze... ale prawdę mówiąc, tato nawet nie chce mnie słuchać. Jemu ciągle się zdaje, że ja mam sześć lat i bawię się lalkami. Może za to ciebie posłucha. - Wzięła głęboki oddech, żeby się jakoś opanować, i po chwili się podniosła. - Mam dla ciebie pewną propozycję. Wiem, że obiecałeś przywieźć babcię od lekarza. Ja po nią pojedę. Zadzwońię do niej, żeby ją uprzedzić. Zdaję sobie sprawę, że to niezbyt korzystna zamiana, braciszku, ale chociaż tyle mogę zrobić.

- Pamiętaj, że mam u ciebie dług - powiedział Mitch. - Jeśli będę czegoś potrzebował, to się do ciebie zgłoszę.

Cora prychnęła i sięgnęła po torebkę.

- To będzie zależało od stanu mojej pamięci, kochanie. Pamiętaj o tym!

Po wyjściu siostry w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Biura Imigracyjnego, żeby się jeszcze raz upewnić, jakie obowiązują przepisy. Potem się jednak rozmyślił. Tak naprawdę wcale nie chciał tego wiedzieć. W tej rodzinie raczej nie opłacało się być dokładnie poinformowanym. A poza tym Cora już mu wszystko powiedziała, a ona, jako prawniczka, z pewnością doskonale orientuje się w tych sprawach. On miał tylko przekazać pewną wiadomość. Reszta go nie obchodzi. Ani trochę. I nie pozwoli się w to wplątać.

Dochodziła piąta, kiedy wreszcie doprowadził wszystko do takiego stanu, że mógł już wyjść z w miarę czystym sumieniem. Centrum ogrodnicze było otwarte do dziewiątej wieczorem z wyjątkiem sobót i niedziel w sezonie zimowym. Na szczęście jego człowiek numer jeden - w tym wypadku akurat kobieta - miał dziś dyżur i poradzi sobie z zamknięciem sklepu. A to znaczyło, że może pojechać do rodziców. Nagle poczuł się jak żołnierz przed bitwą.

W powietrzu wisiała zamarznęta mgła, tworząc złotawe aureole wokół ulicznych latarni i barwiąc niebo na blady róż. Kiedy dojeżdżał do domu rodziców, na drzewach zaczął się osadzać szron, tworząc połyskującą powłokę. Do rana wszystko będzie nim pokryte, a nad strumieniem, który przecinał jego posiadłość, zrobi się naprawdę przepięknie.

Drzewa wokół domu rodziców opasane były łańcuchem białych żaróweczek. Nie była to jednak dekoracja świąteczna, tylko całoroczna, a wnuki Ma były zachwycone jej pomysłem. Bajkowe światełka babci. On sam też je lubił. Zwłaszcza teraz, kiedy wesoło migotały, obsypane szronem. Zaparkował na świeżo odmiecionym podjeździe, wysiadł z furgonetki, otworzył tylne drzwi i wyjął pakunek, starannie owinięty w gruby papier i plastik. Była to gardenia, cała w pąkach. Za kilka dni powinna rozkwitnąć. Ma na pewno będzie zachwycona.

Podszedł do drzwi frontowych, zastukał kołatką, po czym wszedł do domu, wnosząc ze sobą falę mroźnego powietrza. W korytarzu zdjął buty i rozpiął kurtkę.

- Mitchell! - Matka wyrosła przed nim jak spod ziemi. - Co za niespodzianka! Przyszedłeś w samą porę. Właśnie siadamy do kolacji. Zostaniesz z nami, prawda?

Kolacja? Przecież rodzice nigdy nie jadali kolacji tak wcześnie. Spojrzał na stary zegar babci na kominku. Wcale nie było tak wcześnie, jak myślał. Dochodziło wpół do siódmej. Nawet nie zauważył, jak minęła ostatnia godzina. Od rana nie robił nic, tylko tracił czas.

Potrząsnął głową i bez słowa wręczył matce kwiat. A potem z łobuzerskim uśmiechem powiedział:

- To zależy, co przygotowałaś. Jeżeli to jedna z tych ohydnych zapiekaneek, którymi faszerowałaś nas w dzieciństwie, możesz na mnie liczyć.

Ma poklepała go po ramieniu. Była już po sześćdzie-

siatce, ale wyglądała i zachowywała się jak osoba dwa razy młodsza.

- Jesteś okropny, mój chłopcze. - Rozchyliła papier i usiłując zajrzeć do środka, zapytała: - Co my tu mamy?

W odpowiedzi na jej pytanie Mitch sucho stwierdził:

- To roślina doniczkowa. - Po czym zdjął kurtkę i powiesił ją na klamce, a potem skierował się wprost do kuchni. Chciał sam sprawdzić, co będzie na kolację.

Wchodząc do części jadalnej, spodziewał się zastać cały tłum, tymczasem stół był nakryty tylko na trzy osoby. Maria stała przy blacie i kroїła pomidory. Miała na sobie ciemnoczerwone sweterki bliźniaki należące do Ma i zdawała się wypełniać je znacznie lepiej niż ich prawowita właścicielka. Czarne włosy zczesła do tyłu i związała szkarłatną wstążką. Ostry, nasycony kolor doskonale podkreślał jej egzotyczną urodę. Podniosła na niego oczy i z ostrożnym uśmiechem powiedziała:

- Dobry wieczór, Mitchell.

Ze swojego rzadko używanego zasobu dobrych manier Mitch zdecydował się wybrać równie ostrożny uśmiech.

- Jak się masz? Jak ci minął pierwszy tydzień w Kanadzie?

W oczach Marii dostrzegł błysk rozbawienia.

- Wasz śnieg jest bardzo zimny.

Pokiwał głową i znowu popatrzył na stoi, a potem wymownie spojrział na matkę. W odpowiedzi na jego nieme pytanie Ellen Munroe postawiła roślinę na brzegu kuchennego blatu i zaczęła ją rozwijać.

41

- Murphy dostał dodatkowe bilety na mecz hokeja, więc zabrał chłopców i dziadka Rodrigueza. Powiedział, że będzie niezły ubaw.

Kątem oka Mitch spostrzegł, jak Maria, marszcząc brwi, powtórzyła bezgłośnie ostatnią frazę. Nagle zachciało mu się śmiać. Oparł się o blat i powiedział:

- Niezły ubaw to idiom, Mario. Oczy Marii zaśniły. Zrozumiała. Mitch uśmiechnął się.

- To znaczy, że będą się dobrze bawić.

- Aha. -W jej oczach znowu pojawił się błysk.- Czyli będzie fajna impreza, tak?

- Dokładnie. - Mitch roześmiał się i pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedziała, po czym wróciła do przerwanej zajęcia. Wyraz skupienia na jej twarzy świadczył o tym, że starała się zapamiętać nowe wyrażenia.

Mitch spojrzał na matkę.

- A gdzie tato? Czemu nie poszedł na mecz?

- Bo dziś wieczorem gra w pokera. - Matka zdjęła z doniczki ostatnią warstwę papieru. - Och, Mitchell. Jaka piękna! Właśnie czegoś takiego potrzebowałam do przybrania stołu. - Odwróciła kwiat tak, żeby Maria mogła go zobaczyć. - Śliczna, prawda?

Maria skinęła głową i znów zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. A potem nagle twarz jej rozjaśnił pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Mitch u niej widział - taki z dołeczkami, obejmujący również czarne oczy.

- Gardenia! - powiedziała zadowolona, że nie zapomniała nazwy. - To piękne kwiaty. I bosko pachną
- dodała, podkreślając egzaltowanym gestem swoje słowa.

Wciąż uśmiechając się, zwróciła się do Mitcha i wtedy zaszło coś niepojętego. To było jak szok. Przez jedną, straszliwą chwilę wydawało mu się, że biją na niego siódme poty. Co za potworne uczucie!

Wyprostował się i ruszył w stronę wyjścia.

- Zjrzę do taty - powiedział lekko zdławionym głosem. A niech to! Co się z nim dzieje?

W końcu znalazł ojca w garażu. Siedział na ławeczce i majstrował coś zawzięcie. W ostatnich latach ojciec kompletnie osiwiiał i plecy mu się pochyliły. Najbardziej zmieniły mu się ręce. W jakimś momencie zaczęły wyglądać jak ręce bardzo starego człowieka. Mitch nie lubił o tym myśleć.

Znad zsuniętych na nos okularów Patrick Munroe spojrział na wchodzącego syna.

- Dobry Boże! I któż to wylazł wreszcie ze swojej nory? Czemu zawdzięczamy tę rzadką przyjemność?

Ojciec należał do tego odłamu rodziny, który uważał go za wiecznie skwaszonego odludka. Mitch miał czasami ochotę zebrać ich wszystkich do kupy i zamknąć w jakiejś komórce na cztery spusty.

- Świetny dowcip, tato. Ojciec pokiwał głową.

- Prawda, synu? - Wskazując poplamiony farbą taboret, dodał: - Siadaj.

43

Naprawiał kołowrotek do wędki. Mitch patrzył na niego przez chwilę, a w końcu uznał, że nadeszła stosowna pora.

- Cora była dziś u mnie.

- Tak? I czego chciała ta twoja narwana siostrzyczka? Może podać cię do sądu? - Ojciec parsknął cicho, zadowolony z własnego dowcipu, ale Mitchowi wcale nie było do śmiechu. Chwycił leżącą na stołku uszczelkę i kręcąc nią między palcami jak żongler - nauczył się tej sztuczki, kiedy miał dziewięć lat - powiedział:

- Przyniosła złą wiadomość, ale nie wiedziała, jak wam ją przekazać.

Nie przerywając roboty, Patrick Munroe podniósł na niego wzrok.

- Co to za zła wiadomość?

Mitch zaczerpnął tchu, przestał się bawić uszczelką i spojrzał ojcu w oczy.

- Ona mówi, że nie możecie się starać o prawo stałego pobytu dla Rodriguezów. O coś takiego można wystąpić tylko poza granicami Kanady, a oni już tu są. - Widząc po minie ojca, że zaraz mu przerwie, uniósł rękę. - Cora obawia się też, że nie spełniają podstawowych warunków, by móc liczyć na uzyskanie prawa stałego pobytu. Jej zdaniem, nie mają żadnych szans.

Ojciec uniósł brwi i spojrzał na niego surowo.

- Co za bzdury! Przecież my zapewnimy im z matką utrzymanie. Urząd Imigracyjny nie musi się o nic martwić.

Mitch znowu głęboko odetchnął, a potem powiedział:

- Mówię ci tylko to, co usłyszałem od Cory. Ona jest tym wszystkim bardzo zmartwiona. Myślała, że oboje z mamą wiecie, co robicie. - Wrzucił uszczelkę do puszek i wsunął ręce do kieszeni. - Radzi, żebyście się skontaktowali z jakimś prawnikiem, specjalistą od przepisów imigracyjnych.

Ojciec rzucił nagle śrubokręt.

- To śmieszne! - wybuchnął.

- Co jest takie śmieszne, kochanie?

Obaj mężczyźni podnieśli wzrok. W uchylonych* drzwiach pojawiła się głowa Ellen Munroe. Nie kryjąc irytacji, ojciec słowo w słowo powtórzył jej to, co usłyszał od Mitcha.

Ellen wysłuchała go cierpliwie, a potem lekceważąco machnęła ręką.

- Cprze coś się pomieszało. Przecież ona nie ma pojęcia o przepisach imigracyjnych. To nie jej branża.

A teraz chodźcie już. Kolacja gotowa.

Mitcha ogarnęło uczucie niechęci. Czemu ten uparty facet choć raz w życiu nie może posłuchać głosu rozsądku? Miał ochotę pokłócić się z ojcem, ale ten nie dał mu najmniejszych szans. Szybko się podniósł i wymaszerował za żoną, zostawiając poirytowanego syna.

Mitch stał tak jeszcze przez chwilę, zaciskając pięści. Nagle przypomniał sobie te nie kończące się dyskusje sprzed lat, kiedy jeszcze wszyscy mieszkali razem, a ojciec nigdy nie chciał nikogo słuchać.

Nic dziwnego, że Cora nie miała ochoty z nim rozmawiać. Pewnie pogłas-

kałby ją po głowie i kazał jej wrócić do zabawy. Boże, co za tępy, ośli upór!

Klnąc półgłosem, poszedł za rodzicami do domu. Niech diabli wezmą tę ich kolację! On się zmywa.

Ma co robić. Nie cierpi na nadmiar wolnego czasu.

Jednak jeden rzut oka na Marię Rodriguez wystarczył, żeby Mitch zmienił zdanie. Odniósł wrażenie, że ona świetnie orientuje się, o co chodzi. Twarz jej znów przybrała poważny, zatroskany wyraz.

Zrobiło mu się jej żal. W końcu to nie jej wina, że jego rodzice okazali się tak lekkomyślni i krótkowzroczni. Został więc, zjadł co nieco, a nawet trochę porozmawiał. I zachowywał się tak, jakby nic nie zaszło.

Za to przez całą drogę do domu zgrzytał zębami ze złości. Mówi się, że to dzieci działają rodzicom na nerwy. Wolałby w tej chwili być ojcem tuzina dzieciaków niż dzieckiem swoich rodziców.

W domu czekała na niego ciężarówka ziemi ogrodniczej do rozładowania. Raz jeszcze potwierdziła się prawda, że nic tak nie koi nerwów jak ciężka praca fizyczna. Do dziewiątej wieczorem Mitch zdążył jako tako ochłonąć, a o północy zaczął dostrzegać humorystyczną stronę całej sytuacji. Mimo to jednego był absolutnie pewny - że po raz ostatni dał się wciągnąć w sprawy tych nieszczęsnych Rodriguezów.

Dwa dni później w progu biura stanął Murphy. Jego pojawienie się nie było ani w połowie tak dramatyczne jak wizyta

Cory, mimo to Mitch z miejsca wyczuł, że kroi się coś niedobrego. Murphy miał kamienną twarz i ciężkie spojrzenie rewolwerowca, a to zawsze zwiastowało kłopoty.

Kiedy brat zamykał za sobą drzwi, Mitch patrzył na niego i zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby pozostał jedynakiem.

Tymczasem brat cisnął kapelusz i rozsiadł się na tym samym krześle, co parę dni wcześniej Cora. Mitch skrzyżował ręce na piersi i odsunął się od biurka.

Murphy uśmiechnął się przymilnie.

- Co słysząc, braciszku? Mitch zmrużył oczy.

- Nie mów do mnie braciszku - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Moja odpowiedź brzmi nie.

Absolutnie nie. Wykluczone.

W Murphym musiały jeszcze drzemać jakieś resztki przyzwoitości, bo z miną winowajcy spuścił wzrok.

- Słucham? - zapytał.

Wciąż mrużąc oczy, Mitch potrząsnął głową.

- Cokolwiek by to było, nie zrobię tego. Powiedziałem nie!

Murphy uśmiechnął się niepewnie i przekrzywiając głowę, spojrział na brata.

- Yyy... więc mówisz nie?

- Tak jest. Nie.

Murphy przyglądał mu się jeszcze przez chwilę z tym samym irytującym uśmiechem, a potem cofnął się, otworzył drzwi i wezwał posiłki.

- Jordan, kochanie. Możesz tu przyjść?

Jordan zjawiała się jak spod ziemi. Była starannie uczesana, a w uszach miała perłowe kolczyki. W brązowym kostiumie, który tuszował jej stan, wyglądała jak wcielenie chłodnej elegancji. Jej spontaniczny uśmiech popsuł ten wystudiowany efekt.

- Cześć, Mitch. Co słysząc? Mitch wyczuł, że zbliża się klęska.

Jordan spoważniała i Mitch szybko pojął, że to, co zamierzała mu powiedzieć, szczerze ją martwiło. Przez jedną okropną chwilę bał się nawet, że Jordan zacznie płakać. Ale ona nie należała do tego rodzaju kobiet. Splotła kurczowo ręce, a w jej oczach pojawiła się głęboka troska. Patrząc na Mitcha, zaczęła mówić:

- Wczoraj wieczorem wybraliśmy się do rodziców. Kiedy byłam sama w kuchni, Maria zwróciła się do mnie z pytaniem, co ma robić, żeby znaleźć jakąś pracę. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

Jordan przerwała i spojrzała na męża, a kiedy Murphy pokiwał głową, zwróciła wzrok na Mitcha i ciągnęła dalej:

- Ona nie ma nic. Ani grosza. A wiem, że ty niedługo zaczniesz werbować pracowników sezonowych. Zamachała nerwowo rękami, a potem z jej ust posypał się potok słów, jakby się bała, że Mitch jej przerwie, zanim zdąży powiedzieć, o co jej chodzi.

- Wiem... wiem, że nie możesz zatrudnić jej oficjalnie... i wiem, że to nielegalne, ale Murphy i ja pokrylibyśmy część jej wynagrodzenia, gdybyś tylko dał jej jakąkol-

wiek pracę. Sami chcieliśmy coś dla niej zrobić, ale nie możemy jej nic zaoferować. W firmie budowlanej Mur-phy'ego nie ma dla niej żadnego zajęcia. Tym bardziej o tej porze roku. Ja oczywiście mogłabym ją przyjąć jako pomoc domową, ale jestem pewna, że uznałaby, iż robimy to z litości. A Maria jest taka dumna.

Jordan urwała, bo zabrakło jej tchu. Tylko jej oczy spoglądały błagalnie na Mitcha.

- Pomyśleliśmy sobie, że zwrócimy się z tym do ciebie. Najlepiej będzie, jeśli nie wyjdzie to poza naszą trójkę. Naprawdę próbowaliśmy coś wymyślić, ale nic innego prócz twoich szklarni nie przychodziło nam do głowy. A poza tym ona ma pewne doświadczenie. Pracowała przecież przy hodowli chryzantem i Ma mówi, że jest pełna inicjatywy.

Jordan złożyła ręce i spojrzała z nadzieją na Mitcha.

- Nie chciałabym być w jej skórze. To straszne znaleźć się w obcym kraju, z dwójką dzieci i staruszką, bez grosza przy duszy.

Murphy wstał, podszedł do żony, objął ją ramieniem i mocno przytulił. Pocałował ją we włosy, a potem spojrzał na brata z triumfującą miną, która zdawała się mówić „mam cię, bracie”. Mitch ze zdumieniem odkrył, że na twarzy brata maluje się jednocześnie miłość do żony. Pomyślał, że z chwilą gdy Jordan otworzyła usta, powinien był wiedzieć, że jest stracony. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby to on uciekł do Meksyku, mógłby dostać pracę przy hodowli chryzantem.

Na koniec wzniosł oczy do góry, westchnął głęboko i skapitulował.

- Niech wam będzie. Postaram się coś wymyślić. Porozmawiam z nią dziś wieczorem, ale zapamiętaj sobie, bratku - wycelował palec w Murphy'ego - że to by było na tyle. Proszę już więcej się do mnie nie zwracać.

Murphy uśmiechnął się.

- Możesz być tego pewny.

Jordan podeszła i serdecznie go uściskała.

- Dziękuję, Mitchell - wyszeptwała z wdzięcznością, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek. - Zawsze wiedziałam, że można na ciebie Uczyć.

Niechętnie wyrażona zgoda przybrała w ciągu dnia formę jakiegoś upiornego ciężaru, który przytłaczał go do biurka, przypominając mu minuta po minucie o tym, co wziął sobie na głowę. W końcu uciekł z biura do ogrodów, gdzie szalał przez cały dzień, budząc popłoch wśród pracowników. Udało mu się wypełnić sobie czas aż do późnego wieczoru, a skończył tylko dlatego, że musiał w końcu wyjść, żeby coś zjeść.

Kiedy podjechał pod dom rodziców, dochodziła ósma. Tym razem widok zapalonych lampek wzbudził w nim złość. Najwyższa pora, żeby jego matka przestała bawić się jak dziecko.

Nie zapukał, tylko od razu wszedł. Pewnie cała rodzina siedzi na dole i ogląda telewizję, więc i tak nikt go nie

usłyszy. A ten przeklęty dzwonek zepsuł się co najmniej pół roku temu. Matka postanowiła go jednak nie naprawiać, bo stwierdziła, że woli, jak goście stukają kołatką.

W salonie nie było nikogo, za to w kuchni paliło się światło. Wobec tego Mitch skierował się tam, spodziewając się zastać matkę.

W całym pomieszczeniu paliła się tylko kryształowa lampa nad okrągłym stołem. Reszta kuchni tonęła w półmroku. Ale to nie matka siedziała przy stole, tylko Maria, obłożona książkami.

Była w czerwonej, spłowiałej sukience. Hebanowe włosy upięła w gruby węzeł. Światło padające z góry wywoływało w nich połyskliwe refleksy, a wyjątkowo długie rzęsy rzucały cienie na policzki. Po jej lewej stronie stała gardenia, obsypana drobnymi kwiatami. Woskowe płatki połyskiwały blado na tle ciemnej zieleni. Wszystko razem tworzyło wyrafinowany obraz, który aż prosił się o to, by uwiecznił go jakiś fotograf - głębokie cienie, piękna kobieta w kręgu światła, egzotyczny kwiat...

Maria siedziała z głową podpartą na łokciu. Palce drugiej ręki machinalnie bawiły się długim, luźnym kosmykiem. Była tak zaabsorbowana lekturą, że nawet nie usłyszała, iż ktoś wszedł.

Mitch chrząknął, a ona aż podskoczyła i złapała się za serce. Krzyknęła cicho, a potem próbowała się roześmiać.

- Och, to ty, Mitchell. Chodzisz, jakbyś miał bardzo małe stopy.

Te „małe stopy” nawet go rozśmieszyły. O jego własnych stopach można było powiedzieć wszystko prócz tego, że są małe. Ale oczywiście zrozumiał, co Maria miała na myśli.

Nagle poczuł, że opuszcza go napięcie. Może dlatego, że Maria tak się przeraziła, a może z powodu tej uwagi o małych stopach.

- Przepraszam - odezwał się, podchodząc bliżej. - Nie chciałem cię przestraszyć. - Wsunął ręce do kieszeni i popatrzył na książki rozłożone na stole. Przed Marią leżał słownik języka angielskiego, otwarty na literze „S”. Prócz tego był tam „Angielski jako drugi język”, słownik hisz-pańsko-angielski oraz egzemplarz Dickensa.

Mitch zerknął na okładkę.

- Pamiętam tę książkę. Któregoś roku, kiedy wszyscy naraz zachorowaliśmy na świnkę i wietrzną ospę, mama czytała nam ją do poduszki.

- Musieliście wszyscy mieć... - popatrzyła na książkę - stanowczy charakter. - Podniosła oczy na Mitcha, jakby oczekując potwierdzenia. — Stanowczy, tak?

Mitch skinął głową, a ona uśmiechnęła się zadowolona, że potrafiła prawidłowo użyć nowego słowa.

Mitch z poważną miną przewrócił kilka stron, a potem spojrzął na Marię.

- Czemu uważasz, że musieliśmy mieć stanowcze charaktery?

Maria uśmiechnęła się nieśmiało.

- Bo ta książka jest w niektórych miejscach dosyć... nieciekawa.

Mitch roześmiał się. Pamiętał jeszcze, jak umierał z nudów, kiedy matka czytała im Dickensa. Zawsze jednak myślał, że to dlatego, iż był wtedy taki chory. Najpierw miał świnkę, a gdy już wyzdrowiał na tyle, żeby wracać do szkoły, przyplątała się wietrzna ospa. Często zadawał sobie pytanie, jak matka mogła wytrzymać, mając szóstkę chorych dzieci na głowie.

Wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy napotkał wzrok Marii.

- Masz rację, to ładny kawał nudy - powiedział. - To znaczy strasznie nudna książka - poprawił się szybko, kiedy zastanowił się nad sensem swoich słów.

Maria spojrzała na niego spod oka.

- Ja rozumiem różne znaczenia słowa „ładny”, Mitchell. Chociaż to rzeczywiście jest trochę bez sensu.

Mitch roześmiał się i przewrócił kilka kolejnych kartek.

- Wyobrażam sobie, że dużo rzeczy jest trochę bez sensu.

Nagle dotarło do niego, że używa książki jako wygodnego pretekstu, żeby zboczyć z kłopotliwego tematu, jakim była skomplikowana sytuacja Marii. Odsunął krzesło i usiadł przy stole. Był na siebie trochę zły, że dał się namówić na to wszystko. Czuł z góry, że będzie jeszcze tego żałował.

Żałował też, że usiadł tak blisko Marii. Trzeba było wybrać jakieś inne krzesło. Żeby ukryć zmieszanie, pozbierał książki i ułożył je w schludny stos, a potem spojrzał z westchnieniem na Marię.

- Wiesz o tym, że prowadzę centrum ogrodnicze? Patrząc na niego, pokiwała powoli głową. Przestała nagle bawić się kosmykiem, który owinął się

teraz wokół jej szyi. A szyję miała miękką i gładką. Co za pech z tym kosmykiem! Zamiast trzymać się tematu, Mitch musiał użyć całej siły woli, żeby nie sięgnąć i nie spróbować go odgarnąć.

Wsunął kciuki za pasek spodni - tak na wszelki wypadek, żeby utrzymać ręce przy sobie - i przez dłuższą chwilę patrzył na Marię. Potem odwrócił wzrok i przesunął stos książek, czując niemiły skurcz w żołądku. Z jakichś niepojętych przyczyn nie chciał okłamywać tej kobiety. Zaczerpnął tchu, jakby chciał tym samym nabrać sił, żeby pokonać tę przeszkodę.

- Przygotowuję większe zmiany ekspozycji i będę potrzebował nowych pracowników - skłamał gładko. - Zastanawiałem się, czy nie interesowałaby cię taka praca?

Maria zamarła na chwilę, tylko puls w zagłębieniu jej szyi dziko załomotał. Jakby nie wierząc własnemu szczęściu, splotła ręce i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić? - odezwała się zaleknionym szeptem. - Dałbyś mi pracę, chociaż nie mam papierów?

Sam nie wiedział dlaczego, ale kolejne kłamstwo bez trudu przeszło mu przez usta.

- Wolno mi zatrudniać pracowników sezonowych.

Była to rzeczywiście prawda, pod warunkiem, że pracownicy ci byli ubezpieczeni albo - jak w przypadku Marii - mieli kanadyjską wizę i pozwolenie na pracę.

Skubiąc nerwowo brzeg sukni, Maria powiedziała cicho:

- Tak. Jestem bardzo zainteresowana.

Mitch nie był w stanie dłużej znieść jej spojrzenia. Wbił wzrok w książki i zaczął omawiać godziny pracy, zakres obowiązków oraz przyszłe wynagrodzenie, ale Maria nie dała mu skończyć.

- Nie, Mitchell - przerwała mu z przerażeniem. - To za dużo. Nie mogę się na to zgodzić.

Popatrzył na nią, czując, że twarz nienaturalnie mu sztywnieje.

- Takie są u mnie stawki, Mario - powiedział. - Tyle płacę wszystkim pracownikom sezonowym.

- Ale to za dużo!

Poczuł przypływ irytacji. Rzeczywiście, było to znacznie powyżej minimalnej stawki, ale on miał dobrych pracowników i dobrze im płacił.

- Po raz pierwszy ktoś się na to skarży - zauważył, siląc się na uśmiech.

Maria szybko wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że mogła go urazić.

- Źle mnie zrozumiałeś, Mitchell - powiedziała z trwogą w oczach. - Ja się wcale nie skarżę.

Wzięłabym tę pracę i za mniejszy pieniądz.

- Mniejsze pieniądze - poprawił ją machinalnie.

Maria machnęła ręką, a w jej oczach pojawił się błysk.

- Tak. Masz rację, Mitchell. Wezmę tę pracę za mniejsze pieniądze.

Mitcha zawsze fascynował sposób myślenia i logika innych. Ale nikt nie zafascynował go tak bardzo jak Maria. Rozsiadł się wygodnie na krześle, zdecydowany wygrać tę rundę.

- Nie, nie weźmiesz jej za mniejsze pieniądze, Mario. Tyle się płaci za taką pracę.

Patrzyła mu prosto w twarz, jakby się zastanawiała, jak daleko może się posunąć. Pewnie jednak rozumiała wyrażenie „między młotem a kowadłem”, bo w końcu poddała się z westchnieniem.

Musiała jednak mieć ostatnie słowo, choćby wypowiedziane półgłosem, na własny użytek:

- Ale to i tak za dużo.

Mitch nie dał jej tej satysfakcji. Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i powiedział:

- Zostawmy to teraz, Rodriguez. Jeżeli chcesz, możesz zacząć od jutra, od dziewiątej rano.

Popatrzyła na niego rozognionym wzrokiem, który powiedział mu, że wcale się nie poddała, a potem odparła ze spokojem:

- Zostawię to, Mitchell. Na razie.

Zachciało mu się śmiać, ale się opanował. Miał dziwne przeczucie, że czeka go ciężka walka o utrzymanie pozycji, inaczej Maria szybko wejdzie mu ma głowę. Dopiero

56

teraz dotarło do niego, w co się wpakował, i mina mu zrzędła. Tak, będzie miał jeszcze krzyż pański z tą kobietą - o ile wcześniej go nie zanikną za nieprzestrzeganie przepisów prawnych.

ROZDZIAŁ 3

rano niebo pokrywały ciężkie, szare chmury i Mitchell zwlekał z otwarciem bramy „Słonecznych Ogrodów” tak długo, jak tylko było to możliwe.

Przyczyny tego braku entuzjazmu były dwie: Po pierwsze, w nocy padał śnieg i cały parking został zasypany. A to znaczyło, że aby uniknąć zatorów, trzeba będzie wywieźć całe tony śniegu przed przyjazdem klientów.

Po drugie, bał się przyznać Doris, że zatrudnił Marię. Przeczuwał już, że Doris obrzuci go przeciągłym spojrzeniem, jakby wiedziała o nim coś, o czym on sam nie miał pojęcia. A potem poklepie go po policzku, jakby był jakimś kotkiem albo pieskiem. Doris przyprawiała go czasami o ciężki ból głowy. Pewnie dlatego, że wzbraniała się nazywać rzeczy po imieniu. To byłoby, jej zdaniem, zbyt proste. W większości przypadków nie potrafił odgadnąć, o co jej chodzi.

Zapiął kurtkę, postawił kołnierz i sięgnął po rękawice. Chwycił łopatę i wyszedł na dwór. Gdyby przed przyjściem pracowników udało mu się odgarnąć śnieg z betonowego chodnika przed bramą, oszczędziłoby im to późniejszego sprzątnięcia.

Powietrze było rześkie i mroźne. Wziął głęboki oddech i od razu poczuł przypływ energii. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Mitch oparł się na styliksu i ogarnął wzrokiem swoje królestwo. Nawet jeżeli brzmiało to dość górnolotnie, miał wszelkie prawo tak mówić. To on stworzył wokół parkingu wiecznie zielony ogród z masą drzew iglastych, poprząkanych kępami różnobarwnych krzewów, srebrzystych wierzb i klonów. Latem grządki i klomby mieniły się całą paletą barw -kwiaty i krzewy kwitły niemal przez cały sezon/jesienią zaś ogród tonął w czerwieni i złocie. Klienci Mitcha zachwycali się jego dziełem i spędzali w ogrodach równie dużo czasu jak w sklepie. Teraz jednak, kiedy śnieg pokrył wszystko dokoła, na tle nieskazitelnej bieli jedyne plamy koloru tworzyły kępy świerków oraz krzewy derenia

o czerwonej korze.

Płat mokrego śniegu zsunął się z wyniosłej, starej jodły, naruszając aksamitną gładkość zasp. Głuchy odgłos spłoszył dzikiego królika, który znalazł sobie schronienie pod zwisającymi gałęziami. Mitch patrzył, jak zwierzątko kica po głębokim śniegu, po czym znika w gęstwinie.

Uwielbiał spokój - jak teraz, kiedy wokół panowała cisza i tylko z oddali dobiegał przytłumiony szum samochodów. Przeżywał tę ciszę tak głęboko, jakby sam był jej częścią. Może dlatego, że lubił zimę, bo latem jego życie było zawsze takie chaotyczne. Nabrał powietrza do płuc i pomyślał, że dzień taki jak dziś wart jest więcej niż tydzień wakacji.

Wziął się za odgarnianie mokrego śniegu i przy okazji zauważył, że karmniki dla ptaków są puste. Jak tylko przyjdzie Doris i zajmie się sklepem, pójdzie na parking. Będzie miał świetny pretekst, żeby zejść jej z oczu i nie widzieć tych jej znaczących spojrzeń.

Oczyścił już chodnik przed wejściem i właśnie zaczął obmiatać rząd sklepowych wózków, kiedy na parking wjechała z warkotem silnika niebieska furgonetka, rozbryzgując wokoło mokry śnieg, po czym zatrzymała się przed jednym z magazynów. Wysiadła z niej wysoka, siwowłosa kobieta w jaskrawej chustce na głowie.

- Dzień dobry, szefie. Widzę, że pracujesz na pierwszy zawał.

Mitch oparł się na miotle i odparł:

- Udał ci się dowcip, Doris!

Uśmiechnęła się i zaczęła brnąć pomiędzy głębokimi zaspami. Kiedy dotarła do oczyszczonego chodnika, obmiotła buty i otrzepała spodnie.

- Czy to ma być pretekst, żeby się ulotnić, zostawiając nas samych z tym ciężkim zadaniem, które złożyłeś na nasze barki?

Mitch zatknął miotłę w śnieg, obok łopaty. A niech to! Był tak zaabsorbowany myślami o kłopotcie, jaki ściągnął sobie na głowę, zatrudniając Marię, że zupełnie zapomniał o planach zmiany ekspozycji. No tak! Doris Becker nigdy mu tego nie daruje.

Na szczęście z doświadczenia wiedział, że w starciu z Doris najlepszą bronią jest atak. Zdjął rękawicę, wyjął

z kieszeni czerwoną chustkę i wytarł nos. Dopiero wtedy spojrział Doris w oczy.

- Musimy porozmawiać - rzucił jakby mimochodem. Schował chustkę do kieszeni, po czym wsparł się na łopacie. - Pewnie już słyszałaś, że moi rodzice przywieźli z Meksyku całą rodzinę.

- Chodzi ci o tych Rodriguezów, tak?

Mitch skinął głową i ogarnął wzrokiem swoją posiadłość. Zaczął rozważać wszystkie za i przeciw.

Czy ma opowiedzieć Doris całą historię i uczynić z niej współnika w niezbyt legalnym przedsięwzięciu, czy może lepiej zataić przed nią prawdę? W końcu zdecydował się zagrać w otwarte karty. Doris zasłużyła sobie na to, żeby wiedzieć, co on zamierza. Przecież w trakcie tych dwunastu lat, które u niego przepracowała, nie zawiodła go ani razu.

Westchnął ciężko, wyciągnął z zaspy łopatę i zaczął jej ostrzem kreślić wzory na śniegu.

- Oni są w ciężkiej sytuacji finansowej, a Cora mówi, że mogą mieć poważne kłopoty z uzyskaniem karty stałego pobytu. Dlatego Jordan i Murphy wpadli na pewien pomysł. - Spojrział na Doris. - Maria będzie tu pracować. Musimy to zachować w tajemnicy. Gdyby Biuro Imigra-cyjne dowiedziało się o tym, że pracuje na czarno, deportowaliby ją, zanim zdążyłaby się obejrzeć.

Doris popatrzyła znacząco na swojego szefa.

- Nie mówiąc już o tym, co zrobiliby z tobą.

Udał, że nie słyszy tej uwagi, i znów zapatrzył się w kojącą biel.

Doris przez chwilę milczała, a w końcu powiedziała:

- W porządku. Oficjalna wersja brzmi, że Maria jest tu zatrudniona jako dorywcza pomoc.

Mitch pokiwał głową.

- Tak, coś w tym rodzaju, ale masz ją traktować tak, jakby była pracownikiem. Ona musi mieć wrażenie, że jest nam naprawdę potrzebna. Nie chcę, żeby myślała, iż robimy to z łaski albo z litości. Jordan wypłaci jej zaliczkę. Gdyby Maria coś o tym wspominała, powiedz jej, że to u nas normalne. - Machnął łopata, po czym znowu wbił ją z powrotem w śnieg. - Musisz jej też taktownie wytłumaczyć, że nie będę z nią dyskutował o wynagrodzeniu. Kiedy z nią wczoraj rozmawiałem, upierała się, że proponuję jej zbyt wysokie stawki, więc tutaj też może poruszyć tę sprawę. Poza tym nie chcę, żeby ktoś poza nami wiedział, że płacę jej normalną pensję - na wypadek, gdyby policja zaczęła tu węszyć. Spojrzał na Doris. Patrzyła na niego uważnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi i lekko przechyloną głową.

- Rozumiem, że wolałbyś też, aby się nie dowiedziała, iż zatrudniając ją, nadstawiasz karku? A może to tylko fikcyjna posada?

- Znowu zaczynasz! - fuknął Mitch. - To nie jest żadna fikcja. Od dwóch lat planujemy gruntowną zmianę ekspozycji i ktoś wreszcie musi to zrobić. Ona się tym zajmie. Rozumiesz? A swoje uszczypliwe uwagi kieruj do Jordan. To był jej pomysł.

- Jasne, rozumiem. - Doris posłała mu irytujący

uśmiech, a potem, zgodnie z jego przewidywaniami, poklepała go po policzku i odwróciła się ku drzwiom. - Możesz spać spokojnie, szefie. Wykażę się salomonową mądrością, dyskrecją Sfinksa oraz czujnością łańcuchowego psa. - Uśmiechnęła się przez ramię. - Ale to ty będziesz musiał dokonać prezentacji. - Wskazała ku wejściu. -Zdaje mi się, że twoja nowa pracownica już tu jest.

Mitch spojrział w kierunku bramy. Półtonowa ciężarówka, z emblematem firmy budowlanej Munroe wyjechała z fasonem zza zakrętu, wzbijając fontanny na wpół roztopionego śniegu. Mitch ujął się pod boki i wznosił oczy do nieba. Czy jego brat zawsze będzie się zachowywał jak skończony idiota? Na pewno przeraził Marię na śmierć, i to w pierwszym dniu jej pracy w obcym kraju.

Ciężarówka z piskiem zahamowała tuż przed nim. Zza szyby ukazała się roześmiana twarz Murphy'ego. Mitch poczuł, że ma ochotę mu przyłożyć. Drzwi szoferki otworzyły się i ukazała się Maria w długim granatowym płaszczu, który kiedyś należał do Jordan, białej wełnianej czapce i szaliku. Twarz jej promieniała, a oczy aż lśniły z radości.

- To wszystko jest takie... - zawahała się, szukając w myślach odpowiedniego słowa - ...takie zdumiewające. A jazda była strasznie podniecająca. Nigdy w życiu nie widziałam takiej masy śniegu. Tu jest tak pięknie, prawda, Mitchell?

Murphy wystawił głowę przez uchylone drzwi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To szalona kobieta, braciszku. Wyobraź sobie, że ją to wszystko bawi.

Maria machnęła ręką. W jej policzkach ukazały się dołeczki.

- Bo to jest bardzo zabawne. - Posłała mu czarujący uśmiech. - Dziękuję za podwiezienie, Murphy. To było miłe z twojej strony. Jutro pojedę autobusem.

Mitch kwaśno się uśmiechnął.

- To wcale nie było miłe z jego strony, Mario. On chciał cię po prostu przestraszyć.

Maria spojrzała na niego życzliwie, a potępi pogroziła Murphy'emu palcem:

- Teraz już znam prawdę, panie Munroe. Nie tak łatwo mnie przestraszyć, a poza tym, na drugi raz nie będę taka naiwna.

Murphy uśmiechnął się do Marii i brata i zasalutował.

- Zobaczymy się później. - Zatrzaskał drzwi i z rykiem silnika wyjechał z parkingu.

Maria patrzyła w ślad za znikającą ciężarówką, a potem odwróciła się i z nieśmiałym uśmiechem zapytała:

- Chyba się nie spóźniłam?

Mitch potrząsnął głową. Już teraz żałował, że dał się namówić na zatrudnienie Marii.

- Nie. Jesteś nawet trochę za wcześnie. - Ruszył ku drzwiom, otrzepując po drodze buty. - Chodź, przedstawię cię Doris. To ona tu wszystkim zarządza.

Maria również starannie otrzepała buty ze śniegu, czym go nieoczekiwanie rozbawiła. Jego mały bratanek Jay

w taki sam sposób naśladował wszystkie czynności ojca. Mitch nie pozwolił sobie jednak na uśmiech, bo przecież nie mógł zapomnieć, iż nie ma się z czego śmiać.

Doris stała przy kontuarze i wkładała taśmy do kas. Mitch dokonał prezentacji i czekał, aż Doris przejmie inicjatywę.

- Witaj na pokładzie, Mario. Bardzo nam się przyda twoja pomoc. - Uśmiechnęła się z wyższością do Mitcha. - Oprowadź Marię po zapleczu, szefie. I pokaż jej, gdzie może powiesić płaszcz. - Zwróciła życzliwe spojrzenie na dziewczynę. - Możesz go o wszystko pytać, kochanie. Jak tylko skończę tutaj, usiądziemy i zastanowimy się, co zrobić z tym całym pasztetem. Chodzi mi o najnowszy pomysł szefa.

Maria uśmiechnęła się nieśmiało, a potem z pytaniem w oczach odwróciła się do Mitcha. Spojrzał ze złością na Doris, po czym z westchnieniem rezygnacji powiedział:

- Chodźmy, pokażę ci pomieszczenia dla personelu. Tam będziesz zostawiać swoje rzeczy.

- Mitchell?

Odwrócił się. Maria zawahała się, a potem zapytała tak cicho, żeby Doris nie mogła jej usłyszeć:

- Dlaczego ona mówi „pasztet“?

Mitch zerknął na Doris, która wydawała się całkowicie pochłonięta pracą przy kasach.

- To takie wyrażenie. W tym przypadku to znaczy duży kłopot.

- Aha. - Maria ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jeżeli czegoś nie rozumiesz, pytaj, nie krępuj się. Będziesz pracować wśród naprawdę miłych ludzi, którzy chętnie ci pomogą.

Maria pokazała dołączki w uśmiechu.

- W moim kraju jest tak samo. Tylko że ludzie czasami wyśmiewają się z twoich pomyłek. Łatwiej jest czytać książki, niż rozmawiać w obcym języku.

- Na pewno tak. - Mitch otworzył drzwi i wprowadził Marię do pokoju dla personelu.

- To jest pomieszczenie dla pracowników. - Wyjaśnił, gdzie co się znajduje i jak utrzymać porządek - zwykła procedura w przypadku każdego nowego pracownika. Tyle tylko, że na ogół robiła to Doris. Niech ją diabli wezmą! Ale go urządziła! Począł, aż Maria się rozbierze, a potem poprowadził ją przez całe centrum aż do szklarni.

Już po kilku chwilach przekonał się, że Maria jest bardzo chętną uczennicą. Najbardziej zaskoczyły go jej dociekliwe pytania - o system nawadniający, o to, jak zapobiegają chorobom roślin, o zarządzanie poszczególnymi działami, o szczegółowy rozkład dnia.

Najbardziej zafascynował ją system ogrzewania tak olbrzymich szklarni. Mitch wyjaśnił, jak działa system sprężonego powietrza, który rozprowadza rurami nagrzane powietrze. Starł się przy tym używać prostego słownictwa, tak by Maria go zrozumiała. Okazała się zresztą nad wyraz pojętną uczennicą. Widać było, że choć wszystko to była dla niej nowość, szybko przyswajała sobie zasady działania rozmaitych urządzeń. Mitch przypomniał sobie listy

księdza, wychwalające pilność i zdolności Marii. Pomyślał, że pod tym względem ani trochę się nie zmieniła.

Po jakimś czasie Doris znalazła ich w drugiej szklarni. Miała na sobie zielony fartuch, a drugi taki sam trzymała w ręku.

- Myślę, że możemy zaczynać. Karen już przyszła i usiadła przy kasie. - Podała Marii fartuch. - Załóż to, moja kochana. Przy takiej pracy łatwo się pobrudzić. W ten sposób nie zniszczysz sobie ubrania albo przynajmniej trochę mniej zniszczysz. Ja zawsze noszę coś takiego. - Spojrzała na Mitcha. - No więc, jaki masz plan?

Maria założyła fartuch i spojrzała na niego znanym mu już, pytającym wzrokiem. Mitch nagle poczuł się przyparty do muru. Nie miał żadnego planu. Spojrzał z niechęcią na Doris.

- Przecież sama wiesz, co trzeba zrobić. O czym tu mówić?

Doris uniosła brwi i wymieniła z Marią znaczące spojrzenia. A potem uśmiechnęła się słodko do Mitcha.

- Doskonale. Mógłbyś rozmontować te ciężkie, metalowe półki z tyłu. Ja się do nich nawet nie zbliżę.

- Ostentacyjnie objęła Marię ramieniem. - Chodź, kochana. Myje opróżnimy, a jemu zostawimy resztę. Jak trochę popracuje, to mu się humor poprawi. - Były już w połowie hali, kiedy odwróciła się i dodała: - Jeszcze jedno. Wreszcie nadeszły specjalnie zamówione *Sinningia speciosa*. Kazałam je rozładować i zanieść do małej szklarni. - Odwróciła się i ruszyła wzdłuż półek. Mitch patrzył za nią ze

złością. Nie lubił, kiedy tak się zachowywała. Nie mogła mu po prostu powiedzieć po ludzku, że przyszedł transport gloksinii? Czemu zawsze musiała robić z tego cały spektakl? A tak w ogóle, dlaczego tak kurczowo się jej trzymał przez tyle lat, skoro sprawiała mu tyle przykrości?

Odwrócił się, potrząsając głową. Zanim weźmie się do innej roboty, musi odgarnąć śnieg na parkingu. To było jego główne zadanie na dziś.

Kiedy skończył odśnieżać parking, był przemarznięty do szpiku kości i dojrzał już do tego, żeby wypić filiżankę gorącej kawy.

Niestety, Doris nie dała mu żadnych szans, tylko jak bezlitosny kapral odkomenderowała go do rozmontowywania opróżnionych półek.

- Bierz się za nie, szefie - powiedziała, wręczając mu śrubokręt i młotek.

Miał ochotę powiedzieć jej, gdzie może sobie wsadzić te narzędzia, ale obok stała Maria i wyglądała jak wcielenie niewinności.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Wziął narzędzia od Doris i pomyślał, że nienawidzi rozkręcania półek tak samo jak ona - a może jeszcze bardziej. Była to bardzo ciężka i niewdzięczna praca. Sięgnął po wózek transportowy i zabrał się do roboty, czując na sobie wzrok Marii. Zdjął już trzy polki i położył je na wózku, kiedy Karen zawołała od wejścia, że jest do niego zamiejscowy telefon.

Telefoniał jeden z dostawców, co oznaczało, że bę-

dzie musiał znaleźć potrzebne faktury w stosie papierów na biurku i oddzwonić. Załatwienie sprawy zajęło mu dobre pół godziny, w którym to czasie jego humor znacznie się pogorszył. A poza tym wciąż pozostawały te nieszczęsne półki.

Kiedy wyłonił się z za ekspozycji karmników, stanął jak wryty. Stelaże zostały rozmontowane, a wszystkie półki złożone równo na wózku. Maria, nucąc półgłosem, uprzątała z podłogi śmieci.

Posłała mu promienny uśmiech, a potem miała czelność pouczyć go:

- Bardzo łatwo je rozmontować, Mitchell - odezwała się tonem, jakim mówi się do niezbyt rozgarniętego dziecka - pod warunkiem, że się nie szarpie.

Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy ją zganić. W końcu nie zrobił ani tego, ani tego, tylko zdobył się na bardzo oficjalne:

- Dziękuję, Mario - udając, że nie dostrzega uśmiechu Doris, która właśnie się pojawiła. Zmrużył oczy i złowieszczo wycelował w nią palec. - Ani słowa, Becker!

Nie przestając się uśmiechać, Doris podniosła rękę.

- Czy ja coś mówię, szefie?

Mitch odwrócił się na pięcie i odszedł. Nie usłyszał niczego, ale i tak był święcie przekonany, że obie się z niego śmieją. Tego mu tylko potrzeba. Osoby, która będzie spiskowała z Doris za jego plecami. I to on sam dostarczył jej sojuszniczki. Co za radość dla jej zjadliwego poczucia humoru. Jednak miało to także swoje dobre strony. Ta

solidarność kobiet oznaczała, że Maria ma już jednego sprzymierzeńca. To dobrze, że przypadły sobie do gustu. A przecież znały się dopiero od paru godzin.

Przez resztę dnia Mitchell starał się przebywać poza centrum. Na wiosnę zaplanowano specjalną wystawę urządzania domu i ogrodu, więc musiał odbyć kilka spotkań w tej sprawie. Miał też zajrzeć na nowe osiedle, gdzie firma Murphy'ego wybudowała kilka domów.

Kiedy wrócił do centrum, udał się cichaczem na górę. Zrobił porządek na biurku i resztę dnia spędził, przygotowując szczegółowy plan nasadzeń w ogrodzie krajobrazowym.

W czwartek rano miał spotkanie w banku, a kiedy skończył, nie mógł już znaleźć żadnego pretekstu, który pozwoliłby mu nadal unikać swojego miejsca pracy. W drodze powrotnej z banku powtarzał sobie, że nie ciągnie go do „Słonecznych Ogrodów”, bo w tej chwili panuje tam straszny zamęt, a mimo bałaganu, jaki zazwyczaj zostawiał w swoim gabinecie, stan ten doprowadzał go do szału. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że się oszukuje i że nie takie są prawdziwe powody.

Kiedy wjechał na parking, zobaczył zaparkowany przed wejściem autobus należący do pewnego domu spokojnej starości. Zamknął oczy i zaklął. Przecież to czwartek, a w czwartki seniorzy przyjeżdżali z wizytą. Na śmierć o tym zapomniał. Powinien był zadzwonić i odwołać wizytę.

Ostatnia rzecz, jakiej mu teraz trzeba, to żeby któraś z tych staruszek potknęła się na czymś i złamała nogę.

Wszedł do środka i omal nie poznał własnego sklepu. Wszystko wyglądało teraz zupełnie inaczej, a nie zaglądał tu tylko przez trzy dni. Nie wierząc własnym oczom, rozejrzał się wokoło.

Wszędzie panował wzorowy porządek, a na dole, w nie wykorzystanym dotąd punkcie, obok biura, wygospodarowano kącik wypoczynkowy. Wokół małej fontanny ustawiono komplet mebli ogrodowych - stolik, krzesła i dwie ławeczki - a całość odgradzono od holu donicami z palmami i kwitnącym hibiskusem. Czyjeś ręce, w tym pustym dotąd miejscu, w samym środku zimy, wyczarowały prawdziwie czarodziejski zakątek. Doris nigdy by na coś takiego nie wpadła. Nawet gdyby zapłacił jej milion dolarów i dał dziesięć lat do namysłu.

Sama Doris obsługiwała właśnie przy ladzie jakiegoś klienta. Na jego widok uśmiechnęła się i machnęła ręką, co miało oznaczać, że jest bardzo zajęta.

Mitch popatrzył na nią przez zmrużone powieki. Co się kryło za tym jej podejrzanym uśmiechem? Jeżeli to ona stoi za ladą przy wejściu, to kto oprowadza staruszków? Jak dotąd tylko Doris dobrowolnie zgłosiła się do tego zajęcia.

Doris musiała chyba czytać w jego myślach, bo posłała mu kolejny uśmiech. Nagle zrodziło się w nim straszne podejrzenie. Rzucił kurtkę na jedną z ogrodowych ławeczek i przez rozsuwane drzwi wbiegł do szklarni.

Ponad jednostajny szum wentylatorów wybijał się świergot podnieconych głosów. Mitch spojrzał w odległy

koniec hali. Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby się przekonać, kto oprowadza wycieczkę. Z zatkniętą za ucho gardenią, z opadającą na ramiona burzą czarnych loków, w ja-skraworóżowej bluzce, seniora Rodriguez wyglądała na tle tropikalnej roślinności jak egzotyczny kwiat. A otaczająca ją grupa staruszków była wręcz oczarowana.

Mitch patrzył na nią jak urzeczony. Po raz pierwszy w życiu widział ją nie tylko z rozpuszczonymi włosami, ale i w dżinsach. Nie miał dotąd pojęcia, że ma tak ponętne kształty i tak gęste i kręcone włosy. Każdy mężczyzna chciałby je natychmiast poskromić. A to tylko włosy... Nie ośmielił się nawet pomyśleć o jej kształtnych biodrach oraz pupie, wymodelowanej przez obcisłe dżinsy. Gdyby zajął się tym choćby przez kilka sekund, wpadłby w poważne kłopoty. Potrząsając głową, postarał się skupić na scenie, która się przed nim rozgrywała.

Cała grupa z najwyższą uwagą chłonęła każde słowo Marii, natomiast jedyni czterej panowie w tym towarzystwie zdawali się oblizywać na sam jej widok. Takie przynajmniej Mitch odniósł wrażenie. Ukryty za pnem potężnej palmy, stał, obserwując Marię i zastanawiając się nad tym, jak to długo potrwa, zanim pierwszy z tych obleśnych staruszków dostanie zawału.

Kiedy minął pierwszy szok, Mitch zauważył, że wszyscy trzymali coś w ręku. Tak. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Każdy trzymał małą doniczkę, wypełnioną ziemią. Doskonale pamiętał te doniczki. Kiedyś posadził w nich rośliny jednoroczne, których użył w ubiegłym se-

zanie do urządzenia ekspozycji. Później zamierzał je wyrzucić, ale jakoś o tym zapomniał. Po co Marii te stare, bezużyteczne doniczki? Co ona sobie wykombinowała?

Tymczasem Maria odwróciła się i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Ach, Mitchell, mógłbyś państwu pomóc? Kilka osób chciałoby coś kupić. - Rozłożyła z emfazą ręce i znów uśmiechnęła się rozbrajająco. - Nie wiem, jak pielęgnować niektóre rośliny. Doradzisz państwu, dobrze?

Mitch obrzucił grupę sceptycznym spojrzeniem. To był jego pomysł, te wycieczki seniorów. Chodziło mu o to, by starsi ludzie mieli jakiś bodziec do wyjścia i mogli pospacerować wśród kwiatów i tropikalnej roślinności w środku zimy. Jednak mimo znacznych upustów, jakie oferował tym grupom, sprzedał im zaledwie kilka roślin w ciągu ostatnich paru lat.

Maria znowu bezradnie wzruszyła ramionami, a potem machnęła w stronę dwóch ciasno wyładowanych wózków. Stało na nich po piętnaście doniczek, i to wcale nie tych najmniejszych. Czując, że zostaje poddany jakiejś próbie, Mitch zmusił się do uśmiechu i podszedł do grupy. Na jej końcu zauważył Gertie i lekko się rozchmurzył. Gertie to była jego sympatia.

Na jego widok drobna staruszka rozpromieniła się, po czym wymierzyła mu laską żartobliwego klapsa.

- No, nareszcie. Pomóż tej biednej dziewczynie. Narobiliśmy tu straszego bałaganu.

Mitch roześmiał się i objął ją.

- Znowu mnie podrywasz, Gertie?

- Idź sobie!-Staruszka wymierzyła mu kolejnego klapsa. Szurając nogami, podeszła do wózka i laską wskazała na olbrzymią donicę z jakąś rośliną.

- Ta jest moja. A teraz powiedz mi, co mam z nią robić. Maria w jednej chwili przeistoczyła się w posłuszną

podwładną. Cofnęła się o krok, złożyła ręce i przybrała minę niewiniątka. Mitch nie wierzył jej ani przez chwilę, mimo to udzielił Gertie wyczerpujących odpowiedzi, szczegółowo wyjaśniając zasady pielęgnacji nie tylko wybranej przez nią rośliny, ale i wszystkich pozostałych. Staruszkowie skupili się wokół niego, słuchając go z uwagą.

Kiedy skończył, zapytał, czy chcieliby się jeszcze czegoś dowiedzieć. Prawdę mówiąc, to on chciał zadać pytanie, postanowił jednak się wstrzymać. Nie będzie ich pytał, co jest w tych doniczkach, które dała im Maria. Może lepiej tego nie wiedzieć.

Skinął na Karen, która podlewała właśnie kwiaty dwa rzędy dalej, żeby zabrała jeden wózek, a sam zaczął pchać drugi w stronę kasy. Maria wzięła jedną ze staruszek pod rękę i dostosowując się do jej tempa, ruszyła wolno do wyjścia, z uwagą słuchając starszej pani. Mitch poczuł, że coś chwyta go za serce. Z każdego ruchu Marii przebijał głęboki szacunek. Równie troskliwie Jordan opiekowała się babcią. Prawdę mówiąc, porównanie to trochę go zaniepokoiło.

Po trzech kwadransach wszystkie rośliny zostały zapa-

kowe i opisane, a każdy kupujący dostał szczegółową instrukcję.

Potem Mitch i Maria odprowadzili wycieczkę do autobusu. Maria została nawet przez chwilę na dworze, żeby ich pożegnać. A oni wszyscy machali jak szaleni, jakby byli grupką podekscytowanych uczniów, wyjeżdżających na szkolną wycieczkę.

Kiedy Mitch wrócił do budynku, przebiegł go dreszcz. Doris popatrzyła na niego zza kas z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Nie masz zamiaru zapytać, prawda?

- O co? - zdumiał się Mitch.

- O to, co było w tych doniczkach. Mitch prychnął i potrząsnął głową.

- Nie mam.

- Ale ja i tak ci powiem - roześmiała się Doris. - Nasza Maria znalazła jakieś cebulki, kiedy sprzątała ten kącik na tyłach. O ile pamiętam, zeszłej wiosny ktoś rozerwał worek i potem pozbieraliśmy te cebulki, które się wysypały, do papierowej torebki i po prostu rzuciliśmy je do kąta. Pamiętasz?

Mitch pokiwał głową. Doris ciągnęła:

- Maria znalazła też pudło starych doniczek, a kiedy usłyszała o zbliżającej się wizycie seniorów, wpadła na świetny pomysł. Postanowiła dać wszystkim uczestnikom wycieczki po jednej doniczce z zasadzoną cebulką. Pomyślała, że w ten sposób będą mieli na co czekać i będą mogli obserwo-

wać kielkujące rośliny w środku zimy. To tak, jakby wypatrywać pierwszych oznak wiosny. I powiem ci, że staruszkowie tak się ucieszyli, jakby dała im Bóg wie co.

Mitch nie potrafił powiedzieć, czemu entuzjazm Doris tak bardzo działał mu na nerwy.

- To dobrze - burknął, ale szybko się opamiętał. Nie stało się przecież nic złego. Jedna z jego pracownic wykazała się inicjatywą i zrobiła coś, co w gruncie rzeczy zasługiwało na pochwałę. A on zawsze cenił inicjatywę.

Maria wróciła właśnie i skierowała się w stronę szklarni. Mitch poszedł za nią. Znalazł ją wśród kwitnących krzewów. Usuwała przekwitłe pąki. Wciąż miała we włosach gardenię, a choć nałożyła już zielony fartuch, który zakrył różową bluzkę, nadal otaczała ją tajemnicza, egzotyczna aura. No ale w końcu na tym świecie jest dużo kobiet o egzotycznej urodzie. Czemu wobec tego akurat na jej widok doznawał uczucia, że ziemia pali mu się pod stopami?

Zaczerpnął tchu.

- Mario!

Odwróciła się. Policzek miała umazany ziemią. Nagle zapragnął otrzeć jej twarz, ale zamiast tego wsunął ręce do kieszeni.

- Byłaś dziś wspaniała. To niezły pomysł z tymi cebulkami.

- Dobrze zrobiłam? - zapytała z niepokojem.

- Bardzo dobrze - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Wykorzystałaś z pożytkiem to, co pewnie byśmy wyrzucili.

Maria uśmiechnęła się nieśmiało, a potem wzruszyła ramionami.

- Pomyślałam sobie, że ci staruszkowie będą mieli jakiś cel.

Mitch pokiwał głową.

- Tak. To naprawdę był doskonały pomysł. Maria odetchnęła z ulgą.

- Nie byłam pewna, ale Doris mnie namówiła.

- O tak, to takie podobne do Doris. - Mitch kwaśno się uśmiechnął. Nagle poczuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Machnął niedbale ręką. - No cóż, to tyle. Możesz już wrócić do pracy.

- Dziękuję, Mitchell - odparła ze słodkim, zmysłowym uśmiechem, który pozbawił go resztek tchu. Poczul, że się dusi. Odwrócił się i jak w transie ruszył środkiem głównego przejścia. To nic, powtarzał sobie. Nic. Nie ma o czym mówić. Nic takiego się nie stało.

Mitch nie należał jednak do ludzi skłonnych przegapić jakiegokolwiek ostrzegawcze sygnały. Takim głupcem to on nie był. Dlatego w ciągu następnych dni starał się trzymać jak najdalej od swojej nowej podwładnej. Postanowił kierować się wyłącznie zdrowym rozsądkiem i wydawało mu się, że ma nad wszystkim kontrolę.

Niestety, wkrótce okazało się, że się mylił. Powinien był wyczuć, że coś wisi w powietrzu, już kiedy odwiedził go jego ojciec, cały rozdygotany, bo okazało się, że Cora miała jednak rację i zaczęły się kłopoty z Biurem Imigracyjnym. W ogóle wszyscy jakby się nagle na niego uwzię-

li. Zaczęli go nachodzić w pracy, próbując zwrócić jego uwagę na sytuację biednej Marii. Miotali się jak kury z obciętymi głowami, męcząc go i robiąc straszny zamęt. Nie mógł odmówić im pewnej racji, tyle tylko, że nie był to jego problem. Zgadzał się, że to straszne, kiedy ktoś jest o krok od spełnienia marzeń i nagle wszystko bierze w łeb, ale przecież on nie mógł nic na to poradzić.

Jak się miał wkrótce przekonać, reszta rodziny była zupełnie innego zdania. Któregoś dnia wezwano go na-naradę rodzinną do Murphy'ego. Oczywiście przyszedł, zajął wskazane miejsce i słuchał, nie wychylając się w żadną stronę i próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Wszyscy uważali, że prędzej czy później trzeba będzie powiedzieć Marii, jak sprawy stoją, ale nikt nie potrafił zdecydować, kiedy to ma nastąpić. Jedni byli zdania, że trzeba to zrobić już, inni protestowali, twierdząc, że lepiej poczekać, póki nie będą absolutnie pewni, iż wyczerpali wszelkie możliwości.

Najgłośniej mówiła Cora, skutecznie przekrzykując resztę rodziny.

- Słuchajcie, co mówię. Czemu nikt mnie nie słucha! -Policzki miała zaczerwienione, a w oczach wyraz najwyższej irytacji. - Nie da się z tym nic zrobić. Bez względu na to, co wymyślimy, Rodriguezowie nie będą mogli tu zostać. Nie możemy łamać przepisów, a przepisy mówią, że nie można się starać o prawo stałego pobytu w kraju, na którego terenie się przebywa. Spójrzmy prawdzie w oczy. Maria musi się o tym dowiedzieć. - Cora chciała jeszcze

coś dodać, ale babcia, ta ich Baba o złotym sercu, a zarazem przebiegła jak lis, przerwała jej lekceważącym gestem.

- Na to jest jedna rada - odezwała się autorytatywnym tonem. - Mitch musi się z nią ożenić!

Mitch popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu. Ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Jedno było pewne - Baba bez pudła potrafiła zwrócić na siebie uwagę.

Na moment zapadła grobowa cisza. Wszyscy umilkli. Prócz Murphy'ego. Ten okazał się na tyle bezczelny, że -wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ha! - wykrzyknął, klepiąc się po udach. - To pierwszorzędny plan, Baba! Za jednym zamachem upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Uratujemy Marię i ożenimy naszego poczciwego, starego Mitcha.

Mitch spojrzał na brata nienawistnym wzrokiem, a Baba, żeby ich uspokoić, podniosła rękę. Baba pochodziła z Ukrainy i nigdy nie owijała niczego w bawełnę. Teraz, widząc, że bracia lada moment skoczą sobie do oczu, powiedziała:

- To dobry plan. Mitchell potrzebuje żony, a Maria męża. Musi się udać.

Mitchell patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, tylko żyły coraz bardziej nabrzmiwały mu na skroniach. A potem nagle wstał, chwycił kurtkę i bez słowa opuścił to szacowne zgromadzenie. Co za diabeł opętał tę staruszkę? Zrobiła z niego kozła ofiarnego.

Kiedy klnąc, zakładał buty w korytarzu, słyszał dobie-

gający z salonu głos Baby. Mówiła tak głośno i wyraźnie, jakby chciała, żeby ją usłyszał:

- To dobry plan. Ja to wiem.

Tego już było Mitchowi za wiele. Wyskoczył z domu jak oparzony, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Nienawidził rodzinnych spotkań. Co za banda patentowanych osłów!

Na domiar złego w całej rodzinie nie znalazł się nikt, kto by posiadał bodaj odrobinę zdrowego rozsądku. Nie minął nawet tydzień, a już jego trzy siostry przyłączyły się do Baby. W ciągu tych dni Mitch coraz częściej żałował, że nie jest sierotą i jedynakiem. Próbował też być szczery w stosunku do samego siebie. To nie było tak, że Maria budziła w nim awersję. Wręcz przeciwnie - uważał ją za atrakcyjną kobietę, z tymi jej olbrzymimi oczyma i masą lśniących, kruczoczarnych włosów. Musiał też przyznać, że jej egzotyczna zmysłowość budziła w nim myśli, których potem sam się przed sobą wstydził.

Lubił też obu jej pasierbów. I szczerze współczuł Marii.

Prawdę mówiąc, uważał, że znalazła się w okropnej sytuacji. Jego współczucie nie sięgało jednak aż tak daleko, żeby gotów był się z nią ożenić. Raz już tego próbował i małżeństwo zakończyło się katastrofą, a przecież był wtedy po uszy zakochany w kobiecie, z którą się żenił. Przekonał się na własnej skórze, że niektórzy mężczyźni nie nadają się do małżeństwa. Był jednym z nich.

A co do Marii? Przecież jej nie zna! I odkąd przyjechała, wcale nie próbował poznać jej lepiej. To prawda, że

w pewien sposób należała do rodziny, ale ten kontakt przez całe lata sprowadzał się do listów i zdjęć, które kolejno zajmowały miejsce na kominku. Oczywiście widywał Marię w szklarniach, mimo iż próbował jej unikać, ale to jeszcze nie wystarczy, żeby zmuszać kogoś do żeniaczki. On i Maria?

Wykluczone!

Czego oni od niego chcą, do cholery? Dał jej przecież pracę, łamiąc przy tym tyle przepisów, że gdyby to się wydało, poszedłby siedzieć, i to na długo. Mimo to zaryzykował. Uważał, że moralnym obowiązkiem każdego człowieka jest pomóc bliźniemu, który znalazł się w potrzebie. Ta filozofia nie obejmowała jednak małżeństwa. Nie, póki ma dość sił, żeby protestować.

Kiedy w końcu stało się jasne, że Mitch nie spełni pokładanych w nim nadziei, rodzina Munroe rozpaczliwie próbowała wymyślić jakiś inny plan, który pozwoliłby Rodriguezm zostać na dłużej w Kanadzie. Mitch unikał, jak mógł, tych rodzinnych spotkań i starał się nie myśleć o kłopotach Marii. Miał dość swoich własnych problemów.

Choćby ten transport małych roślin tropikalnych, który uległ zniszczeniu podczas podróży. Nie była to wprawdzie aż tak wielka strata, bo ubezpieczenie pokryło wszystkie koszty, a dostawca zrezygnował z zapłaty, zostawiając za to Mitchowi cały zepsuty ładunek. Rośliny zostały wyładowane do małej szklarni i Mitch zamierzał wyrzucić wszystko na śmietnik. Jednak jego nowa pracownica wpadła na inny pomysł.

Wczesnym popołudniem Mitch natknął się na nią

w szklarni, gdzie pilnie sortowała rośliny. Nie była sama; towarzyszył jej dziadek Rodriguez. Na ławce leżały kawałki starych ozdób i przybrań, kępki mchu, kawałki kory i skorupki rozbitych doniczek.

W korycie pełnym gorącej wody moczyły się stare, wiklinowe koszyki. Kiedy już nasiąkły wodą, dziadek wyjmował je, nadawał im nowy kształt i naciągał na własnoręcznie wykonaną drewnianą formę. Było jasne, że ta zapracowana para starała się uratować przynajmniej część tego, co wszyscy uznali za bezużyteczne śmieci. Mitch westchnął z rezygnacją i potrząsnął głową. Co za strata czasu! Ale skoro miało to uszczęśliwić Marię i dziadka, niech im będzie...

Już miał odejść, kiedy Maria poruszyła się. Mitch zerknął na efekt jej pracy i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Z uszkodzonych roślin, zdeformowanych koszyków i różnych resztek Marii udało się wyczarować kompozycję tak oryginalną, jakiej dotąd nie widział. Rośliny wyglądały wprawdzie trochę ubogo, ale za kilka tygodni, kiedy się rozrosną, koszyki będą się prezentowały imponująco.

Zapominając o swoim postanowieniu, że będzie się trzymał z daleka od Marii, Mitch podszedł bliżej. Dziadek spojrzał na niego, a jego pomarszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Jego radość była tak zaraźliwa, że Mitch nagle się ożywił. Uśmiechnął się i uniósł rękę w powitalnym geście.

Maria za to nawet go nie zauważyła.

- Tak ciężko pracujesz, Mario.

Podskoczyła i chwyciła się za serce. W jej oczach do

strzegł poczucie winy, jakby przyłapał ją na czymś *zakazanym*. Oblizła wargi i uśmiechnęła się niepewnie.

- Mitchell...

Musiała oblizywać usta? Te pełne, kształtne usta, ponętne jak cała reszta jej osoby? Mitch nie mógł oderwać od nich oczu. Krew zaczęła żywiej krążyć mu w żyłach. Zirytowany, spojrzał nieco wyżej, prosto w jej oczy. Spoglądały na niego przepraszająco, co zmartwiło go, a nawet trochę rozgniewało. Zły na siebie, że tak zareagował, przybrał obojętny wyraz twarzy i w ogóle się nie odezwał.

Jego milczenie musiało ją zaniepokoić, bo wykonała nerwowy gest, wskazując na gotową aranżację.

- Pomyślałam sobie, że zrobię... próbkę. Tak, to jest dobre słowo. Zrobię kilka próbek, żebyś je sobie obejrzał i mógł wykorzystać uszkodzone rośliny. Za dwa, trzy tygodnie będą bardzo ładne.

Była taka niepewna. Serce ścisnęło mu się w piersi. Zapragnął dotknąć jej, przytulić ją i uspokoić.

Zamiast tego wcisnął ręce do kieszeni. Nagle dotarło do niego, że Maria nie rozumie, iż to nadawca ubezpiecza towar, i stara się mu pomóc odzyskać chociaż część strat. Ogarnęło go wzruszenie. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ktoś bezinteresownie troszczył się o jego sprawy. Musiało to być bardzo dawno temu.

- Bardzo ładne - powiedział szorstkim tonem. - Jestem pewny, że będą się dobrze sprzedawać.

Marii oczy zalśniły z radości.

- Tak myślisz?

Mitcha coś nagle ścisnęło za gardło.

- Tak. Wykonałaś dobrą robotę.

Maria odwróciła się do dziadka i zaczęła mówić coś do niego po hiszpańsku. Słuchając jej, staruszek radośnie się uśmiechał.

- To dobrze - powiedział.

Mitch także się uśmiechnął i już miał odejść, kiedy nagle go olśniło. Odwrócił się do Marii.

- Wiesz co - powiedział - chcę ci zaproponować pewien interes.

- Jaki interes? - zaniepokoiła się Maria. Mitch wskazał na koszyki.

- Wykazałaś się dużą inicjatywą... - Urwał i rzucił jej surowe spojrzenie. - Rozumiesz, co to znaczy inicjatywa?

- Tak, znam to słowo. - Maria była wyraźnie urażona. Mitch omal się nie roześmiał.

- No więc, skoro to był twój plan, żeby użyć tych resztek, proponuję, byśmy się podzielili zyskami po połowie.

Maria pokręciła głową.

- Nie, Mitchell. Nie. Nie pół na pół. Płacisz mi przecież pensję.

Znowu miał ochotę się roześmiać. Nagle zirytował go jej protest. Ujął się pod boki i oświadczył:

- Posłuchaj, gdyby nie twoja inicjatywa, to wszystko wylądowałoby na śmietniku. Ja tak prowadzę interesy. To się nazywa podział zysków. - Spojrzał na nią przez zmrużone powieki. - Albo się zgadzasz, albo...

W tym momencie staruszek, który pilnie przysłuchi-

wał się jego słowom, przerwał mu, kręcąc głową jak ptaszek:

- Zgadza się, zgadza. - Położył Marii rękę na ramieniu i zwrócił się do Mitcha: Zrobimy biznes... po kanadyjsku.

Maria odwróciła się i znowu zaczęła mówić szybko po hiszpańsku, próbując wpłynąć na dziadka, który pogroził jej palcem i odpowiedział coś cichym, lecz karcącym tonem. Maria patrzyła na niego przez chwilę, a potem z westchnieniem się poddała. Odwróciła się do Mitcha i dumnie unosząc głowę, powiedziała:

- Dziadek nalega. Zrobimy tak, jak chcesz. Mitch wytrzymał jej wzrok.

- Dobrze - odparł. - Powiem o tym Doris. - Odchodząc, słyszał, jak mruczała coś gniewnie po hiszpańsku. Uśmiechnął się. Jeżeli ten układ potrwa dłużej, będzie chyba musiał zacząć uczyć się hiszpańskiego, żeby dać sobie szansę.

Nagła decyzja o podziale zysków przyniosła niespodziewane owoce. Następnego dnia do pracy stawili się nie tylko Maria i dziadek, ale także obaj chłopcy. Widocznie sprawa została przedyskutowana na forum rodzinnym i zapadło postanowienie, żeby zrobić z tego „rodzinny interes”. Mitch został postawiony przed faktem dokonany. A to oznaczało, że miał na swoim sumieniu całą grupkę pracującą na czarno. Tego mu jeszcze było trzeba. Wolał nawet nie myśleć o tym, jakie poniósłoby konsekwencje, gdyby nagle wpadła kontrola i odkryła czterech nielegal-

nych imigrantów z Ameryki Łacińskiej, umazanych ziemią po łokcie.

Zmagał się przez chwilę ze sobą, a potem pomyślał, że jak już spadać, to z wysokiego konia. Jednak kiedy zaproponował Marii, że zatrudni także jej chłopców, nie chciała nawet o tym słyszeć. Zawarli już jedną umowę i mieli się jej trzymać.

Mitch próbował przymykać oczy na to, co działo się w szklarniach, ale okazało się to wcale nie takie łatwe. Któregoś dnia odkrył, że chłopcy odkurzyli półki, na których ustawiono koszyki. Nigdzie nie było ani jednego zwiędłego kwiatka czy listka. Jeszcze nigdy nie było tu tak czysto. Wiedział, że Maria za jego plecami wydawała im polecenia, ale, jak na razie, nie udało mu się ich na tym przyłapać. Można by co najwyżej pomyśleć, że w jego szklarniach buszują dwa dobre duszki. Na domiar złego wszyscy jego pracownicy z Doris na czele nieustannie rozplýwali się w zachwytach nad rodziną Rodriguezów. Irytowało to Mitcha, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego.

Nie mógł jednak udawać, że nie dostrzega pewnych zjawisk. Maria z dnia na dzień coraz lepiej mówiła po angielsku. Doris przygotowywała listę nowych słówek na każdy dzień, a potem wszyscy starali się używać ich jak najczęściej. Zrobili sobie z tego nawet pewien rodzaj gry. Mitch przypadkowo odkrył, że dwóch innych robotników także przy okazji poszerza swoje słownictwo. Czyli korzyść okazała się obustronna. Cała sprawa zatoczyła tak szerokie kręgi, że nawet niektórzy klienci dali się wciągnąć do tej zabawy.

Ale to jeszcze nie wszystko. Mimo iż Maria znaczną część czasu spędzała w magazynie, doglądając „rodzinnego interesu”, w praktyce przejęła też kontrolę nad szklarniami, a właściwie nad całym centrum. A personel tak szybko zaakceptował istniejącą sytuację, że nikt już nawet nie potrafił powiedzieć, jak sobie radzili bez Marii.

Mitch nie mógł też udawać, że nie widzi, jak doskonały kontakt miała Maria z klientami. Posiadała ten rzadki dar okazywania bliźnim niekłamane go zainteresowania. Starszych ludzi traktowała z najwyższym szacunkiem, a oni ją uwielbiali. Klientki ciągnęły do niej, bo była zawsze pogodna i potrafiła odgadnąć ich potrzeby. A mężczyźni... Mitch nie chciał nawet myśleć o mężczyznach. Chodzili za Marią krok w krok, wpatrzeni w nią jak w obraz.

Natomiast tam, gdzie w grę wchodziły sprawy Rodriguezów, robił wszystko, żeby niczego nie widzieć i nie słyszeć. I było mu z tym dobrze. Wolał o niczym nie wiedzieć i w nic się nie angażować. Poza tym w oczach rodziny chciał nadal uchodzić za zgryźliwego odludka.

Tak, był bardzo zadowolony ze swojego życia. Był absolutnie niezależny. Żadnych więzów, żadnych zobowiązań.

Ale wszystko to wzięło w łeb, kiedy któregoś dnia natknął się na wzruszającą rodzinną scenkę, rozgrywającą się w kącie szopy.

Już chciał skarcić Marię za to, że tak wcześnie przychodzi do pracy, kiedy nagle coś go powstrzymało. Rodrigue-zowie stali zbici w grupkę, skupieni nad czymś, czego nie

mógł dostrzec. A potem zobaczył, co się działo, i wzruszenie ścisnęło go za gardło. Patrzył na nich i nie był w stanie się ruszyć. Czuł, że zapamięta tę scenę do końca życia.

Na skrzynce siedział dziadek, w jednym tylko bucie. A szesnastoletni Roberto próbował wyciąć podeszwę z odrzuconego kawałka gumowej maty. Maria i Enrico patrzyli na niego i Maria cichym głosem dawała mu jakieś instrukcje po hiszpańsku. Mimo półmroku i mimo dzielącej ich odległości Mitch widział wyraźnie popekaną podeszwę buta dziadka.

Ucisk w gardle narastał. Nagle Mitch zadał sobie pytanie, jak to jest, kiedy człowiek ma tak niewiele, a szansa na lepsze życie zawisła na włosku? Jak to jest mieć marzenia, które praktycznie nie mają szans na to, żeby się spełnić? Trójka ludzi skupionych wokół tej kobiety, która jest ich jedyną ostoją i nadzieją.

Pełen pogardy dla samego siebie odwrócił się i bezszelestnie wycofał. Boże, potrzebny mu był taki wstrząs. Był tak bardzo pochłonięty podtrzymywaniem swojego status quo, że nie zauważał niczego, co działo się wokół niego.

Uważał się za jakiegoś bohatera, a tymczasem prawda wyglądała tak, że był cholernym, nieczułym egoistą o kamiennym sercu.

ROZDZIAŁ 4

To był istny dom wariatów! Mitch miał wrażenie, że znalazł się w samym środku oszalałego tłumu, na jakimś ważnym meczu. Tylko że to, co się działo, nie miało nic wspólnego ze sportem. Tutaj gra toczyła się o życie. Rzecz działa się w niedzielę, na rodzinnej kolacji w domu państwa Munroe. Jedna z kobiet - najprawdopodobniej jego matka - dała sygnał do startu, wołając, że kolacja jest już na stole. Wiadomość ta została natychmiast podana z ust do ust, z pokoju do pokoju, z piętra na piętro. Członkowie rodziny, niby uczestnicy maratonu, zaczęli gromadzić się i wspinać po schodach. Gwar podnieconych głosów wzbił się ponad szcęk naczyń, brzęk sztućców oraz krzyki dzieci. Mitch, z puszką piwa w ręku, próbował ukryć się w kącie za podwójną lodówką. Bał się, że zaraz dostanie ataku klaustrofobii.

Kuchnia, z oknami zaparowanymi od dymiących na stole półmisek, z płonącymi palnikami, z kłębiącym się w niej tłumem, napawała go przerażeniem. Pot zalewał mu nie tylko oczy, ale również spływał cienką stróżką wzdłuż kręgosłupa. Czuł, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma tego

ciśnienia i rzuci się do ucieczki. Nienawidził tych niedzielnych spotkań.

Początkowo miał zamiar wykręcić się od udziału w rodzinnej imprezie, ale jego siostra Jessica zadzwoniła, żeby tym razem koniecznie się stawił. Jessica tak rzadko go o coś prosiła, że poczuł się w obowiązku spełnić jej prośbę. Teraz gorzko tego żałował.

Rzecz nie polegała na tym, że nie kochał swojej rodziny. Kochał ich wszystkich i gotów był w każdej chwili oddać za nich życie. Problem tkwił w tym, że było ich tak dużo! A na domiar złego rodzina wciąż się powiększała. Byli jego rodzice i Baba, Murphy i Jordan z dwójką dzieci i trzecim w drodze. Jessica i Marco ze swoją trójką i czwartym w drodze. A na koniec bliźniaczki ze swoimi mężami. Cora i Martin nie mieli dzieci, za to Caroline i Jake mieli aż troje. Dodaj do tego czwórkę Rodriguezów - i klaustrofobia gotowa! Mitch miał wrażenie, że zaraz się udusi. Biły na niego siódme poty. Każde z nich z osobna było w porządku, ewentualnie w małych grupkach. Ale cała ta banda w jednym pokoju, w środku zimy, tak że nawet nie można uciec na dwór, to już było ponad jego siły.

Liczebność także nie miała tu większego znaczenia. Chodziło raczej o tę zbiorową mentalność rodziny Munroe. Mitch gotów był się założyć o swój całoroczny dochód, że kiedy już zabraknie im innych tematów, ktoś wskaże na niego i wszyscy wezmą go w obroty. Posypią się wtedy uwagi na temat jego stylu życia. Rzucają się na niego jak sfora psów na niedźwiedzia. Nic dziwnego, że

ich brat Cameron znalazł sobie pracę aż w Ameryce Południowej. Był to jedyny pewny sposób, żeby uniknąć tych rodzinnych spędów. No ale Jessica osobiście do niego zadzwoniła i zaprosiła go, a on nie był aż takim nieużytkiem, żeby odmówić. Zwłaszcza że w jej głosie brzmiały niepokojąco błagalne tony.

Próbując zachować spokój, dopił piwo. Jaka szkoda, że to nie whisky. Może wzmocniłaby go na tyle, żeby mógł jakoś przeżyć te kilka kolejnych godzin.

Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się. To była Jordan, z małym Erikiem w objęciach. Patrzyła na Mitcha z błyskiem w oku, a na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Ona jedna zdawała się dostrzegać, jak bardzo nie znosił tych rodzinnych scen. Mitch czasami odnosił wrażenie, że rozumiała go jak nikt inny. Teraz poklepała go po ręce.

- Trzymaj się, szwagrze. Przeczucie mówi mi, że dziś wieczorem będziesz bezpieczny.

Mitch kwaśno się uśmiechnął.

- Możesz mi to dać na piśmie?

Mały Erie roześmiał się i chwycił Mitcha za rękaw. Jordan wytarła mu buzię chusteczką, a potem podała go wujowi.

- To nie warunki umowy, Mitch - powiedziała, patrząc na niego rozbawionym wzrokiem. - To tylko moje zdanie. - Poprawiła synkowi szelki, a potem połaskotała go w brzusek. Mały radośnie zachichotał. - A jesteś bezpieczny dlatego - Jordan nagle spoważniała i znowu zwrócili się do Mitcha - że wszyscy mają dziś inne sprawy na głowie.

- Jakie znowu inne sprawy? Jordan wzruszyła ramionami.

- O ile wiem, Cora wygarnęła dziś rano rodzicom, co myśli o dalszym utrzymywaniu Marii w nieświadomości. A na koniec zażądała, by jej wreszcie o wszystkim powiedzieli.

- No i co? Powiedzieli?

Jordan z westchnieniem skinęła głową.

- W pewnym sensie. Zdaje mi się, że uprzedzili ją, że mogą wyniknąć kłopoty.

Mitch poczuł dziwny ucisk w piersi.

- Jak ona to przyjęła?

Jordan znowu wzruszyła ramionami i zaczęła poprawiać Ericowi ślimak.

- Ze stoickim spokojem. Może nie do końca pojęła, co jej grozi. Z tego co wiem od mamy, postanowiła niczego nie mówić chłopcom. - Jordan spojrzała na Mitcha zatroskanym wzrokiem. - Ona chyba liczy na jakiś cud. - Uśmiechnęła się blado i zaczęła przyglądać synkowi włosy. - Trudno ją zresztą o to winić.

Ktoś nagle zawołał Jordan, a ona odwróciła się i potem znowu spojrzała na Mitcha.

- Mogę go z tobą zostawić? - zapytała, wskazując na synka.

Mitch skinął głową. W oczach Jordan ukazał się błysk rozbawienia.

- Nie spuszcza go z oczu - ostrzegłaś - W jego obecności żadna z babcinych roślin nie jest bezpieczna.

Chyba

za dużo czasu spędził w szklarniach, oglądając wujka Mitcha. Ciągłe mu się wydaje, że musi wszystko przesadzać. Mitch roześmiał się.

- Jeżeli będzie go to nadal interesowało, mogę go zatrudnić na wiosnę.

Jordan wzniosła oczy do góry.

- Bądź grzeczny i słuchaj wujka, synku.

Mitch patrzył za nią, jak podchodzi do stołu i bierze od Jessiki duży plastikowy pojemnik, a potem przeniósł wzrok na bratanka. Erie próbował właśnie wsunąć pulchny paluszek do dziurki w puszcze. Tego jeszcze mu trzeba - żeby palec ugrzązał dzieciakowi na dobre. Szybko odstawił puszkę na stolik z telefonem.

Erie wykrzywił się i natychmiast spróbował wsadzić wujowi palec do ucha. Mitch złapał go za rękę i chciał go połaskotać, ale Erie nie dał się nabrać na te zabawy dla niemowlaków. Wyrwał się i zaatakował dziurkę w nosie. Mitch zrobił groźną minę, a potem odwrócił go do góry nogami. Piszcząc z radości, chłopczyk próbował dotknąć rękami podłogi.

Mitch opuścił go trochę niżej, a potem znów podrzucił do góry. Erie zanosił się od śmiechu. Była to ich stara zabawa i chłopczyk ją uwielbiał. Bawili się tak jeszcze przez chwilę, a na koniec Mitch posadził sobie chłopca na barana. Uśmiechnął się sam do siebie. Jordan nie musiała go ostrzegać. Z doświadczenia wiedział, że jeśli chce się uniknąć kłopotów, trzeba trzymać dziecko wysoko nad ziemią.

Uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył utkwione w sobie oczy Marii. Z drugiego końca kuchni patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Ziemia zawirowała mu pod stopami. Odwrócił wzrok. Musiał chyba być w wyjątkowo złej formie, skoro wystarczyło dziesięć minut figli z bratankiem, a już zabrakło mu tchu.

Kolacja przypominała porę karmienia w ogrodzie zoologicznym. Było ich po prostu za dużo, żeby mogło się to odbyć w cywilizowanych warunkach, dlatego ustawiono bufet. Babcia Munroe wyznawała zasadę, że dzieci nie mogą chodzić po domu z jedzeniem, dlatego najmłodszych usadzono przy dużym, kuchennym stole, razem z Babą i paroma dorosłymi. Reszta po prostu nałożyła sobie na talerze i usiadła, gdzie popadło. Mitchell znalazł sobie cichy kącik w salonie. Enrico i Roberto poszli za nim. Chłopcy byli wyraźnie oszołomieni. Pewnie ten tłum, składający się z rodziny Munroe, przytłaczał ich, podobnie jak jego. Uśmiechnął się do nich:

- Możemy się tu razem ukryć, chłopaki. Jak na mnie, jest tam za duży tłum.

Czternastoletni Enrico rzadko się odzywał w jego obecności, za to w szklarniach towarzyszył mu jak cień. Teraz uśmiechnął się nieśmiało i usiadł obok niego na podłodze, opierając się plecami o sofę. Starszy, Roberto, sam wdzięk i urok, obdarzył go ujmującym uśmiechem i rozsiadł się przed kominkiem.

- Strasznie tu dużo ludzi. Kuchnia wygląda jak boisko. Mitch roześmiał się i pokiwał głową.

- Masz rację. - Uznał, że to bardzo trafne określenie.

Przyjrzał się uważnie chłopcom i zauważył, że mają na sobie podniszczone ubrania. Już wcześniej dotarło do niego, że nie mieli praktycznie niczego. To, w czym byli teraz, plus kilka starych dresów, które nosili w pracy.

Bardzo chciał coś dla nich zrobić, ale wiedział, że Maria potraktuje to jak jałmużnę i poczuje się dotknięta. Teraz nadarzała się okazja. Zbliżały się ich urodziny. Będzie miał pretekst, żeby ich zabrać na zakupy. A ponieważ Maria postawiła kategoryczne weto, kiedy chciał im płacić, mógł teraz posłużyć się tą samą bronią i powiedzieć, że nowe ubrania są formą wynagrodzenia. Przeczuwał z góry, że jej się to nie spodoba, ale trudno. Miał na utrzymaniu tylko siebie i tych kilka dolarów nie zrobi mu żadnej różnicy. A te dzieciaki zasłużyły sobie na to, żeby mieć trochę porządnych ubrań. Jedli w milczeniu, tylko chłopcy od czasu do czasu wymieniali jakieś uwagi po hiszpańsku. Mitch udawał, że tego nie słyszy. Nie starał się unikać rozmowy - on tylko zastanawiał się nad tym, jak w naturalny sposób zacząć, by nie wyglądało na to, że się wtrąca.

Kiedy chłopcy zaczęli przychodzić do szklarni, Doris starała się wynajdywać im rozmaite zajęcia. Także Maria pilnowała, żeby obaj mieli co robić, na przykład proponując, żeby nosili starszym osobom ciężkie doniczki do samochodu.

Kiedy Roberto po raz pierwszy dostał napiwek, od razu przyniósł pieniądze Mitchowi. Enrico także był przy tym i Mitch wytłumaczył im, że napiwki mogą sobie zatrzy-

mac. Chłopcy natychmiast poszli do Marii i po dłuższych wyjaśnieniach, których nie rozumiał, oddali jej pieniądze. Mitcha zaintrygowało nie to, w końcu nie było w tym nic nadzwyczajnego - lecz fakt, że ich zachowanie wydało mu się częścią jakiegoś planu.

Po chwili chłopcy znowu przeskoczyli na angielski. Zaczęli mówić o meczu, który oglądali w telewizji. Enrico powiedział, że ma nadzieję, iż w szkole, do której pójdzie, będzie drużyna piłkarska. Mitch przestał jeść i przyjrzał mu się uważnie. Bracia wyraźnie nie zdawali sobie sprawy, że pewnie nigdy nie pójdą do szkoły w Kanadzie. Nagle stracił cały apetyt. Odstawił talerz na stolik i rozsiadł się wygodniej, krzyżując ręce na piersi.

Postanowił zmienić temat, żeby zagłuszyć niepokój.

- Co wy na to, chłopaki, żeby się nauczyć prowadzić? - rzucił jakby mimochodem.

Bracia aż podskoczyli z wrażenia.

- Bardzo byśmy chcieli - powiedział z uśmiechem Roberto.

Mitch patrzył na ich rozradowane miny i rysy mu złagodniały.

- Najpierw trzeba zdać egzamin, dopiero potem dostaje się prawo jazdy.

Roberto i Enrico wymienili spojrzenia, a potem Enrico zapytał:

- Egzamin?

Mitch pokiwał głową.

- Tak, egzamin. Test To nic trudnego. Są specjalne podręczniki i jeśli człowiek nauczy się wszystkiego, na pewno go zda.

Chłopcom z wrażenia zaświeciły się oczy.

- Gdzie można dostać podręcznik, Mitchell?

- Tak się akurat składa, że mam dwa przy sobie. Poszukajcie w wewnętrznej kieszeni mojej kurtki. Chłopcy odstawili talerze, poderwali się i wypadli na korytarz. Mitch patrzył za nimi, rozbawiony. Chłopcy i samochody - pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Maria spostrzegła ich, kiedy przeszukiwali kieszenie jego kurtki. Mitch słyszał, jak beszta ich półgłosem po hiszpańsku, i postanowił wystąpić w ich obronie.

- Wszystko w porządku, Mario. Przyniosłem dla nich książki, a te książki są w kieszeni mojej kurtki. Powiedziałem im, że mogą je sobie wziąć.

Maria spojrzała na Enrica, który, rumieniąc się z wrażenia, zaczął jej coś tłumaczyć po hiszpańsku. Popatrzyła niepewnie na Mitcha.

- Nie bój się, mamusiu - pocieszył ją Mitch. - I tak najpierw będą musieli zdać egzamin.

Maria splotła nerwowo palce i spróbowała się uśmiechnąć. Cała jej poza wyraźnie świadczyła o tym, że jest zmartwiona i zaniepokojona, a wokół jej oczu ukazały się zmarszczki. Cały ciężar spoczywał na jej barkach, a teraz jeszcze ich marzenie, by pozostać w Kanadzie, zostało zagrożone. To musiał być dla niej straszny cios. Na pewno była autentycznie przerażona, choć próbowała tego nie okazywać.

Lekceważąc wszelkie sygnały ostrzegawcze, Mitch wskazał miejsce na drugim końcu sofy.

- Siadaj i przestań się martwić, Mario. Nie tak prędko znajdą się za kółkiem.

Maria posłała mu blady uśmiech i zaczęła nerwowo gestykulować. Nagle coś go olśniło. Chodzi jej o coś więcej niż prowadzenie samochodu. Ona się boi, że to będzie drogo kosztowało.

- To nic nie kosztuje - skłamał gładko. - A zresztą, i tak na pewno obleją za pierwszym podejściem. - Gotów był się założyć, że to niemożliwe. Znał już tych chłopców na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że wykują całą książkę na pamięć. Nie było szans, żeby nie zdali. Maria oczywiście nie musi o tym wiedzieć. - A zresztą, to drobnostka.

Maria zrzuciła buty i usiadła na drugim końcu sofy.

- To nie jest drobnostka, Mitchell - powiedziała z wyrzutem, wskazując na chłopców, którzy siedzieli przed kominkiem i przeglądali podręcznik. - Przynajmniej dla nich.

Mitch rozsiadł się wygodnie na sofie i obdarzył ją uśmiechem, który w jego pojęciu miał jej dodać otuchy.

- Mam szkółkę drzew, kilka godzin jazdy stąd, na północ. Jak tylko zrobi się cieplej, zabiorę tam chłopaków i niech sobie poćwiczą. Na takiej przestrzeni nie narobią szkód, a im samym też nic się nie stanie.

- Może tak ci się wydaje, Mitchell - powiedziała Maria - ale nie wiesz tego na pewno.

- Jestem absolutnie pewny.

Nagle Maria przestała się uśmiechać. Na jej twarzy odbiło się zmęczenie. Mitch pomyślał, że pewnie źle ostatnio spała.

Jednak najbardziej gnębiło go to, że była taka stroskana i taka samotna. On sam doświadczył samotności i dobrze wiedział, co to za uczucie. A do tego ta perspektywa powrotu do dawnej biedy... Jemu samemu ciężko było o tym myśleć. Najchętniej wstałby i wyszedł, ale nie miał serca zostawiać Marii sam na sam z jej strapieniem. Bez zastanowienia chwycił ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho. - Nie martw się na zapas. Dobrze?

Oczy Marii napełniły się łzami. Chciała wstać, ale Mitch wzmocnił uścisk i nagle - sam nie wiedział, jak to się stało - jej palce kurczowo zacisnęły się wokół jego dłoni. Popatrzyła na niego, a w jej wzroku malowała się rozpacz.

A potem raptownie poderwała się i wybiegła z pokoju. Przytłoczony poczuciem winy, Mitch zamknął oczy. Nie powinien był jej dotykać. To była ta zasada, której nie opłacało mu się łamać. Rękę wciąż miał rozgrzaną od ciepła jej dłoni. Dotknął policzka. Twarz mu płonęła. No tak, jest jeszcze wiele zasad, których nie powinien łamać.

W nocy wiał południowy wiatr, a rano w powietrzu unosił się już zapach wiosny. Prace renowacyjne zostały zakończone i centrum było gotowe na przyjęcie klientów, którzy zwykle dumnie zjawiali się wraz z wiosną.

Wszystko to powinno cieszyć Mitcha, a jednak czuł się podle. Wstał z silnym bólem głowy, jakby miał kaca, ale go nie miał, więc go to irytowało. Źle spał tej nocy. Najpierw długo nie mógł zasnąć, a kiedy mu się wreszcie udało, męczyły go sny, których w całości nie pamiętał, ale ich fragmenty utkwiły mu w głowie: Maria wyciągająca do niego ręce, Maria wołająca do niego poprzez ciemność. .. Wszystko to było zupełnie bez sensu. A na domiar złego pogarszało tylko jego samopoczucie.

Na szczęście okazało się, że trzeba wysprzątać magazyn, w którym trzymali worki z nawozami i nasionami oraz dekoracyjne kamienie z ubiegłego lata. A skoro przez następne kilka dni miał wiać południowy wiatr, pora była najlepsza na tego rodzaju prace, Mitchowi było to bardzo na rękę. Mógł w ten sposób nie pojawiać się w centrum, nie szukając pretekstów.

Właśnie szalał na wózku widłowym, układając na stos zeszłoroczne skrzynki, kiedy z bocznych drzwi wyłoniła się Doris, opasana fartuchem. Krzyknęła, żeby przestał bawić się jak dziecko i przyszedł do sklepu, bo jest im potrzebny.

Mitch skończył ustawiać skrzynki, zostawił wózek w szopie i bardzo niechętnie udał się do centrum. Już zza szklarni słychać było ruch na parkingu. A choć Mitch z doświadczenia wiedział, że wraz z ciepłym wiatrem zjawiali się pierwsi ogrodnicy, nie spodziewał się aż tak wielkiego napływu klientów. Wiedział też, że nie ma potrzeby wzywać dodatkowych pracowników, bo zanim

ktoś przyjdzie, tłok sam się rozładuje. Zasiadł przy jednej z kas i przez dłuższy czas inkasował pieniądze za nasiona, cebulki w doniczkach oraz poradniki ogrodnicze.

Kiedy wreszcie zamknął kasę i szedł na górę do biura, zobaczył Roberta. Chłopak skończył właśnie ładować tuzin wielkich donic do furgonetki Millie Black, projektantki wnętrz, która zakupiła te rośliny do czterech urządzanych przez siebie domów. Na widok niebieskiego banknotu pięciodolarowego, które Roberto trzymał w ręku, Mitch uśmiechnął się. Millie od dziesięciu lat była jego klientką, ale jeszcze nigdy nie dała nikomu napiwku.

Chłopak zauważył go i uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Mówiłem do niej „panienko” i chyba jej się to spodobało.

Millie musiała dość dawno przekroczyć pięćdziesiątkę. Mitch chrząknął i poklepał chłopca po plecach.

- Rób tak za każdym razem. - A potem nagle, trochę wbrew sobie, zapytał: - No, chłopaki, na co wydacie waszą forszę, na dziewczyny?

Roberto roześmiał się. Oczy mu się zaświeciły.

- Nie, nie. My nie znamy żadnych dziewczyn, Mitchell.

Pełen obrzydzenia do samego siebie, Mitch dalej naciskał:

- No to na co?

Chłopak spoważniał i odwrócił wzrok.

- Oddajemy pieniądze *mądre* - naszej mamie. Oszczę-

dzamy na własne mieszkanie. - Wzruszył ramionami i podniósł z podłogi papieraek. Nie patrząc na Mitcha, zmiał go w kulkę. - Mama ma dużo obowiązków, a my staramy się jej pomóc. Mówi, że... - Urwał, szukając właściwego słowa - ...że już za długo korzystamy z gościnności twojej rodziny. - Popatrzył na Mitcha, uśmiechnął się i wskazał na rozsuwane drzwi, prowadzące do szklarni. - Muszę już iść, bo mam przenosić rośliny. Doris znalazła dla mnie różne prace.

Mitch skinął głową i obdarzył go wymuszonym uśmiechem, ale kiedy patrzył w ślad za odchodzącym chłopcem, serce ścisnęło mu się w piersi.

Potrzebował trochę czasu, żeby w samotności przetrwać to, co właśnie usłyszał. Wrócił do biura, zamknął drzwi na klucz, a potem stanął przy oknie. Więc te dzieci oszczędzają napiwki, żeby mieć swoje własne mieszkanie, żeby pomóc matce. Przypomnił sobie scenę w szopie, kiedy wycinali dziadkowi nową podeszwę do buta. Pomyślał, że życie nie powinno być aż tak ciężkie. Nie mógł temu zaradzić. Nie mógł zrobić nic, nie urażając przy tym dumy Marii. Ona nie chciała jałmużny. Chciała tylko uczciwej szansy dla swoich dzieci. Szansy, której pewnie nie dostanie.

I jeszcze jedna sprawa. Trudno było uwierzyć, że Maria jest tylko ich macochą - że chłopcy nie są jej własnymi dziećmi. Była matką w każdym tego słowa znaczeniu i widać było, że i obaj pasierbowie, i jej teść są do niej bardzo przywiązani. Mitch nagle uświadomił sobie, że Maria nie

jest aż tak dużo starsza od Roberta - najwyżej czternaście lat. A jednak dzieliła ich olbrzymia różnica doświadczeń.

Przełknął, czując, że gardło wciąż ma ściśnięte, i otarł dziwnie wilgotne oczy. Może te koszyki pozwolą im zarobić parę dolarów ekstra. Zaczął żałować, że zaproponował Marii tylko połowę zysków, ale z drugiej strony wiedział, że była to maksymalna kwota, jaką ona skłonna była przyjąć. Tego nie dało się zmienić. Mógł za to podnieść ceny. Tego nikt nie może mu zabronić.

Nagle przypomniał sobie, że na górze, naprzeciwko jego mieszkania, jest wolne małe mieszkanko. Urządził je przed laty dla kierownika centrum, ale od jego wyjazdu mieszkanie stało puste, bo Doris miała swoje własne. Tylko czasami sypiał w nim ktoś z rodziny albo krewni Doris. Tylko czy Maria zgodzi się na coś takiego? Gotów był się założyć, że nie.

Po jakimś czasie Mitch doszedł do wniosku, że cała ta sprawa z Marią zaczęła go za bardzo dotyczyć. Trzeba było coś z tym zrobić. Z dnia na dzień podjął decyzję, że uda się na farmę. Przed wyjazdem przeprowadził tak precyzyjny spis, że praktycznie ani jedno nasionko nie zostało pominięte, a kiedy skończył, zaczął wybierać towar na sezon wiosenny. Doris uznała go za wariata, a Mitch zaczynał po cichu przyznawać jej rację.

Zazwyczaj czas spędzony na farmie traktował jako przerwę w codziennej rutynie, tym razem jednak była to raczej ucieczka, chociaż sam nie potrafił powiedzieć, przed czym

ucieka. Najpewniej przed samym sobą. Obecność Rodriguezów otworzyła dawno zabliznione rany, a on wcale tego nie chciał. Czuł się przez to jakby osłabiony.

Nie mógł też przestać myśleć o tym, jak zbierali pieniądze na przyjazd do Kanady, jak potem oszczędzali każdy grosik, żeby mieć wreszcie własny kąt. Myślał o godności i dumie, o rozpacz i samotności. Nie potrafił policzyć, ile bezsennych nocy spędził na rozmyślaniu o tym, że nie chcieli niczego, prócz uczciwej szansy. Myślał także

o własnym życiu i o tym, ile szans sam zaprzepaścił.

i wcale nie wpłynęło to dobrze na jego samopoczucie.

Do Calgary wrócił w ostatnim tygodniu marca. Sam nie był pewny, czy chce wracać, ale nie mógł już przedłużać pobytu. Wyjeżdżając, zostawił wszystko na głowie Doris i przyszła w końcu pora, by ją odciążyć.

Kiedy wjeżdżał na parking przed centrum, było już po dziesiątej wieczorem, ale mimo ciemności zobaczył, że zaspasy śniegu znacznie się zmniejszyły. Sądząc po różnych oznakach, będą mieli tego roku wczesną wiosnę. Właściwie powinien się cieszyć, ale był w tej chwili taki zmęczony, że było mu wszystko jedno. Marzył tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku i przespać spokojnie kilka godzin.

Nie do końca mu się to udało. Bładym świtem u drzwi stanęli Murphy i Cora. Mitch wciągnął stare spodnie, otworzył drzwi i obrzucił ich nienawistnym wzrokiem. Zostawiając uchylone drzwi, w nadziei, że za nim nie pójda, ruszył w stronę kuchni.

- Boże! - burknął. - Czy ta rodzina naprawdę nie ma nic lepszego do roboty? - Kiedy zaczął nalewać wody do czajnika, usłyszał odgłos zamykanych drzwi, a potem poczuł zapach perfum Cory. Skrzypnęło krzesło. Mitch nadal udawał, że ich nie dostrzega. Zaparzył kawę, a potem wsadził głowę pod kran z zimną wodą, żeby się obudzić.

Lodowata woda skutecznie wypędziła z niego resztki snu. Intuicja z miejsca podpowiedziała mu, że powinien mieć się na baczności. Sięgnął po ręcznik, wytarł włosy i twarz, a potem powiesił sobie ręcznik na szyi. Nie kryjąc irytacji, oparł się o kuchenny blat i skrzyżował ręce na piersi. Nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył na nich wyczekująco. Cora miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, że zaczęła się niepewnie wiercić pod jego wzrokiem. Za to jego brat stanął pod ścianą w identycznej pozycji jak Mitch i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dobry dzionek, Mitchy - powiedział.

- Odwal się - burknął Mitch.

Cora zaczęła nerwowo szarpać pasek od torebki. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

- Mitch, mamy problem.

- Nie, my nie mamy żadnego problemu - odpowiedział, wyraźnie akcentując słowo „my”.

- Udało mi się przekonać tatę, żeby poszedł do prawnika specjalizującego się w sprawach imigracyjnych. - Cora zachowywała się, jakby go nie słyszała. - Tato się z nim pokłócił i w ogóle nie chciał go słuchać. Boję się, że narobi nam kłopotów.

Mitch popatrzył na nią, a potem na brata.

- Sam mam masę kłopotów, a jest dopiero wpół do siódmej.

Murphy nic nie powiedział, tylko wciąż na niego patrzył.

- Gdybyś spróbował pomówić z tatą... - zaczęła Cora. - Może ciebie by posłuchał. Nas nie chce.

Mitch prychnął z irytacją.

- Dziwi was to? Pamiętajcie, jak Murphy ostrzegł go, że chodnik się załamie? Czy ojciec go posłuchał? Czekał tak długo, aż wszystko się zapadło, a potem grzmiał przez cały tydzień.

Cora poczerwieniała. Uniosła głowę.

- Tu nie chodzi o chodnik, Mitchell - powiedziała podniesionym głosem. - Chodzi o cztery osoby, których życie może się nieodwracalnie zmienić, jeżeli temu jakoś nie zaradzimy. Musimy działać zgodnie z prawem. Jeżeli tato weźmie sprawę w swoje ręce, skończy się na tym, że deportują ich bez prawa powrotu.

Chcąc nie chcąc, Mitch musiał przyznać Córce rację.

- Posłuchaj - powiedział, wzdychając z rezygnacją -zrobię, co będę mógł. Sami wiecie, że mam na niego niewielki wpływ. Poza tym, wcale nie jestem pewny, czy działanie zgodnie z prawem będzie miało jakiegokolwiek znaczenie. Jeżeli chodzi o Rodriguezów, to i tak nic nie zmieni.

Murphy spojrział na niego z ukosa. W jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Jest pewne wyjście, braciszku. Zrób tak, jak radzi Baba. Ożeń się z Marią - rzekł z uśmiechem. - Będziesz pewnie musiał przekonać tych urzędasów z Biura Imigra-cyjnego, że byliście już wcześniej zaręczeni, jeszcze przed jej przyjazdem. Jeśli ona już kiedyś była zamężna, to znaczy, że spełnia wszystkie wymagania.

- Nalej sobie kawy - burknął Mitch w odpowiedzi. -Ja idę wziąć prysznic.

Kiedy wrócił do kuchni, już ich nie było, co wcale nie oznaczało, że wraz z nimi ulotnił się problem. Zapach perfum Cory wciąż unosiły się w powietrzu, przyprowadzając Mitcha o ból głowy. Został także pozbawiony swojej jedynej przyjemności - porannej filiżanki kawy. Potem od jego ulubionej koszuli odpadły dwa guziki. Właściwie ten rano można już było uważać za stracony, choć tak naprawdę nawet się nie zaczął.

Mitch zszedł na dół, a z każdym krokiem narastał w nim lęk. Taki fatalny początek dnia nie wróżył niczego dobrego.

Tymczasem okazało się, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Nadszedł nowy transport roślin i Doris zleciła Marii zaprojektowanie koszyków wielkanocnych. Nowa kolekcja prezentowała się wspaniale. Wszędzie panowała wręcz sterylna czystość. Personel szczerze ucieszył z jego powrotu, co bardzo podniosło go na duchu. Jednak najbardziej uradowała go wiadomość, że Doris urządziła wystawę koszyków Marii, które rozchodziły się jak świeże bułeczki, mimo iż podniesiono cenę.

Doris podliczyła cały dochód i część należną Marii odłożyła do brązowej koperty, którą wręczyła Mitchowi po jego powrocie. Na widok uzyskanej sumy Mitch aż gwizdnął.

- No proszę, to nieźle jak na zysk z czegoś, co miało być wyrzucone na śmietnik.

Doris roześmiała się.

- Poczekaj tylko, aż zobaczysz, co zrobiła z *Lilium longiflorum*. - Pstryknęła w kopertę. - Daj jej to, szefie. To ją podniesie na duchu. Ostatnio była w kiepskim humorze. - Pogroziła mu palcem. - Zrobiła się też bardzo drażliwa. Więc bądź dla niej miły.

- Ja zawsze jestem miły - obruszył się Mitch. Poklepała go po policzku i odwróciła się.

- Jesteś, jesteś. A psy nie gryzą.

Mitch spiorunował ją wzrokiem i skierował się w przeciwną stronę. Ach, te kobiety. Zawsze muszą mieć ostatnie słowo. Miał ochotę poużalać się nad sobą jeszcze przez chwilę, ale brązowa koperta parzyła mu rękę. Nie chciał, żeby cokolwiek przypominało mu o Marii i jej ciężkim położeniu. Zwłaszcza że wiedział już, jak się to skończy.

Znalazł ją w drugiej szklarni, na rozklekotanej drabinie. Przeplatała długie pędy jaśminu przez drewnianą pergolę. Przecież ta drabina ledwo się trzyma. Jeżeli się załamie, Maria spadnie i może zrobić sobie krzywdę. Co ona najlepszego wyprawia? Chce się zabić czy co? A tak w ogóle, kto zbudował ten łuk i skąd się wzięły te gałęzie jaśminu? Tydzień temu ich tu nie było.

108

Mrucząc gniewnie pod nosem, zbliżył się i przytrzymał drabinę.

- Co ty wyprawiasz? Ty nie jesteś od takiej roboty. Teraz rozumiem, dlaczego Abel siedzi sobie na zapleczu i objada się pączkami. Proszę, zejź, zanim skręcisz sobie kark.

Maria nie przestała przeplatać gałązek przez kratki.

- Nie mów do mnie takim tonem, Mitchell - powiedziała zupełnie jak matka, która karci rozpieszczone dziecko. - Masz bardzo złe maniery.

Może to przez tę przerwana poranną kawę, ale pouczający ton Marii z miejsca wytrącił go z równowagi.

- Dobra. Dostyc tego. Schodź! Muszę z tobą porozmawiać.

Maria zachowywała się tak, jakby była głucha. Tylko jej butnie uniesiony podbródek świadczył o tym, że teraz to on wytrącił ją z równowagi. Na nim jednak nie zrobiło to wrażenia. Ona nie miała prawa gimnastykować się na dwumetrowej drabinie.

Ale czy go posłuchała? Nie! Nawet nie przerwała swojego zajęcia. A do tego ta jej królewska mina! Mitch policzył w myślach do dziesięciu i zdecydował, że nie będzie się z nią kłócił. W końcu ostatnio nie było jej lekko, a on także trochę przesadził.

W powietrzu rozszedł się zapach jaśminu. Maria umocowała ostatnią gałązkę i zaczęła rozprostowywać liście! Mitch pomyślał, że to się nie mieści w głowie.

Nagle przestał nad sobą panować.

- Mario! - powiedział tonem, który miał dać jej do zrozumienia, że przekroczyła granice przyzwoitości.

Z wyniosłą miną Maria zeszła z drabiny, otrzepała ręce, a potem sztywno podniosła dwie puste doniczki, stojące na podłodze. Już miała odejść, kiedy Mitch zamachał kopertą.

- To twój udział ze sprzedaży koszyków.

Maria wzięła kopertę i zerknęła na wydruk, po czym wcisnęła mu wszystko z powrotem do ręki.

- To za dużo - powiedziała lodowatym tonem. - Nie mogę przyjąć takiej sumy.

Chciała odejść, ale Mitch złapał ją za fartuch i wsunął jej kopertę do kieszeni.

- Weź to - polecił, nie kryjąc irytacji. - Taka była umowa. Pół na pół, i tyle właśnie dostajesz. Jeżeli ten układ ci nie odpowiadał, trzeba było mówić od razu.

Maria odwróciła się i obrzuciła go obrażonym spojrzeniem:

- Mówiłam, ale mnie nie słuchałeś. Zawsze musisz postawić na swoim.

Zarumieniona z gniewu zaczęła zmiatać z półki kawałki pokruszonego mchu.

Ta jej pedanteria sprawiła, że Mitch nagle przestał nad sobą panować.

- Nie musisz tu odkurzać, do cholery! Tu nie musi być idealnie czysto!

Maria wyprostowała się i spojrzała mu prosto w twarz. Jej oczy płonęły gniewem.

- Nie chcesz, żeby było idealnie czysto? To nie będzie idealnie czysto! - Podniosła ręce i upuściła na ziemię obie doniczki.

Mitch nie mógł uwierzyć własnym oczom. Tymczasem Maria uśmiechnęła się z mściwą satysfakcją, zrobiła w tył zwrot i odmaszerowała z uniesioną głową. Mitch patrzył za nią ze zdumieniem. Tak niewiele wystarczyło, żeby zdetonować jej ognisty temperament. Istny pokaz fajerwerków. Nagle zachciało mu się śmiać, a jego zły humor i ból głowy gdzieś się ulotniły.

Teraz już wiedział, jak to wygląda, kiedy ktoś nastąpi seniorze Rodriguez na odcisk. Ciekawe doświadczenie. Zaskakujące. I bardzo pouczające. Prawdziwy spektakl. Z uśmiechem na ustach odwrócił się i, pogwizdując, poszedł do magazynu na zapleczu. Doszedł do wniosku, że skoro to on ją zdenerwował, powinien teraz ją przeprosić. Był też ciekawy, jak długo potrwa, zanim Maria ochłonie. W ciągu dnia parokrotnie myślał o tym ich starciu i za każdym razem chciało mu się śmiać. Pomyślał, że warto było wytrącić Marię z równowagi, żeby zobaczyć coś takiego.

Przez resztę dnia Mitch zaglądał co jakiś czas do szklarni, żeby sprawdzić, czy Maria wreszcie się uspokoiła. Nie mógł jej znaleźć, jakby zapadła się pod ziemię. Albo zaszyła się gdzieś, wciąż wściekła, albo dopadły ją wyrzuty sumienia. Dopiero późnym popołudniem, w porze kiedy już na ogół wychodziła, Mitch wytropił ją na dwo-

rze. Siedziała skulona nad strumieniem, na olbrzymim kamieniu.

Dzień był piękny, świeciło słońce, a w powietrzu unosił się zapach wiosny. Mitch wiedział, że lód stopniał na strumyku, bo już z daleka słychać było szum wody, ale zaciekało go głównie jedno - co wyгнаło Marię na dwór? Już miał pójść nad strumyk, ale gdy doszedł do drzwi, zmienił zdanie.

Wrócił do pokoju dla personelu i nalał dwa kubki kawy, zastanawiając się przez cały czas, jak ma zachować się po tym, co zaszło tego ranka. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było to, żeby Maria poczuła się winna. O ile to możliwe - zamierzał obrócić wszystko w żart. W każdym razie nie chciał jej już więcej denerwować.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że usłyszała go dopiero wtedy, gdy stanął obok niej. Nie dając jej czasu na powiedzenie czegokolwiek, Mitch wręczył jej z uśmiechem kubek kawy.

- Muszę ci powiedzieć, że mnie zaskoczyłaś. To było niezłe przedstawienie.

Spojrzała na niego, zdeorientowana.

- Słucham?

Mitch udał, że coś rzuca, a potem łyknął kawy, spoglądając na Marię znad brzegu kubka. Zobaczył, że zarumieniła się z zażenowania, i nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Odjął kubek od ust i zapytał:

- Może mi pani powie, co pani robi na bis, seniora Rodriguez? Rozumie pani, na powtórkę?

Maria spojrzała na niego z ukosa, a w jej oczach pojawiły się wesołe błyski.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział, panie Munroe. Mitch przysiadł z uśmiechem obok niej. Zdumiał się, że

kamień jest taki ciepły. Rozprostował nogi, wypił kolejny łyk kawy i zapatrzył się w słoneczne refleksy na wodzie.

- Przepraszam, Mitchell - odezwała się Maria przytłumionym głosem. - Dziękuję, że posprzątałeś te potłuczone doniczki.

- Nie musisz przeproszać. Należało mi się. Popatrzył na nią z uśmiechem i nagle serce zamarło mu w piersi. Z oczu Marii wyzierała taka samotność i rozpacz, jakiej chyba nigdy u nikogo nie widział. Odwrócił wzrok, napił się kawy, a potem spróbował z innej beczki:

- Co cię tu przygnało? Potłukłeś już wszystko w środku? Maria roześmiała się cicho i obiema rękami ujęła kubek.

- Nie. Czekam na Corę. Mamy się spotkać z prawnikiem od spraw imigracyjnych.

Z jej głosu przebijał głęboki smutek. Mitch zmusił się do tego, by wypić kolejny łyk. Kiedy usłyszał od Roberta, na co odkładają napiwki, w głowie zakiełkował mu pewien pomysł. Wahał się jeszcze przez jakiś czas, bo wizja ta lekko go przerażała. Już samo to, że Maria z nim pracowała, wystarczająco wytrącało go z równowagi. A perspektywa zamieszkania drzwi w drzwi z nią wzbudzała w nim po prostu paniczny lęk. Nie chciał mieć nikogo tak blisko siebie. A zwłaszcza tej kobiety.

Maria zadrżała i szczerze owinęła się zakietem. Potem znowu ujęła kubek i zapatrzyła się w strumień. Właśnie to jej drzenie sprawiło, że pozbył się ostatnich skrupułów.

Chrząknął i z bijącym sercem przystąpił do rzeczy.

- Kiedy budowaliśmy to centrum - zaczął zdumiewająco naturalnym tonem - zaplanowaliśmy na górze kilka mieszkań, a także miejsce na dodatkowe biura. Ja zająłem jedno mieszkanie, a drugie przeznaczyłem dla kierownika centrum. - Wypił łyk kawy, żeby się wzmocnić, i ciągnął: - W tym roku planuję w ogrodach roboty na znacznie większą skalę. Dlatego będzie mi potrzebny ktoś, kto byłby zdecydowany zamieszkać tutaj i mieć oko na wszystko także i w nocy. Najchętniej widziałbym kogoś, kto zna się na rzeczy. Nie mogę oczekiwać od Doris, że będzie tu przez dwanaście czy czternaście godzin na dobę.

Czując, że serce podchodzi mu do gardła, wziął się na odwagę i, spoglądając na Marię, wypalił:

- Ciebie by to nie interesowało?

Spojrzała na niego z takim osłupieniem, jakby wrzucił ją do strumienia, a wypukła żyłka w zagłębieniu jej szyi zaczęła mocniej pulsować. Mitch ścisnął kubek w dłoniach i odwrócił wzrok.

- Mieszkanie ma tylko dwie sypialnie, ale jest całkowicie umeblowane i wyposażone, włącznie z pościelą, garnkami i tak dalej. - Urwał, a potem popatrzył na nią, zdecydowany wygrać tę batalię. W tym celu posłużył się bardzo przewrotną taktyką. - Sprawujesz się bez zarzutu.

Można też na tobie polegać. Bardzo byś mi pomogła, gdybyś się zgodziła.

Oczy Marii zaszkliły się łzami. Mitch spojrzał w bok. Ucisk w gardle stawał się wręcz nieznośny. Ze zmartwiałą twarzą patrzył w swój kubek i próbował nie myśleć o tym, jak zareaguje, jeśli ona mu odmówi.

Nagle poczuł na ramieniu dotyk drobnej dłoni; Spojrzał na Marię. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie robisz tego z litości?

Tak naprawdę sam nie wiedział, dlaczego to robi, ale na pewno nie miało to nic wspólnego z litością. Potrząsnął głową i stanowczo zaprzeczył.

W jej oczach zapaliły się ogniki, a słodki uśmiech rozjaśnił całą twarz.

- A będę mogła rozbijać doniczki, kiedy się rozzłoszczę? Nagle jakby kamień spadł mu z serca. Mitch odetchnął

głęboko i z uśmiechem odparł:

- No jasne. Tylko proszę wszystko zapisywać.

Maria wytrzymała przez chwilę jego spojrzenie, a potem wzruszyła ramionami i zapatrzona w jakiś niewidoczny punkt, powiedziała cicho:

- Mogą być kłopoty z naszym podaniem, Mitchell. -Zwróciła na niego oczy, pociemniałe z rozpacz. To byłoby nie w porządku, gdybym się zgodziła. Nie wiadomo, czy będziemy mogli tu zostać.

Nagle zapragnął dotknąć jej, jakoś pocieszyć, ale tego nie zrobił. Nie patrząc na Marię, powiedział:

- Wiem.

- Jeżeli chcesz... Poczekaj, muszę znaleźć właściwe słowo. .. Jeżeli chcesz cofnąć ofertę, zrozumie cię, Mitchell.

- Nie ma mowy-odparł, siląc się na uśmiech.-Oferta jest nadal aktualna. Dopilnuję tylko tego, żeby w twoim mieszkaniu był nietłukący serwis.

Maria roześmiała się i oparła głowę na kolanach.

- Ach, Mitchell. Czasami mój temperament jest silniejszy ode mnie. Robi wtedy ze mną, co chce. Powiedziała to tak, że Mitchell musiał się roześmiać. Chwyił ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Nie nabierzesz mnie, Rodriguez. Ty i twój temperament idziecie ręka w rękę. - Powstrzymując impulsywne pragnienie, by zanurzyć palce w jej włosach, wstał i wylał fusy po kawie.

- No to jak? Bierzesz tę pracę?

Mimo iż jej głos był przytłumiony, Mitch był absolutnie pewny, że Maria się uśmiechała.

- Biorę.

- No to chodź! Pokażę ci mieszkanie. Maria zeskoczyła z kamienia i dogoniła go.

- No to jak? - powiedziała, naśladowując jego styl. - Zawsze jesteś taki apodyktyczny?

Apodyktyczny? Mitch uśmiechnął się do siebie. Musi porozmawiać z Doris o słownictwie, jakiego uczyła Marię.

- Tak, bo jestem tu szefem.

Obserwowanie, jak Maria ogląda mieszkanie, było samo w sobie bardzo pouczającym widowiskiem.

Zachowy-

wała się jak mała dziewczynka, rozpakowująca prezenty. Otwierała drzwiczki wszystkich szafek, klaszcząc w ręce na widok ich zawartości.

Kuchnię zostawił na sam koniec, chyba dlatego, że uważał ją za najładniejsze pomieszczenie w całym mieszkaniu, z masą szafek i wolnej przestrzeni, słonecznym kącikiem stołowym, wychodzącym na obsadzoną drzewami boczną uliczkę. Oparty o parapet Mitch patrzył, jak Maria kręci się po kuchni, nie kryjąc podniecenia. Otworzyła kredens, w którym piętrzył się stos talerzy - był tam cały« serwis w bardzo ładny deseń. Ostrożnie wyjęła jeden i zaczęła go oglądać z zachwytem, jakby był z najcieńszej porcelany.

Spojrzała na niego z przestrachem w oczach.

- Będę bardzo uważać, Mitchell - powiedziała cicho. - Obiecuję.

To smutne, że takie drobiazgi napawały ją lękiem. Jak ubogie musiało być przedtem jej życie?

Hamując wzruszenie, Mitch odparł:

- One naprawdę są nietłukące.

Spojrzała na niego, a później z niedowierzaniem na talerz. Przez chwilę miał wrażenie, że go upuści, a kiedy tego nie zrobiła, poczuł się niemal zawiedziony. Musiał właściwie odczytać jej intencje, bo Maria zarumieniła się i odstawiła talerz na półkę.

- Twoje mieszkanie jest piękne.

- Teraz to już jest twoje mieszkanie, Mario - powiedział z naciskiem, nie chcąc, by pomyślała, że mu cokol-

wiek zawdzięcza. - Mówiłem ci, że to mieszkanie służbowe. Dla osoby, która podejmie konkretną pracę.

- Och, popatrz! - krzyknęła nagle Maria, otwierając dużą szufladę na garnki i patelnie. A wtedy Mitchowi wyrwało się pytanie:

- Ile miałaś lat, kiedy wychodziłaś za męża?

- O, prawie siedemnaście - odparła, oglądając pokrywki.

- To chłopcy musieli być jeszcze bardzo mali.

- *Si* - odpowiedziała z roztargnieniem, buszując w kolejnej szufladzie. - Roberto miał prawie dwa latka, a Enrico był całkiem malutki. Pedrowa żona... ach - mruknęła, kiedy uświadomiła sobie swój błąd. - Żona Pedra umarła, a on potrzebował matki dla swoich dzieci. - Podniosła oczy na Mitcha. - Pedro był dobrym mężem. I był taki miły. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, ale dobrze nam się żyło. - Nagle oczy jej zwilgotniały. Pewnie przypomniła jej się choroba i śmierć męża. Mitch szybko otworzył okno.

- Chodź, popatrz Mario. Jak ci się podoba ten widok?

Podeszła i stanęła obok niego. Owionął go zapach gardenii. Potem zauważył żółty pyłek na jej piersi i musiał szybko odwrócić wzrok. Serce biło mu jak młotem. Wsunął ręce do kieszeni i zacisnął je w pięść.

Czuł, że wszystko wymknęło się spod jego kontroli. Czemu dopuścił do takiej bliskości? A może się mylił. Może w gruncie rzeczy chodziło mu o to, żeby się znaleźć jeszcze bliżej Marii?

ROZDZIAŁ 5

Mitch z miejsca zorientował się, że popełnił błąd. Powinien był to przewidzieć. Nie należy bez zastanowienia rzucać się na głęboką wodę. Nie należy też pochopnie podejmować decyzji. A on właśnie tak postąpił. I teraz było już za późno. Rodriguezowie zamieszkali po drugiej stronie korytarza, a on będzie musiał ponieść tego konsekwencje.

Byłoby oczywiście najlepiej, gdyby nie przywiązywał do tego większej wagi, ale zapach gardenii nie przestawał go prześladować, gdziekolwiek by się ruszył. Maria także wydawała się towarzyszyć mu na każdym kroku. I odtąd Maria, a także zapach gardenii, zaczęły nachodzić go w snach. Na domiar wszystkiego, zaczęło mu się wydawać, że Maria nigdy nie śpi. Już w kilka godzin po tym, jak się wprowadziła, to ona przejęła od niego ster.

Tym, co do reszty wytrąciło go z równowagi, było odkrycie, że w ciągu zaledwie paru dni nawiązała się między nimi dziwna więź. Wszystko zaczęło się już na drugi dzień rano. Zupełnie przypadkowo oboje jednocześnie otworzyli drzwi swoich mieszkań, wychodzące na ten sam korytarz.

Maria spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Była potargana, jakby właśnie naciągnęła sweter przez głowę, a fartuch miała założony na lewą stronę. Na jego widok szybko zatrzasnęła drzwi.

Mitch postanowił zobaczyć, jak ona z tego wybrnie. Oparł się o ścianę i czekał. W końcu drzwi otworzyły się i stanęła w nich Maria, z włosami upiętym w schludny węzeł. Fartuch także miała już założony na właściwą stronę, a na jej twarzy malował się godny spokój. Powiedziała:

- Dzień dobry, Mitchell. - Jakby widzieli się po raz pierwszy tego ranka.

- Dzień dobry, Mario - odparł z powagą. Chciał zakończyć na tym ich poranne spotkanie, ale w wyrazie jej twarzy było coś takiego, że nie mógł przejść obojętnie. Musiał jej dogryźć. - Tak dla twojej wiadomości - rzucił jakby od niechcienia - w twoim mieszkaniu jest jakaś kobieta, która strasznie chce wyjść.

Maria uniosła wyżej głowę i spłonęła rumieńcem. Mitch delikatnie poklepał ją po ramieniu.

- Pospałaś sobie dłużej, co?

- Nie pospałam, tylko zasnęłam - odparła z wyniosłą miną.

Mitchowi cudem udało się zachować powagę.

- Najmocniej przepraszam. Nie wiedziałem, że to jakaś różnica.

Maria spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Nigdy bym się nie ośmielił.

Nim zdążył zrozumieć jej intencje, dziabnęła go w żebra, w najbardziej wrażliwe miejsce, a on sapnął i zgiął się wpół. Maria podniosła palec i z satysfakcją stwierdziła:

- Ha! Wygrałam.

Mitch musiał w duchu przyznać, że to był bardzo sprytny chwyt - ale oczywiście nigdy by jej tego nie powiedział.

Nieco później, tego samego ranka, kiedy szedł przez sklep z rozpylaczem w rękę, zamierzając spryskać wodą rośliny na wystawie oraz w głównej witrynie, zauważył v Marię, która dosypywała ziarna na stoisku z karmą dla ptaków.

I choć nigdy nie był amatorem głupawych dowcipów, uznał, że nie może przepuścić takiej okazji.

Zaszedł Marię od tyłu i wymówił cicho jej imię. Odwróciła się, a on wycelował strumień wody prosto na jej bluzkę, po czym z satysfakcją stwierdził: - Ha! Tym razem to ja wygrałem!

Krzyknęła coś po hiszpańsku, a potem wybuchnęła śmiechem. Wycierając bluzkę utrzymaną w rękę ściereczką, rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Mitchell! Jesteś niedobry.

Woda opryskała jej twarz - kropelki spływały po policzkach i nosie. Mitch musiał natychmiast schować wolną rękę do kieszeni, bo inaczej na pewno żadna siła nie powstrzymałaby go od tego, żeby ich nie otrzeć. Zakręcił butelką, jak rewolwerem, i stwierdził:

- Ależ jestem bardzo dobry.

- Nie - odparła ze śmiechem. - Jesteś bardzo niedobry.

Mitch szybko przekonał się, że Maria wcale nie była samą słodyczą i potrafiła kłócić się zęb za zęb, tak samo jak on. Jeżeli on chciał, żeby coś zostało zrobione tak, ona na ogół chciała inaczej. Potrafiła przedstawić mu swoje racje - i to po angielsku! Zazwyczaj było mu wszystko jedno. Rzecz w tym, że kiedy był w dobrym humorze, droczył się z nią i patrzył, jak się denerwuje. A wtedy ostentacyjnie usuwał z jej zasięgu wszystkie tłukące przedmioty. Lubił później o tym myśleć i zawsze się przy tym uśmiechał.

Zbliżająca się Wielkanoc sprawiła, że prace ogrodnicze wkroczyły w decydującą fazę i centrum zmieniło się w istny dom wariatów.

Kiedy nadszedł piątkowy wieczór, Mitch był już tak wykończony, że marzył tylko o jednym - żeby wrócić do siebie na górę, zamknąć się w pokoju z puszką zimnego piwa w rękę i nie myśleć o niczym. Gdy na dwadzieścia minut przed zamknięciem sklepu pojawiła się pani Van Bueren, Mitch od razu wiedział, że może się pożegnać ze swoim zimnym piwem.

Pani V.B., jak nazywała ją Doris, była bardzo bogatą wdową i od lat kupowała przed Wielkanocą rośliny doniczkowe dla każdego pensjonariusza domu pogodnej starości, w którym mieszkała jej dziewięćdziesięcioletnia matka. Pani V.B. nie była żadną jędzą czy uciążliwą klientką. Szczerze mówiąc, była miła, dobroduszna i hojna ponad miarę. Kłopot polegał na tym, że nigdy nie mogła

się zdecydować. Mitch nie był nawet pewny, czy jej zasób słów obejmował takie pojęcie jak „decyzja”. Postawiona w obliczu wyboru, pani V.B. była kompletnie bezradna. A zważywszy na to, że pensjonariuszy, których chciała obdarować, było pięćdziesięciu pięciu, Mitch zaczął się obawiać, że nie wyjdzie ze sklepu do rana.

Próbował wykrzesać w sobie odrobinę entuzjazmu. Szczerze lubił tę kobietę o złotym sercu, cenił także jej lojalność oraz to, że od lat robiła u niego duże zakupy. Tyle tylko, że akurat tego wieczoru marzył o odpoczynku. Gdyby przyszła następnego dnia, powitałby ją z otwartymi ramionami. Dziś na jej widok zachciało mu się wyć i walić głową o ścianę.

Właśnie był z nią w szklarni i na wpół przytomny ze zmęczenia wybierał kwiaty, kiedy nieoczekiwanie pojawiła się Maria. Na ich widok przystanęła, lekko zaskoczona, jakby nie spodziewała się tam kogoś zastać. Pewnie Doris wywiesiła już tabliczkę „Zamknięte”, pozamykała wszystkie drzwi i odesłała ludzi do domu.

Maria popatrzyła na olbrzymi wózek, na którym stały zaledwie trzy doniczki i w mig zorientowała się w sytuacji. Podeszła z uśmiechem do pani Van Bueren i dotknęła jej ramienia.

- Trudno coś wybrać, prawda?

Pani V.B. spojrzała na nią przeproszającym wzrokiem.

- Tak. Kiedy mam się zdecydować, jestem przerażona. Z tą samą uprzejmością, z jaką zwracała się do staruszków, Maria powiedziała:

123

- Chętnie pani pomogę. Proszę mi powiedzieć, czego pani sobie życzy.

Pani V.B. powiedziała, o co jej chodzi, a Maria wysłuchała jej z uwagą, kiwając głową. Kiedy starsza pani skończyła, Maria uśmiechnęła się promiennie.

- Mam coś idealnego dla pani. Chodźmy, to pani pokażę.

Ciekawość wzięła górę nad zmęczeniem i Mitch poszedł za nimi. Bardzo chciał zobaczyć, co też Maria trzyma w zanadrzu.

Wystarczyło jej dziesięć minut.

- Widzi pani te doniczki z kiełkującymi roślinami? To mieszanka wiosennych cebulek. Za kilka dni pączki rozwiną się w piękne kwiaty. A pani znajomi będą je mogli później przesadzić do ogródka.

Pani V.B. rozpromieniła się z radości.

- Świetnie. Wobec tego poproszę pięćdziesiąt pięć sztuk.

Mitch omal nie padł trupem na miejscu. Jego najbardziej niezdecydowana klientka podjęła decyzję! I to w niespełna pół minuty!

Kiedy zakończyli wszystkie formalności i umówili się co do dostawy, dochodziła dziesiąta. Mitch odprowadził panią V.B. do samochodu i poczekał, aż odjedzie. A potem zmęczonym krokiem wrócił do centrum. Może wreszcie będzie mógł się położyć do łóżka.

Niestety, okazało się, że Maria ma inne zamiary. Czekwała na niego przy drzwiach i niemal siłą zaciągnęła go

do drugiej szklarni, twierdząc, że ma dla niego niespodziankę.

Rzeczywiście, udało jej się go zaskoczyć. Wśród wysokich, tropikalnych drzew stał stolik z dwoma krzeselkami i olbrzymim, Imanym parasolem. Z tyłu tryskała fontanna, a na oparciu krzesła wisiała torba na zakupy. Maria pociągnęła go za rękę i popchnęła na krzesło.

Mitch prychnął i pokręcił głową, a Maria pogroziła mu palcem.

- Nie śmieję się, Mitchell. To nie jest śmieszne. To poważna sprawa. - Wyjęła z torby płócienną serwetkę, rzuciła mu ją na kolana i ujęła się pod boki.

- Teraz ja dam ci lekcję, Mitchell. - Wyjęła talerz pokrojonych na ćwiartki limonek oraz solniczkę. - Nauczę cię, jak się pije tequilę.

Mitch roześmiał się, a ona usiadła naprzeciw niego, wyjęła z torby butelkę tequili i dwie szklaneczki. Odkręciła nakrętkę.

- Czy już kiedyś piłeś tequilę?

- Nie. - Mitch potrząsnął głową. - Jestem amatorem szkockiej.

Maria lekceważąco machnęła ręką.

- Szkocka! To dobre dla dzieci! - Napelniła szklaneczki, pokazała, jak posypać pięść solą, a potem podała kolejność czynności: liże się sól, wypija jednym haustem tequilę, a na koniec zagryza ćwiartką cytryny.

Już po jednej szklaneczce Mitch zrozumiał, co Maria miała na myśli, mówiąc, że to nie jest napój dla dzieci.

Nie przestawała mu dolewać i już wkrótce oboje pękali ze śmiechu. Kiedy w butelce pokazało się dno, Mitch osiągnął taki stan, że nawet gdyby świat się walił, byłoby mu wszystko jedno.

Gotów był nawet ułożyć się do snu na ogrodowej ławeczce, ale Maria nawet nie chciała o tym słyszeć. Siłą zawlokła go na górę i dopilnowała, żeby położył się do łóżka. A potem poszła do siebie. Świat Mitcha zatonął we mgle, a zmysły odmówiły mu posłuszeństwa. Jedno wiedział na pewno - że ta kobieta bije wszystkich na głowę. I z tą myślą zapadł w głęboki, pijacki sen.

Kiedy doszedł do siebie następnego ranka, słońce radośnie świeciło przez okna. Nawet nie próbował poruszyć głową. Usta miał wysuszone na wiór. A niech to diabli! Od lat nie przydarzyło mu się coś równie głupiego.

Wygramolił się z łóżka i czekał na pierwszy atak migreny. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Przeszedł się po pokoju i ze zdumieniem stwierdził, że wcale nie boli go głowa. Prawdę mówiąc, czuł się całkiem nieźle. Zupełnie jakby przespał spokojnie całą noc. Mrużąc oczy, spojrzął na zegarek. Nie! To chyba jakaś pomyłka. Nie może być wpół do pierwszej! Spojrzął na zegar radiowy, ale on także wskazywał dokładnie dwunastą trzydzieści. Teraz już jasne, czemu czuł się taki wypoczęty. Musiał przespać co najmniej dziesięć godzin. W dodatku nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu spał tyle czasu bez przerwy. Może nawet nigdy.

Wziął prysznic i zszedł na dół, przygotowany na kazanie od Doris i reszty personelu. Oczywiście pierwszą osobą, na jaką się natknął, była Maria. Pokazała w uśmiechu dołączki, pomachała mu na powitanie, a potem wykrzyknęła:

- Ha, Munroe! Znowu wygrałam!

Nie roześmiał się, chociaż bardzo chciało mu się śmiać. Naprawdę! W tej samej chwili zza rogu wyłoniła się Doris i zawołała:

- O, patrzcie, nasz zrzęda wyszedł wreszcie ze swojej nory!

Mitch skarcił ją wzrokiem.

- Nie jestem żadnym zrzędą.

Doris i Maria wymieniły znaczące spojrzenia, jakby miały do czynienia z niegrzecznym dzieckiem.

Mitch potrząsnął głową, ale wstrzymał się od komentarzy. Miał wrażenie, że wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu. Wskazał na Marię.

- Zapłacisz mi za to, Rodriguez. Radzę ci, miej się na baczności.

Maria z uśmiechem pogroziła mu palcem.

- Nie boję się ciebie, Munroe.

Na szczęście miał całą masę spraw na głowie i mógł się oddalić ze sklepu na całe popołudnie. W drodze powrotnej zajechał do myjni, żeby umyć samochód. Pogoda utrzymała się, resztki śniegu topniały w takim tempie, że na ulicach błoto stało po kostki. Za kilka dni śnieg całkiem zniknie. Tak, wiosna zdecydowanie już przyszła.

Kiedy wrócił do centrum, dochodziła trzecia. Doris musiała widzieć, jak zajeżdżał na parking, bo czekała na niego przy drzwiach, zmartwiona i zaniepokojona. Chwyliła go za rękaw i pociągnęła między regały.

- Musisz pomówić z Marią, szefie.

Mitch zdjął dżinsową kurtkę i spojrzał uważnie na Doris.

- Dlaczego? Co się stało?

- Ten adwokat od spraw imigracyjnych był tu jakąś godzinę temu. Po jego wyjściu Maria zupełnie się załamała. Próbowałam się dowiedzieć, o co chodzi, ale ona nie chciała z nikim rozmawiać.

Powiedziała, że wszystko w porządku, ale potem zamknęła się w szopie i siedzi tam do tej pory.

Mitch oddał Doris kurtkę i poszedł do szopy. Czuł, że twarz majak z drewna, a żołądek skurczony w pięść. Nie będzie się w to angażował. Jest na to za mądry. Jednak obowiązuje jakaś lojalność wobec kumpelki od kieliszka.

Maria rzeczywiście była w szopie. Stała przed wysoką półką i przesadzała rośliny z doniczek do większej misy.

Wokół pachniało mchem i wilgotną ziemią, a drobinki kurzu tańczyły w smudze światła. Maria musiała słyszeć, jak nadchodził, ale nie podniosła nawet oczu.

Mitch przystanął o kilka kroków od niej i oparł się o drewnianą belkę. Patrzył przez chwilę na Marię, a potem łagodnie zapytał:

- Nie chcesz mi powiedzieć, co się stało?

- Nic się nie stało - odparła ze wzrokiem utkwionym w doniczkę.

128

Jak tu do niej dotrzeć? Chyba tylko stosując cios poniżej pasa.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, a między przyjaciółmi nie powinno być żadnych tajemnic. Fortel się udał - Maria spojrzała na niego z rozpaczą. Przez moment wydawało mu się, że się rozpłaczę, ale jakoś się opanowała.

- Jesteś moim przyjacielem, Mitchell - powiedziała drżącym szeptem - ale nic nie możesz na to poradzić.

Mitch patrzył na nią przez chwilę posepnym wzrokiem.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję. Powiedz mi, co się stało.

- Przyszedł pan Peterson, adwokat od spraw imigracyjnych i... - Głos jej się załamał. Potrząsnęła głową. -Nie mogę o tym mówić.

W pierwszym odruchu chciał podbiec i chwycić ją w ramiona, ale coś go powstrzymało - może instynkt samozachowawczy?

- Możesz, Mario - powiedział z naciskiem. - Musisz to komuś powiedzieć.

Popatrzyła na niego z takim smutkiem, że aż ścisnęło mu się serce. Przez chwilę bał się, że nic mu nie powie, ale ona w końcu wzięła głęboki oddech i ze wzrokiem wbitym w ziemię zaczęła mówić:

- Nie chcę być niełojalna w stosunku do twoich rodziców, Mitchell.

- Nie jesteś niełojalna.

Nie patrząc na niego, wzruszyła ramionami.

- Twoim rodzicom nie podobało się to, co im powiedział pan Peterson, więc sami poszli do Biura Imigracyjnego. Pan Peterson mówi, że to tylko pogorszyło całą sprawę.

Mitch zamknął oczy i zacisnął pięści. A niech to! Cora i Murphy ostrzegali go, kiedy wrócił z farmy. Próbował wtedy przemówić ojcu do rozsądku, ale - jak widać - bez skutku. Matka, ta wieczna i niepoprawna optymistka, uznała, że najlepiej będzie udać się wprost do Biura Imigracyjnego. Była święcie przekonana, że cały problem polega tylko na tym, żeby znaleźć jakiegoś urzędnika o ludzkim sercu. Mitch znał mentalność urzędników, a zwłaszcza urzędników służby cywilnej, i wiedział, że nie istnieje coś takiego jak urzędnik od spraw imigracyjnych o ludzkim sercu.

Mimo jego próśb i ostrzeżeń rodzice postawili na swoim. Teraz nic już nie powstrzyma rozpedzonej biurokratycznej maszyny.

Z ciężkim westchnieniem otworzył oczy i spojrzał na Marię. Co mógł jej powiedzieć? Przecież nie to, że wszystko będzie dobrze. Bo nie będzie. Może za to potrafi odciągnąć ją od ponurych myśli.

- Nie masz ochoty na kolejną lekcję picia tequila? - zapytał z wymuszonym uśmiechem.

Maria cicho parsknęła i otarła oczy. Próbowwała się uśmiechnąć, ale rozpacz wzięła górę. Nawet z daleka Mitch widział, że jej oczy napełniły się łzami.

- Byłabym lojalną obywatelką Kanady, Mitchell. I moi chłopcy też.

Znowu chciał do niej podbiec, jednak instynkt podpowiadał mu, żeby uszanować wyznaczoną przez nią granicę. Czuł, że musi coś zrobić, żeby ten wyraz rozpaczony zniknął z jej twarzy. Nagle doznał olśnienia.

- Jeździłaś kiedyś na łyżwach?

Maria popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby stracił rozum.

- Nie.

Teraz już mógł do niej podejść. Chwycił ją za rękę.

- No to najwyższa pora, żeby spróbować.

Z początku się opierała, ale Mitch niemal siłą wyciągnął ją z szopy.

- Ale Mitchell - protestowała - nie mogę. Rośliny...

- Do diabła z roślinami. Idziemy na łyżwy!

I w ten prosty sposób, choć to przecież Maria miała zapomnieć o kłopotach, jemu samemu udało się wypchnąć ze świadomości wszelkie problemy związane z Biurem Imigracyjnym.

Wyprawy na lodowisko nie zapomni przez następne pięćdziesiąt lat. Pożyczyli łyżwy od pani Munroe, dwa numery za duże, a Maria nie mogła się nadziwić, że ślizgawka jest w budynku. Przewróciła się tylko dziesięć razy, a to dlatego, że nie pozwoliła sobie pomóc. Istna Zosia Samosia. Wszystko musiała robić sama. Po godzinie radziła już sobie całkiem nieźle, a wyraz rozpaczony zniknął z jej oczu. Kiedy oddawali rodzicom łyżwy, Mitch nie wszedł nawet do domu. Bał się, że skończyłoby się to potworną

awanturą. Zresztą było już za późno na kłótnie. Co się stało, już się nie odstanie. Mogli tylko czekać na konsekwencje.

Myśli o Marii zaatakowały go ze zdwojoną siłą w środku nocy. Zbudził się właśnie z drażniącego, erotycznego snu, który był tak realistyczny, że niemal spodziewał się zastać Marię obok siebie. Czuł się zmęczony i obolały, a serce biło mu jak młotem.

Nie życzył sobie takich snów, ale natychmiast zapewnił sam siebie, że to jeszcze nic nie znaczy. To tylko chwila słabości - przejściowy kryzys. Jak to mówią, sen mara... Za to dramatyczna sytuacja, w jakiej znalazła się Maria, nie była snem. Kiedy o tym pomyślał, ogarnął go paniczny lęk. Poczuł, że musi natychmiast odciąć się zarówno od snu, jak i od jawy.

Była dopiero czwarta rano, a on był wyspany i rozsadzała go energia. Powinien zejść na dół i rozładować trzy ciężarówki ziemi. Może wtedy zmęczyłby się tak, że nie miałby nawet sił myśleć. Niestety, nie miał trzech ciężarówek ziemi. Zrobił więc to, co mu w następnej kolejności przyszło do głowy. Poszedł do biura i uporządkował papiery.

Zajęcia wystarczyło mu akurat na jedną noc, a następnej nocy sen o Marii znowu się powtórzył. Był tak rzeczywisty, że skończyło się to godzinnym biegiem wokół centrum. Pomogło mu to rozładować napięcie, ale nie powstrzymało go od myślenia. Chociaż starał się ze wszystkich sił, przed oczyma wciąż miał twarz Marii.

A świadomość, że ona jest o krok - po drugiej stronie korytarza -jeszcze tylko pogarszała całą sprawę. Następnego ranka wyruszył na farmę, ale i tam nie miał zbyt dużo do roboty, bo zarządca zlecił już wykonanie wszystkich prac wiosennych. Tyle tylko, że dzień spędzony na świeżym powietrzu ukoił trochę jego rozdygotane nerwy.

Wracając nocą do centrum, wmawiał sobie, że udało mu się odzyskać równowagę ducha. Kiedy jednak wybrał się na nocny obchód szklarni, nie czuł nic, prócz zapachu gardenii.

Tej nocy nawet nie próbował zasnąć. Bał się zaryzykować. Przez całą noc przemierzał swoje mieszkanie, starając się nie myśleć o niczym.

Rano był tak zmęczony, jakby nie spał od tygodnia. Głowa pękała mu z bólu, postanowił jednak pójść do centrum i przypilnować, żeby zrobili miejsce na nowy transport, który miał nadejść lada dzień.

Ledwo zdążył wsiąść na wózek i przenieść kilka skrzynek z ziemią, kiedy w drzwiach hali zobaczył Doris. Wyglądała, jakby ścigała ją stado demonów. Krzyczała coś i wymachiwała rękami. Mitch wyłączył silnik. Ciekaw był, co tak nią wstrząsnęło.

- Musisz zaraz tam iść, szefie - wydyszała bez tchu, kiedy go dopadła. - Jest tam taki facet, który wygląda jak szczur. - Zamknęła oczy i chwyciła się za serce, a potem spojrzała na niego z trwogą. - On jest z Biura Imigracyjnego. Chce się widzieć z Marią. Powiedziałam mu, że pójde jej poszukać.

133

Mitch na moment zamarł. Potem szybko zgasił silnik i wyskoczył z wózka.

- Gdzie ona jest?

- Chyba w dużej szklarni, tam z tyłu, przy magazynach...

Doris jeszcze nie skończyła, a Mitch już puścił się biegiem. Z bijącym sercem otworzył boczne drzwi do szklarni. Na widok Marii ogarnęła go dziwna słabość. Razem z Robertem czyściła stare skrzynki na kwiaty. Byli tylko we dwójkę i rozmawiali półgłosem po hiszpańsku. Nigdzie nie było widać żadnego szczura. Nie było czasu na opracowanie jakiegokolwiek planu. Mitch wiedział tylko jedno, że Maria powinna natychmiast zniknąć.

Niestety, spóźnił się o dziesięć sekund. Podbiegł do niej i chwycił ją za rękę dokładnie w tej samej chwili, kiedy zza węgła wyłonił się mężczyzna w garniturze. Mitch cicho zaklął, objął Marię i przygarnął do piersi. No tak! Ale wpadli! Nie dość, że Maria była pod obserwacją urzędników federalnych, to jeszcze musieli ją nakryć akurat przy pracy. Ten człowiek rzeczywiście miał rozbiegane oczka i szczurzą twarz, a Baba już wiele lat temu przestrzegała swoje wnuki przed takimi ludźmi. Mitch znienawidził go już od pierwszego wejrzenia. Niech go piekło pochłonie!

Opiekuńczym gestem przytulił Marię i przybrał możliwie najbardziej obojętny wyraz twarzy.

Maria spojrzała na niego, a w jej oczach odmalował się lęk. Mitch czuł na plecach jej kurczowo zaciśniętą pięść.

Roberto także wyczuł niebezpieczeństwo i stanął obok Mitcha.

W tej sytuacji atak był najlepszą bronią. Mitch ścisnął Marię za rękę i sucho zwrócił się do urzędnika:

- Moja kierowniczka powiedziała mi, że jest pan z Biura Imigracyjnego. Czego pan od nas chce?

Mężczyzna odstawił teczkę na jedną z półek.

- Przychodzę poinformować panią Rodriguez - skinął głową w stronę Marii - że może pozostać na terytorium Kanady do wygaśnięcia wizy, czyli maksimum dziewięćdziesiąt dni. Potem musi opuścić Kanadę, bez prawa starania się o status imigranta. Zgodnie z posiadanymi przez nas danymi, pani Rodriguez przyjechała do Kanady dwudziestego piątego lutego. Oczekujemy, że opuści ten kraj najpóźniej dwudziestego czwartego maja - oświadczył dobitnie i wcisnął Mitchowi do ręki wizytówkę.

Mitch wyczuł, że Maria słania się na nogach. Nagle ogarnęła go furia. Nie potrafił powiedzieć, jaka była tego przyczyna - może świadomość klęski, może wyraz osłupienia w oczach Roberta, a może po prostu to, że nienawidził aroganckich urzędników, którzy nadużywają swojej władzy, żeby dręczyć ludzi. W ułamku sekundy podjął decyzję.

Przygarnął Marię do piersi tak mocno, że nie była w stanie wydać z siebie głosu, a potem lodowatym tonem oznajmił:

- Nie wiem, skąd te informacje, panie... - zerknął na wizytówkę - ...panie Felder. Pani Rodriguez nie ma naj-

mniejszego zamiaru nigdzie wyjeżdżać. - Nagle przypomniał sobie, co mówił Murphy - że trzeba być już wcześniej zaręczonym. - Jesteśmy od ponad roku zaręczeni - ciągnął - mieszkamy pod jednym dachem i zamierzamy się pobrać za dziesięć dni. - Maria zeszywniała i próbowała się wyrwać, ale Mitch jeszcze mocniej przycisnął jej głowę do swojej piersi. Nigdy by nie przypuszczał, że ta delikatna kobieta jest taka silna. Mimo całego dramatyzmu sytuacji, zachciało mu się śmiać. Spojrzał na Feldera. - Na próżno się pan trudził, panie Felder. Moja żona zostaje w Kanadzie.

Felder sapnął, a potem ze zjadliwym uśmiechem stwierdził:

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Jeżeli pan chce - odezwał się Mitch - mogę panu przedstawić dowody na to, że moja rodzina od lat utrzymywała kontakty z panią Rodriguez. Mogę nawet pokazać kopie biletów lotniczych do Meksyku. A potem pogadamy sobie o szczęśliwym zbiegu okoliczności. Mogę przedstawić to wszystko na piśmie.

Maria zastygła w jego ramionach. Niemal słyszał, jak obracają się trybiki w jej głowie. To, co mówił, nie było żadnym blefem. W ostatnich latach rzeczywiście podróżował parokrotnie do Meksyku w sprawach służbowych.

Roberto przysunął się do Mitcha.

- To prawda - powiedział z głębokim przekonaniem. W tej samej chwili Maria ugryzła Mitcha w rękę.

Może

sprawił to jej latynoski temperament, a może po prostu zaczęła się dusić. Mitch chwycił ją za ramię, tak że nie

mogła się mszyć, po czym udał, że ją uspokaja i pocałował we włosy. Maria zamarła bez ruchu. Mitch był niemal pewny, że zaraz kopnie go w kostkę. Felder spojrzał na nich zdezorientowany.

- Pańscy rodzice nic o tym nie wspominali. To stawia sytuację pani Rodriguez w nieco innym świetle. Mitch wiedział, że to jeszcze nie koniec.

- Panie Felder - odezwał się tonem, jakim mówi się do niezbyt rozgarniętego dziecka - moi rodzice nie są wtajemniczeni w tę sprawę. Chciałem, żeby Maria pobyła tu przez jakiś czas i zobaczyła, czy jej się tu podoba, zanim podejmiemy decyzję. Dlatego na razie nie mówiliśmy nic rodzicom.

- Ale ja już o tym wiedziałem - odezwał się Roberto. Mitch omal się nie roześmiał. Odważny chłopak! Teraz

już wiedział, dlaczego tak go polubił.

Felder chwycił teczkę i obrzucił Mitcha nienawistnym wzrokiem.

- Będziemy w kontakcie - syknął.

Kiedy zniknął za rogiem, Mitch zwrócił się do Roberta:

- Miej na niego oko, dobrze? Muszę teraz porozmawiać z twoją mamą.

Chłopak uśmiechnął się porozumiewawczo i ruszył za Felderem.

Wtedy Mitch rozluźnił uścisk, chwycił Marię za rękę i nim zdążyła się wyrwać, pociągnął ją za sobą.

- Puść mnie, Mitchell! - krzyknęła z furją.

- Nie ma mowy. - Mitch wyprowadził ją na dwór. -Idziemy nad strumyk. Tam usiadziemy i porozmawiamy.

- Nigdzie z tobą nie pójdę! Nie będę rozmawiać. Mitch uśmiechnął się w duchu. Boże, co za temperament!

- Za to możesz mnie wysłuchać - powiedział. Widząc, że z nim nie wygra, Maria poszła nad strumień, ale minę miała wyniosłą.

Kiedy doszli do wielkiego kamienia, Mitch przystanął i spojrzał na Marię.

- Puszczę cię, ale proszę, żebyś usiadła i wysłuchała, co mam ci do powiedzenia.

Maria milczała, tylko oczy jej płonęły.

- No to jak będzie?-zapytał.

Maria wzniosła oczy do góry, a potem powiedziała:

- Wysłucham cię, ale potem ty mnie wysłuchasz, Mitchell. Mam ci dużo do powiedzenia.

Mitch puścił ją. Usiadła na kamieniu.

- Mów! - rzuciła ze złością.

Mitch patrzył na nią przez chwilę, a w końcu zapytał:

- Czy chcesz, żeby twoi chłopcy zostali w Kanadzie? A ty, chcesz tu zostać?

Nie spodziewała się tego pytania. Zatrzepotała rękami, a potem westchnęła z rozpaczą.

- Oczywiście, że chcę zostać w Kanadzie, ale..

- Żadnych ale, Mario - przerwał jej ostro. - Umowa była taka, że najpierw ja mówię, a dopiero potem ty.

Maria skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego przez zmrużone powieki.

- Dobrze - burknęła.

Mitch zamyślił się. Nigdy dotąd nie traktował małżeń-

stwa z Marią jako czegoś realnego. A tu proszę! To, co jeszcze kilka tygodni temu wydawało się czystym szaleństwem, teraz brzmiało całkiem rozsądnie. A on uważał się za rozsądnego człowieka. Jeżeli Maria naprawdę chce zostać w Kanadzie, mogą to przecież jakoś między sobą ustalić. Musi tylko przedstawić argumenty. Nabrał powietrza i spojrzał jej w oczy.

- Posłuchaj - powiedział - działałem pod wpływem impulsu.

Spojrzała na niego tak jakoś dziwnie, po czym opuściła głowę. Pewnie pomyślała, że chce się wycofać. I wcale nie wydawała się z tego zadowolona. Mitch musiał przyznać, że sprawiło mu to cichą satysfakcję.

- Moglibyśmy się jakoś dogadać - mówił dalej. - Przecież chcesz dać chłopcom szansę. To naprawdę wspaniałe dzieciaki. Chciałbym, żeby im się w życiu powiodło. A my jesteśmy wolni. Poza tym, potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł prowadzić centrum. Wygląda na to, że w twojej sytuacji małżeństwo to jedyne wyjście. - W jego głowie zaczął się formować pewien plan. - Moglibyśmy zawrzeć umowę. Weźmiemy cichy ślub i zostaniemy małżeństwem tak długo, aż twój status się nie wyjaśni. A potem każde z nas pójdzie własną drogą. Zresztą, bez względu na to, jaka będzie nasza umowa, jestem pewny, że jakoś sobie poradzimy. W końcu nikogo w to nie wciągamy. To sprawa wyłącznie między tobą a mną.

Maria uspokoiła się, ale nie przestawała patrzeć na niego taksującym wzrokiem. Mitch miał nadzieję, że nie będzie to wstęp do kolejnej rundy walki o władzę.

W końcu spuściła wzrok i zaczęła nerwowo skubać nitkę swetra.

- Ale będzie miało wpływ na innych, Mitchell. Przecież to będzie policzek dla twoich rodziców, a także dla całej twojej rodziny. - Maria mówiła z powagą, a jej oczy wydawały się czarne jak węgle. - Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaką masz wspaniałą rodzinę. - Odwróciła wzrok, a potem znowu na niego spojrzała. - A ja nie chcę, żeby oni uznali, iż wykorzystałam dla swoich celów waszą dobroć. To byłby brak szacunku.

Mitch znalazł się między młotem a kowadłem. Nie chciał, żeby Maria dowiedziała się o tym, że rodzina spiskowała za jej plecami. Zamierzał jednak być wobec niej szczery. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie sądzisz, Mario, że coś takiego mogło im przyjść w pewnym momencie do głowy? Moja babcia robiła rozmaite aluzje, odkąd przyjechałaś. A cała rodzina dałaby wszystko, żebyś tylko mogła tu zostać. - Gotowa była nawet wydać cię za mnie, pomyślał z uśmiechem, ale jej tego nie powiedział. - Jeżeli zdecydujemy się na ślub, musimy odegrać do końca tę komedię przed Biurem Imigracyjnym. Maria westchnęła i splotła ręce. Coś ją wyraźnie dręczyło.

- Nie chodzi tylko o twoją rodzinę, Mitchell. Przecież to poważna decyzja.

Mitch wyprostował się. Miał wrażenie, jakby stał na skraju przepaści. Patrzył na strumień z uczuciem beznadziei. Nie wiedział, jak dotrzeć do Marii, jak przemówić jej do rozumu. Co jeszcze mogło ją powstrzymać?

Nagle doznał olśnienia. Przecież wyjaśnienie powinno pochodzić od niej! To nie on miał wkładać słowa w jej usta. Spojrzał jej w oczy.

- Co jeszcze, Mario? Co się trapi?

Maria spuściła wzrok i wykonała bezradny gest. Mitch obrócił ku sobie jej twarz.

- Powiedz mi - odezwał się łagodnym tonem. Znow ten sam bezradny gest, a potem wyszeptała:

- Małżeństwo to sakrament. Nie wolno oszukiwać Pana Boga.

Mitch ujął ją za ręce i obdarzył krzepiącym uśmiechem.

- Przecież od stuleci istniały aranżowane małżeństwa, i dalej tak będzie. - Ściszył głos. - Czy to nie ksiądz zaaranżował twoje małżeństwo z Pedrem? Czy to nie on was skojarzył? Czemu wobec tego nasze małżeństwo miałyby być gorsze? - Ścisnął ją mocniej za rękę. - Posłuchaj. Jesteś mi potrzebna, a ja jestem tobie potrzebny. Skoro tak cię martwi, co pomyślą rodzice - nie musimy się przed nimi tłumaczyć. Nawet lepiej, żeby nie wiedzieli o pewnych sprawach.

- Myślisz, że tak wypada? Że nie robimy nic złego? -zapytała niepewnie.

Mitch uśmiechnął się do niej.

- Nie robimy nic złego, zapewniam cię, Mario. Myślę, że postępujemy właściwie. To, co robimy, jest dobre i dla ciebie, i dla chłopców. A mnie też to odpowiada.

Maria patrzyła na niego przez chwilę, a potem zaczerpnęła tchu i odwróciła wzrok.

- Nawet jeżeli to zrobimy, jeżeli zawrzemy tę umowę, nie powinniśmy razem sypiać.

Mitch zdumiał się. Owszem, przyszło mu to na moment do głowy, miał też te męczące sny, ale nigdy nie uważał seksu za część ich wzajemnej umowy. Aż takim oportunistą to on nie był.

- Będzie tak, jak sobie życzysz - rzekł ze spokojem.

Maria nagle oswobodziła jedną rękę i chwyciła go kurczowo, jakby rzeczywiście stali na skraju przepaści. Pociemniałymi z trwogi oczami patrzyła na niego, jakby był jej ostatnią nadzieją. Mitch uśmiechnął się.

- Zostań, Mario.

Zadrżała, a potem zamknęła oczy i oparła mu głowę na piersi.

- Jeżeli się decydujemy - powiedziała urywanym szeptem - musimy to zrobić tak, żeby nie sprawić przykrości ani twoim rodzicom, ani moim synom. Musisz mi to obiecać.

Była blisko, tak blisko, że czuł jej gorący oddech. Znowu owionął go zapach gardenii. Zamknął oczy; zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, jakby zachłysnął się czystym tlenem i wzleciał do nieba.

Ciepło jej oddechu przeniknęło go na wskroś. Chwycił ją mocniej za rękę.

- Obiecuję - powiedział z determinacją.

ROZDZIAŁ 6

To dziwne, ale odkąd zawarli umowę, Mitch pragnął przez cały czas mieć Marię w zasięgu wzroku. Wmawiał sobie, że jeśli da jej zbyt dużo swobody, zaczną się w niej budzić wątpliwości. Bał się też, iż przytłoczona sytuacją, Maria może wpaść w panikę.

W jego towarzystwie była spokojna i pogodna, co znaczyło, że obrał dobrą taktykę. Były jednak i takie momenty, w których zadawał sobie pytanie, czemu właściwie tak się upierał, żeby namówić ją na udział w tym zwariowanym przedsięwzięciu. W końcu było mu przecież wszystko jedno - tak sobie przynajmniej powtarzał.

Widząc, jak Maria to wszystko przeżywa, postanowił dać jej trochę czasu, żeby zdążyła się przyzwyczaić do myśli, iż ma go poślubić. Zaproponował też, żeby zachować wszystko w tajemnicy aż do czasu, kiedy w sklepie skończy się wielkanocny ruch.

Maria wyraźnie odetchnęła z ulgą i nawet nie próbowała z nim dyskutować, kiedy oświadczył, że powinni powiedzieć chłopcom prawdę. Tym bardziej że Roberto był obecny przy wizycie urzędnika z Biura Imigracyjnego.

Chłopak był wyjątkowo bystry, więc na pewno zorientował się, o co chodzi. Poza tym Mitch nie zamierzał nikomu niczego tłumaczyć - poza Murphym - nie chciał też budzić ani w bracie, ani w chłopcach fałszywych nadziei.

Z szacunku do Marii i jej wiary postanowił wybrać się z całą rodziną Rodriguezów na mszę w niedzielę wielkanocną. Wiedział już, że chodzą regularnie do kościoła i że ma to dla Marii wielkie znaczenie. Tak wielkie, iż nawet nie ośmielił się zaproponować, aby wzięli ślub kościelny. Nie chciał przysparzać jej dodatkowych stresów.

Wyprawa Mitcha do kościoła wywołała lekkie poruszenie w rodzime, co go mocno zirytowało. Przecież chodził czasami na mszę. Jessica po ślubie z Markiem przeszła na katolicyzm i Mitchell był obecny na chrzcinach oraz pierwszych komuniach całej ich trójki. Znał już cały obrządek katolickiej mszy, tym razem jednak poczuł się wyjątkowo na miejscu, co trochę go zdumiało. Udział w niedzielnej mszy w towarzystwie Marii oraz jej rodziny wydał mu się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

Chodzenie do kościoła nie było problemem. Problem był inny - jak zakomunikować rodzicom, że zamierzają się pobrać. Wiedział, że Maria się tego boi, i nie zamierzał jej tym obarczać. Któregoś wieczoru, kiedy rodzice byli sami w domu, wybrał się do nich i powiedział im, że się żeni z Marią i że wezmą tylko cichy ślub cywilny. Wiadomość wzbudziła w nich wielki entuzjazm. Zachowywali się tak, jakby wszystko rzeczywiście odbywało się naprawdę i jakby nigdy nie słyszeli powtarzanych od dawna

sugestii babci, że powinien się ożenić z Marią. Mitch gotów był się założyć, że zaraz po jego wyjściu w rodzinie rozdzwonią się telefony.

Po wizycie u rodziców pojechał do Murphy'ego. Nie chciał oszukiwać brata. Murphy, w przeciwieństwie do rodziców, okazał się całkiem bystry i z miejsca pojął, w czym rzecz.

Kiedy Mitch zakomunikował mu tę wiadomość, Murphy zapytał tylko:

- Jesteś pewny, braciszku? Nie chcielibyśmy, żebyś robił cokolwiek pod przymusem.

Wyczerpany rozmową z rodzicami Mitch westchnął z rezygnacją i powiedział:

- Wszystko w porządku. - Rozparł się wygodnie w fotelu i zapatrzył w sufit, a po chwili spojrzał na brata. - Możesz mi wyświadczyć pewną przysługę?

- Mów. - Murphy z powagą pokiwał głową.

- Nie pozwól im zrobić z tego jakiegoś cyrku. To ma być skromna ceremonia.

Murphy roześmiał się.

- Masz wygórowane życzenia. Nie znasz swojej rodziny? Oni nie wiedzą, co to skromna ceremonia.

Ale oczywiście zrobię, co będę mógł.

Już następnego ranka okazało się, że mogą zapomnieć o cichym ślubie. Wprawdzie Mitch zaparł się i nie chciał ustąpić, jednak w końcu uległ perswazjom Jordan. Bratowa nie próbowała wywierać na niego presji - przyszła po prostu do jego biura i spokojnie spróbowała mu wytłumaczyć, w czym rzecz.

- Wiem, że wszyscy męczą cię od rana, żebyś zmienił plany - zaczęła, udając, że nie dostrzega jego niechętnego spojrzenia - i chcę ci powiedzieć, że razem z Murphym szanujemy waszą decyzję, ale... - Jordan zawiesiła głos i popatrzyła na niego znacząco.

Mitch nie odezwał się, tylko wciąż mierzył ją nieprzyjaznym wzrokiem.

- W porządku - roześmiała się Jordan. - Może wściubiam nos w nie swoje sprawy, ale chciałabym, żebyś spojrział na to wszystko z innej perspektywy.

- To znaczy jakiej? - burknął podejrzliwie Mitch. Jordan gniotła przez chwilę klapę żakietu, a potem popatrzyła mu odważnie w oczy.

- Nie wiem, jaką zawarliście umowę z Marią, i nawet nie chcę wiedzieć. Wyobrażam sobie, że dla niej ślub, bez względu na to, w jakich odbywa się okolicznościach, ma dość istotne znaczenie. Nie chciałabym, żebyś lekceważył to, co jest dla niej ważne, Mitchell, to wszystko.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi Mitch patrzył na szwagierkę i rozważał jej słowa.

- Punkt dla ciebie - odezwał się w końcu.

- Tak? - Jordan uśmiechnęła się.

- Co wobec tego proponujesz? Jordan wzruszyła ramionami.

- Myślałam o jakiejś małej uroczystości. Dla rodziny i naszych pracowników. Można by bez trudu urządzić wszystko w małej szklarni. Moim zdaniem, to byłoby idealne miejsce. A potem wydalibyśmy przyjęcie bez żad-

nych ekstrawagancji. Żeby to jakoś uczcić. - Jej szare oczy rozświetlił ciepły błysk. - Ona tyle przeszła, Mitch. Zasługuje na to, żeby mieć miły ślub, bez względu na okoliczności.

Mitchowi zachciało się śmiać. Sprytna sztuka ta jego szwagierka. Zawsze wiedziała, jak go podejść. Musiał przyznać jej rację. Był jej wdzięczny za to, że się do niego zwróciła. Jemu samemu nigdy by coś takiego nie przyszło dó głowy. A przecież chciał dla Marii jak najlepiej.

Patrzył jeszcze przez chwilę na Jordan, a w końcu przemówił surowym tonem:

- Jeżeli pozwolę ci zająć się tym wszystkim, mogę na to liczyć, że będziesz pamiętać o moich warunkach?

Jordan uniosła prawą rękę.

- Słowo honoru.

- Przysięgasz?

- Przysięgam - odparła, przygryzając wargi, żeby się nie roześmiać.

- I żadnych prezentów. Maria byłaby zażenowana.

- Żadnych prezentów.

- Niech ci będzie, Jordan - powiedział z westchnieniem, czując, że za chwilę będzie tego żałował. -

Wszystkie związane z tym koszty pokryję z mojego prywatnego konta. Podpiszę ci czek. I proszę, kup jej jakąś ładną suknię. Ale... - urwał i pogroził jej palcem - pamiętaj, do czego się zobowiązałaś. Bo jak nie, to dostaniesz naganę za niesubordynację.

Jordan roześmiała się, uniosła w górę kciuk, po czym

zrobiła w tył zwrot i odmaszerowała, mrucząc po nosie „ale mi się udało!”

Termin wyznaczono na następną sobotę. Mitch nigdy by nie przypuszczał, że cicha, skromna ceremonia wymaga aż tak wielkich przygotowań. Musiał sprawić sobie oraz dziadkowi Rodriguezowi nowy garnitur, załatwić urzędową zgodę na ślub, zamówić dodatkowe kwiaty oraz tort, zorganizować dowóz jedzenia, umówić urzędnika, który poprowadzi ceremonię - a wszystko to było absolutnie konieczne.

Z przerażeniem myślał, co by to było, gdyby dał Jordan miesiąc na przygotowania. Wszystko do tego stopnia wymknęło mu się z rąk, że niemal spodziewał się, iż Jordan wkroczy do biura i zacznie się upierać, żeby wynająć meksykańską kapelę. Nie spodziewał się też, że cicha, skromna ceremonia będzie aż tak dużo kosztować, mimo to bez słowa podpisał wszystkie czeki.

Ślub posłużył mu jako świetny pretekst, żeby zabrać obu chłopców na zakupy. Pojechali do sklepu z modnymi ubraniami, a tam Mitch wyznaczył limit cenowy i przekazał ich w ręce młodego sprzedawcy, który - sądząc po stroju - musiał się dobrze orientować w najnowszych trendach mody młodzieżowej. On sam nie miał przecież o tym pojęcia.

Kiedy chłopcy wrócili do domu, Maria wpadła w szal, ale było już za późno. Mitch osobiście dopilnował, żeby wszystkie metki z cenami zostały usunięte jeszcze przed wyjściem ze sklepu.

Mitch nie mógł pojąć przyczyny zamieszania, jakie wszyscy robili wokół ich cichego ślubu, a tym bardziej nie rozumiał, czemu cała rodzina - poza Murphym - zachowywała się tak, jakby miał to być najprawdziwszy ślub, i to ślub stulecia. Ich entuzjazm wydawał mu się mocno przesadzony. Podobnie jak podejrzanie krótka pamięć. Chciałby też zobaczyć, jak babcia będzie się z tego śmiać. Musiał także wybrać obrączkę. Chciał zrobić to sam. Nie zastanawiał się nad tym, czemu okazało się to dla niego ważne, żeby Maria dostała od niego coś ładnego. Oczywiście wystarczyłaby prosta, złota obrączka, ale Maria żyła dotąd w bardzo skromnych warunkach, a on chciał jej podarować coś bardziej ekstrawaganckiego. Coś, co będzie mogła zachować na zawsze i co będzie wyłącznie jej własnością.

Kosztowało go to wprawdzie trochę zachodu, ale w końcu znalazł dokładnie to, o co mu chodziło. Obrączka była bardzo szeroka - ozdobił ją misterny, wygrawerowany szlaczek oraz osiem brylantów. Mitch uznał, że ten oryginalny pierścionek będzie ładnie wyglądał na jej smukłej ręce. Wiedziony impulsem kupił też prostą złotą obrączkę dla siebie. Jak już iść, to na całego.

Sam nie wiedział, jak przeżyłby ten zwariowany tydzień, gdyby nie chodziło o Marię. Był tak zajęty, że nie miał czasu na to, by myśleć o sobie i o tym, w co się pakuje. Jego przyszła żona była jednym kłębkim nerwów. Popadała na przemian to w entuzjazm, to w depresję.

W piątek była już tak roztrzęsiona, że zachowywała się, jakby całkiem straciła głowę. Na szczęście Jordan przyjechała po nią o drugiej po południu i zabrała ją do siebie. Było to zresztą częścią planu, że Maria spędzi u Jordan noc z piątku na sobotę. Mitch podsłuchiwał, jak kobiety z jego rodziny szeptały między sobą, że szykują jej jakąś niespodziankę.

Kiedy nadszedł wieczór, sam także zaczął się denerwować. Nie uspokoił się nawet wtedy, kiedy z kwiaciarni w Vancouver nadeszła przesyłka - bukiet zrobiony na jego specjalne zamówienie. I miałyby się tak pewnie przez całą noc, gdyby nie przyszedł Murphy i nie wyciągnął go z domu. Poszli się napić i Mitch upił się w sztok, ale tym razem miał już swój rozum i poprzestał na tequili.

Sobota była ciepła i słoneczna, a na niebie ani jednej chmurki. Czyli pogodę mieli jak na zamówienie. Mitch był tak spokojny i zrelaksowany, że aż się temu dziwił. Nie miał już także żadnych wątpliwości co do tego, na co się decyduje.

Ślub został wyznaczony na trzecią. Murphy, który miał być jego drużbą, pojawił się dziesięć minut po drugiej, razem z dwoma synkami. O wpół do trzeciej stawiała się matka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. zaproponowała, żeby Mitch i Rodriguezowie zeszli im z oczu i zostali na górze.

Słyszając to, Murphy wzniósł za jej plecami oczy do góry. Mitch tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Zgodnie z jego przewidywaniami, mama

zamierzała wziąć wszystko w swoje ręce. Po jej wyjściu Mitch dał Murphy'emu obrączki. Na widok pierścionka Marii brat aż gwizdnął z podziwu. Wsunął obrączki do kieszonki na piersi i z łobuzerskim błyskiem w oku spojrzął na Mitcha.

- Chyba rozbiłeś bank, bracie.

Mitch nawet mu nie odpowiedział. Trzydzieści pięć minut po drugiej parking był już zatłoczony, mimo że „Słoneczne Ogrody” były tego dnia zamknięte dla klientów. Mitch udał, że tego nie widzi, i nalał bratu szklaneczkę szkockiej. Postanowił, że będzie głuchy, niemy i ślepy, póki po nich nie poślą. Było za dwie minuty trzecia, kiedy w mieszkaniu Mitcha zjawiała się Jordan. W purpurowej, powiewnej sukni, z czerwoną wstążką we włosach, wyglądała pięknie. Mitch wyczuł, że jest zdenerwowana.

- Mogę cię na chwilę prosić?

Mitch odstawił szklanekę i wyszedł za szwagierką na korytarz.

Zamykając za sobą drzwi, zapytał wprost:

- O co chodzi?

Jordan spojrziała w dół korytarza i bezradnie wzruszyła ramionami.

- Wczorajszej nocy urządziłyśmy Marii małe przyjęcie. Coś jakby wieczór panieński. Musiała to bardzo przeżyć, bo dziś rano okazało się, że jest w bardzo złym stanie psychicznym. Jest ogromnie przygnębiona i ma wyrzuty sumienia, że wszystkich oszukuje.

Mitch wziął głęboki oddech.

- Gdzie ona jest?- zapytał.

- W pokoju dla personelu, na dole.

- Dobrze - odparł Mitch. - Zbierz wszystkich. Niech już będą gotowi. Ja się nią zajmę.

Kiedy dotarł do pokoju dla pracowników, serce biło mu jak młotem. Otworzył drzwi i na widok Marii zabrakło mu tchu. Włosy miała ułożone w misterny węzeł, w który wpięła białe i różowe kwiatki. Gdy się do niego odwróciła, różowa, szyfonowa suknia zawirowała jej wokół kolan. Mitchowi wydała się zjawiskowo piękna.

- No, no. - Tyle tylko zdołał powiedzieć. Spróbowała się uśmiechnąć, ale niezbyt jej się to udało.

- Tak się boję - wyszeptała.

Mitch podszedł do niej i ujął ją za ręce. Były zimne jak lód. Przycisnął je do piersi, nakrywając dłońmi.

- Nie musisz się niczego bać, Mario - powiedział przyciszonym głosem.

Podniosła na niego oczy.

- Zrobiło się z tego prawdziwe wesele, Mitchell. Rozumiał, o co jej chodziło, i raz jeszcze ścisnął ją za ręce.

- Nie, to tylko zwykłe przyjęcie, kotku. - Spojrzał jej w oczy. - Wydane na cześć chłopców, którzy zostają w Kanadzie, a także dlatego, że wchodzisz dziś do naszej rodziny.

Maria odetchnęła z ulgą.

152

- Naprawdę uważasz, że nie robimy nic złego? - zapytała z niepewnym uśmiechem.
 - Uważam, że to, co robimy, jest słuszne.
 - Na pewno? Mitch uśmiechnął się.
 - Na pewno.
 - Nie potrafię tam iść sama - powiedziała. Mitch spojrzał jej w oczy.
 - No to pójdziemy razem.
 - A czy to nie jest wbrew zasadom? Mitch poczuł, że ma ochotę ją uściskać.
 - Kogo to obchodzi? Mamy nasze własne zasady. Maria odetchnęła.
 - Jestem gotowa - powiedziała, prostując się dumnie. - Możemy iść.
 - Poczekaj - powiedział Mitch. - Jeszcze jedna rzecz. Podeszedł do lodówki i wyjął dwa wielkie bukiety. Jeden położył na stole, a drugi - z gardenii, białych róż i konwalii wręczył Marii.
 - Ten jest dla ciebie - powiedział z powagą.
- Kompletnie zaskoczona, Maria wzięła kwiaty i ostrożnie dotknęła rozkwitłej gardenii, a potem podniosła na niego oczy pełne łez. Przez chwilę nic nie mówiła, a potem znowu dotknęła kwiatu i wyszeptała:
- Jakie piękne Mitchell. Dziękuję. - Otarła łzy i wreszcie się uśmiechnęła.
 - Skąd wiedziałeś o gardeniach? To moje ulubione kwiaty.

153

Bo zawsze nimi pachniesz, pomyślał, i zawsze będą mi cię przypominać.

- Bo często wpinasz gardenię we włosy - odparł. Maria powąchała wiązankę i spojrzała na Mitcha, a on

podał jej ramię.

- Gotowa? Możemy zaczynać? Maria ujęła go pod rękę.

- Tak, jestem gotowa.

Mitch sięgnął po drugi bukiet z białych kalii, przeznaczony dla Jordan.

A potem wszystko potoczyło się własnym torem. Zgodnie z tradycją Mitch i Murphy powinni czekać na Jordan, która miała poprowadzić Marię po czerwonym, specjalnie rozłożonym chodniku.

Tymczasem na przedzie szli Murphy i Jordan, a za nimi Mitch z Marią.

Kiedy wkroczyli do szklarni, nawet spokojnemu Mitchowi zaparło dech w piersi. Pomieszczenie zostało zamienione w czarodziejski ogród, pełen pachnących kwiatów. A ponad wszystko wybijał się zapach wielkanocnych lilii.

Wyjaśniło się także, skąd wziął się tak duży tłok na parkingu - stawiała się cała grupa seniorów z domu spokojnej starości, jak również kilku regularnych klientów, a wśród nich pani V.B.

Kiedy stanęli przed sędzią pokoju, Mitch poczuł, że Maria drży. Ścisnął ją za rękę i uśmiechnął się, mrugając porozumiewawczo. Poczuł, jak Maria się odprężyła. Uśmiechnęła się, mrugnęła, a na koniec wzniosła oczy do góry. Mitch z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Przez całą ceremonię trzymał Marię za rękę. Wyglądała wręcz przepięknie, a kiedy wsunął jej pierścionek na palec, aż westchnęła z zachwytu. Czegoś takiego nie oczekiwała. Nie spodziewała się również tego, że i ona będzie musiała nałożyć mężowi obrączkę, a spojrzenie jej zamglonych oczu powiedziało Mitchowi, że bardzo się wzruszyła.

Z kolei kiedy on wsunął Marii na palec pierścionek, ogarnął go dziwny, radosny spokój - jakby to działa się naprawdę. Spojrzał na matkę - zgodnie z jego przewidywaniami płakała. Podobnie jak siostry. I tak jak myślał, mali bratankowie i siostrzeńcy rzucali confetti.

Nigdy by nie przypuszczał, że wszystko wyda mu się tak bardzo prawdziwe i że po pocałunku Marii zaszumi mu w głowie jak po dobrym winie. Natychmiast zganił się w myślach za to uczucie i podobnie jak w przypadku erotycznych snów - zapisał to na karb przejściowej słabości. To się już więcej nie powtórzy. Zresztą, cóż takiego się w końcu stało? Ożenił się ze swoją kumpelką od kieliszka, to wszystko.

Ku jego zdumieniu, pojawił się też pan Felder z Biura Imigracyjnego. Jak się okazało, zaprosiła go Jordan. A ojciec Mitcha już w pierwszej godzinie spił go w sztok. Dziesięć minut po rozpoczęciu ceremonii do szklarni wmaszerowała meksykańska kapela, w czarnych sombreroach i czerwonych aksamitnych kamizelkach. Mitch nie mógł sobie przypomnieć, żeby byli na jego liście. Murphy przyznał się, że to on ich zaprosił, żeby odśpiewali serenadę na cześć nowożeńców. Maria nie potrafiła ukryć zasko-

czenia. Dziadek Rodriguez tak się rozochocił, że wykonał cały repertuar ludowych przyśpiewek, a kapela została do trzeciej nad ranem, podobnie jak wszyscy goście.

Mitch nie pamiętał, kiedy tak dużo i szczerze się śmiał. Około północy wszyscy zaczęli prosić Marię, która siedziała mu na kolanach i wciąż oglądała swój pierścionek, żeby ich nauczyła pić tequilę. I wtedy dopiero zaczęła się pierwszorzędna zabawa! Roberto i Enrigue postanowili nauczyć Corę i Jordan tańczyć salsę, a zaraz po nich pani V.B. oraz jeden z członków kapeli odtańczyli ogniste tango. Przyjęcie musiało kosztować niezłą sumkę, ale Mitch uznał, że było tego warte.

Kiedy Mitch skończył sprzątać, było dobrze po czwartej. Maria krzątała się po szklarni, zbierając plastikowe kubeczki i brudne serwetki. Była świeża jak skowronek i wciąż pełna energii. Mitch miał rozwiązany krawat, rozpięty kołnierzyk, a poza tym ktoś - chyba babcia - oblał mu przód koszuli czerwonym winem. A jego świeżo poślubiona żona upuściła mu na kolana kawałek weselnego tortu. Mitch z westchnieniem pomyślał, że praktycznie cały, od stóp do głów, nadaje się do pralni.

Objął Marię i pociągnął ją do wyjścia.

- Chodźmy. Pora spać, pani Munroe.

Maria roześmiała się cicho i objęła go w pasie.

- Rzeczywiście, jestem teraz pani Munroe - przyznała ze zdumieniem.

- Tak. Musisz o tym pamiętać. Poszli schodami na górę.

156

- Ale mieliśmy przyjęcie! - stwierdził Mitch.

- Bardzo udane - przyznała Maria. - A ta pani Van Bueren! - dodała ze śmiechem. - Teraz mogłaby dawać lekcje tanga.

Na wspomnienie tanecznych popisów klientki Mitch potrząsnął głową i roześmiał się.

- Myślę, że się dobrze bawiła.

Obejmując się przeszli przez drzwi awaryjne, prowadzące do prywatnej części budynku. Korytarz tonął w półmroku, a w powietrzu unosił się zapach gardenii.

- Miałaś rzucić bukiet! - przypomniał sobie Mitch.

- Ha! - prychnęła Maria. - Schowałam go do lodówki. Nie zamierzam wyrzucać tak pięknego bukietu. Odpowiedź Marii sprawiła mu przyjemność. Uściskał ją.

- Chyba masz rację.

Stanąli pod drzwiami swoich mieszkań. Mitch pomyślał, że to miło wiedzieć, iż od Marii dzieli go tylko wąska przestrzeń korytarza. Że są tak blisko. Gdybytylko potrafił cofnąć rękę i pozwolić, żeby odeszła...

Otworzył drzwi przed Marią. Czuł, że całe jego ciało buntuje się przeciwko jej odejściu. Pragnąc przedłużyć bodaj o kilka sekund to ich sam na sam, zaczerpnął tchu, po czym schrypniętym szeptem powiedział:

- Mieliśmy piękny ślub, pani Munroe.

Maria mocniej go objęła i oparła mu głowę na piersi. -Tak.

Z najwyższym wysiłkiem woli wyprostował się i cofnął niechętnie rękę. Musnął ustami jej włosy.

- Dobranoc, Mario.

Maria chwyciła go mocno za kamizelkę, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dobranoc Mitchell - powiedziała zdyszczym szeptem. Odwróciła się i znikła w swoim mieszkaniu, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Mitch znalazł się u siebie, serce waliło mu jak młotem, w płucach brakowało tchu i ledwo trzymał się na nogach.

Zamknął oczy i spróbował uregulować oddech oraz uspokoić rozdygotane nerwy. Nie miało tak być!

Skąd ta niepożądana reakcja na jej niewinny pocałunek? Nie spodziewał się, że zapragnie Marii.

Tymczasem prawda okazała się taka, że pragnął jej jak żadnej innej kobiety. Całym ciałem i duszą.

Zrzucił marynarkę, zdarł szarpnięciem koszulę i zataczając się, ruszył do łazienki. Może lodowaty prysznic zdoła ugasić jego zmysły.

Jak na noc poślubną, była to kompletna klapa. Mitch nie mógł spać, nie potrafił też upić się do nieprzytomności. W końcu zdecydował się na bieg, po którym dotarł do domu na wpół żywy. Przecież to miał być tylko układ między nim a Marią, pozbawiony podtekstów. Biorąc trzeci zimny prysznic tej nocy, Mitch zaczął się zastanawiać, czy zawierając umowę z Marią, nie należało jednak domagać się wyegzekwowania praw małżeńskich.

Pełen wstrętu do samego siebie wyszedł spod prysznica i zaczął się szykować do pracy. Musiał się wziąć w garść, bo teraz nie potrafił nawet zebrać myśli. To oczywiście

wciąż ta sama przejściowa słabość, ale to minie, jak tylko uda mu się zdystansować od tego, co się wydarzyło. Mitch miał nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

Po dwóch tygodniach tego zaaranżowanego i nie skonsumowanego małżeństwa Mitch musiał przyjąć do wiadomości, że decydując się na taki układ, nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji. Nowa pani Munroe nie tylko z miejsca wzięła całą władzę w swoje ręce, ale również skutecznie zakłóciła mu spokój ducha.

Mitch nie mógł ani na chwilę uwolnić się od zapachu gardenii, za którym krył się delikatny zapach kobiecego ciała.

Maria zmieniła też jego dawno ustalone zwyczaje. W jego mieszkaniu nigdy dotąd nie panował taki ład i porządek. Brudna bielizna niepostrzeżenie znikwała, żeby na drugi dzień pojawić się wyprana w szafie, skarpetki po raz pierwszy były zwinięte parami, a podkoszulki złożone w kostkę. Nawet brakujące guziki zostały przyszyte. Maria pilnowała także, żeby odżywiał się regularnie i żeby o siebie dbał. Co najmniej trzy razy w tygodniu w jego lodówce lądował półmisek z jakimś pysznym, meksykańskim daniem. Z wolna uświadomił sobie, że staje się fety-szystą tych półmisków. Znał co do minuty rozkład dnia Marii. A co do nocy? Nie śmiał nawet o nich myśleć. Czasami tak bardzo odczuwał jej obecność, że niemal słyszał przez ścianę jej oddech. I nie potrafił nawet zliczyć nocy, kiedy był tak podniecony, że miał ochotę włamać się do Marii i dojść wreszcie swoich praw.

Z dnia na dzień rosło jego rozdrażnienie. Mitch zdawał sobie z tego sprawę. Starał się robić ćwiczenia oddechowe, ale spokoju nie odzyskał.

Któregoś słonecznego, majowego poranka zasnął, a gdy wstał, od razu wiedział, że czeka go pechowy dzień. Choćby na początek to, że musi odwieźć chłopców na kursy, zanim zdąży wypić poranną filiżankę kawy. Jessica, która pracowała w kuratorium, załatwiła im egzaminy, mające określić poziom ich wiedzy. Potem Mitch zapisał ich do prywatnego centrum edukacyjnego, żeby mogli nadrobić zaległości przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

Kiedy wysadził chłopców przed centrum, podjechał pod sklep dla kierowców i wziął sobie największą i najmocniejszą kawę, jaką można było zamówić, ale wtedy było już za późno. Był kompletnie wykończony.

Po powrocie do „Słonecznych Ogrodów” zastał wiadomość, że Abel zepsuł wysięgnik wózka widłowego, a zamówiony transport krzewów przyszedł o dwa dni za wcześnie. Mitch wiedział, że rozładowywanie ich bez wysięgnika jest męką.

Cały dzień był nieudany. Jak nie to szwankowało, to coś innego. Pod wieczór Mitch dojrzał już do tego, żeby kogoś pożreć żywcem.

Dochodziła szósta. Wraz z zatrudnionymi dodatkowo pracownikami Mitch rozładowywał na tyłach transport roślin jednorocznych, który dopiero co przyszedł spóźniony tylko o cztery godziny. Był spocony, głodny i zły, kiedy zza rogu wypadła zaaferowana Doris.

- Hej, szefie, mogę dać *Paeonia lactiflora* z *Paeonia officinalis*, czy może wolisz je dać z *Papaver orientale*?

Mitch poczuł, że ma po dziurki w nosie Doris razem z jej *Paeonia lactiflora* i *Papaver orientale*.

Odstawił z hukiem skrzynkę petunii, zdjął rękawiczki i ryknął:

- Nie umiesz mówić po ludzku? O co ci chodzi! Doris ujęła się pod boki i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Czy mam dać chińskie peonie z normalnymi - zaczęła dobitnie i wyraźnie, jakby był głuchy i głupi - czy razem z orientальnymi makami? Znasz orientalne maki - to te duże, pomarańczowe, z dużymi czarnymi środkami.

Mitch miał ochotę cisnąć w nią czymkolwiek, byle ją uciszyć.

- Wszystko mi jedno - warknął. - Rób, co chcesz. I tak zawsze postawisz na swoim.

Doris wzruszyła ramionami, po czym odmaszerowała, ostentacyjnie kołysząc biodrami.

Mitch ledwo nad sobą panował. Zacisnął zęby, naciągnął rękawice i wyładował ostatnie skrzynki na stelaże.

Kiedy już wszystko zostało rozłokowane i ludzie sobie poszli, Mitch zdjął rękawice i po raz ostatni zajrzał do szklarni. Koszulę miał moką od potu. Wziął butelkę z wodą i zaczął sobie obmywać twarz. Właśnie skończył, kiedy do szklarni energicznie wkroczyła Maria. Latynoski temperament zdawał się ją rozsadzać. Miała na sobie szeroką niebiesko-zieloną spódnicę

oraz białą bluzkę z falbankami przy dekolcie. Wyglądała jak tancerka z jakiejś meksykańskiej trupy. Wzięła się pod boki i gniewnie oświadczyła:

- Byłeś niegrzeczny dla Doris!

Mitch otarł twarz i spojrzał na nią ze złością.

- Nie wtrącaj się, Mario. To nie twoja sprawa. Maria podeszła bliżej, kołysząc biodrami.

- Kiedy obrażasz moją przyjaciółkę, to moja sprawa. W tym momencie Mitch stracił cierpliwość.

Cisnął

ochronne, skórzane rękawice na półkę i wykrzyknął:

- Posłuchaj, mam już tego dość! Co za parszywy dzień! Jeżeli Doris czuje się urażona, to jej sprawa! Maria nie zamierzała się poddać. Podeszła do mego i dźgnęła go palcem w pierś.

- Nie powiedziałam, że czuje się urażona. Powiedziałam, że byłeś niegrzeczny, Mitchell. Nie wolno być niegrzecznym.

- Czy to twoje nowe słowo na ten dzień?

Marii przybrała groźną minę. Mitch był zbyt wściekły, żeby sobie coś z tego robić. Gromiąc go wzrokiem, Maria szturchnęła go jeszcze kilka razy w pierś.

- Jesteś... jesteś jak zwierzę!

Czuł jej zapach, czuł bijący od niej żar. I nie mógł już tego dłużej znieść. Była zbyt gorąca, zbyt namiętna i... stała zbyt blisko.

Mitch przyciągnął ją do siebie i użył jedyne go sposobu, jaki znał, żeby zamknąć jej usta - pocałunku. Ledwo dotknął ustami jej warg, wszystkie postanowienia wzięły

w łeb. Ulegając palącemu pragnieniu, przygarnął Marię i przytulił z całych sił.

Na ułamek sekundy ocknęła się w nim świadomość - może w tym momencie zdołałby się jeszcze wycofać. Właśnie wtedy z ust Marii wyrwał się cichy jęk. Objęła go mocno w pasie i podała mu usta. I to już był koniec. Oszalały z pragnienia stopił się z nią w jedno. Maria tuliła się do niego, a jemu pod powiekami wybuchały barwne fajerwerki i całe ciało wibrowało. Nie było już odwrotu. Nie przeżyłby tego.

Czuł, że płoną oboje, a on jest o krok od tego, by do końca stracić nad sobą panowanie.

I wtedy nagle trysnął na nich zimny strumień. Szok był taki, że Mitchell przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie. W końcu dotarło do niego, że ktoś włączył zraszacze. Tylko że ten, pod którym stali, był zepsuty i tryskał fontanną lodowatej wody.

Nim zdążył się otrząsnąć, Maria znikła. On stał pod zimnym strumieniem, który jednak nie zdołał ugasić trawiącego go pożądania. Zamknął oczy, pochylił głowę i oparł ręce na biodrach - był wciąż tak podniecony, że rozboleły go nawet zęby. Czuł, że teraz dopiero zaczną się poważne kłopoty, bo erotyczne sny zmieniły się w rzeczywistość.

ROZDZIAŁ 7

Tej nocy Mitch nie zmrużył oka. Po dramatycznym spotkaniu w szklarni Maria zapadła się pod ziemię. Szukał jej, bo czuł, że jest jej winien wyjaśnienie, ale nie mógł jej nigdzie znaleźć.

Wróciła późno, koło północy. Słyszał przez ścianę, jak wchodziła do mieszkania. Stał przy drzwiach i przez dobry kwadrans zastanawiał się, czy powinien do niej pójść, czy nie, ale w końcu doszedł do wniosku, że nie wypada nachodzić jej we własnym mieszkaniu. Poza tym nie do końca sobie ufał i nie potrafił przewidzieć, jak by się to skończyło, gdyby się znalazł w pobliżu Marii. Uznał, że w ich przypadku najlepiej będzie zachować ostrożność. Szkoda tylko, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej, zanim rzucił się na nią w szklarni.

O siódmej rano był tak nieprzytomny, że nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, jak się nazywa. A potem znowu przez cały dzień nie mógł znaleźć Marii. Wszyscy ją widzieli - tylko nie on. W końcu doszedł do wniosku, że najwidoczniej Maria ma jakiś plan, w który go nie wtajemniczyła, więc po prostu się poddał.

Skoro ona nie chce z nim rozmawiać, nie będzie jej do tego zmuszał. Zostawi ją w spokoju i poczeka, aż sama do niego przyjdzie.

To był dobry plan. Tyle tylko, że po tygodniu męczących erotycznych snów poprzeplatanych okresami bezsenności, po siedmiu dniach kompletnego braku apetytu, Mitch był już bliski obłądu.

Uznał, że musi wreszcie coś zrobić.

Tego dnia zobaczył Marię, jak wychodziła po pracy i wsiadała w miejski autobus. Widocznie dokądś się wybierała. Wiedząc, że prędzej czy później będzie musiała wrócić, Mitch wpadł na pewien pomysł. Nadal uważał, że nie wypada nachodzić jej w mieszkaniu. Ale była przecież jego żoną! A mężczyzna ma chyba prawo porozmawiać z własną żoną. Wobec tego postanowił zastawić na nią pułapkę.

Zostawił uchylone drzwi i czekał. Dochodziła jedenasta, kiedy wreszcie usłyszał ciche kroki na końcu korytarza. Podeszedł na palcach do drzwi, a gdy Maria się zbliżyła, wyskoczył na korytarz, zatkał jej usta i wciągnął do swojego mieszkania, zatrzaskując kopniakiem drzwi.

- Dość długo wodziłaś mnie za nos, moja pani - powiedział, trzymając ją w uścisku. - Musimy porozmawiać.

Maria była znacznie silniejsza, niżby się tego można spodziewać. Walczyła jak lwica. Pewny, że nie będzie krzyczała, by nie ściągnąć im na głowę wszystkich domowników, odsłonił jej usta i przyciągnął jeszcze bliżej.

- Daj spokój, Mario. Nie puszcę cię, dopóki mi nie obiecasz, że ze mną porozmawiasz.

Maria syknęła coś po hiszpańsku, a sądząc po tonie, nie były to życzenia dobrej nocy. Szarpnęła się, w efekcie czego znaleźli się jeszcze bliżej siebie. Mitch poczuł jej ciepłe, miękkie, pachnące ciało i nagle zrozumiał, że nie jest w stanie dłużej nad sobą panować. Poszukał ustami jej warg i w tym momencie wszystkie jego postanowienia wzięły w łeb.

Oprzytomniał, kiedy poczuł w ustach smak krwi - jego czyjej, tego nie potrafił powiedzieć.

Świadomość, że mógł ją zranić, sprawiła, iż się cofnął. Wtedy do niego dotarło, że przyciskając Marię do siebie, zgniół jej torebkę oraz jakiś mały pakunek.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę, a serce biło mu jak młotem. Przegrał kolejną rundę. Chciał tylko porozmawiać z Marią, a zachował się jak zwierzę. Jak zdoła jej to wytłumaczyć?

Był pewny, że usłyszy huk zatrzaskiwanych drzwi, tymczasem poczuł delikatne muśnięcie na twarzy, a potem ciepła dłoń Marii dotknęła jego policzka. Otworzył oczy i spojrzał jej w twarz.

Z nabrzmiałymi, wilgotnymi ustami patrzyła na niego tak łagodnie jak nigdy dotąd. Z nieśmiałym uśmiechem wcisnęła mu do ręki pogniecioną paczuszkę.

- To prezent dla ciebie - wyszeptała. - Poza tym chciałabym zmienić pewien punkt naszej umowy. O ile się zgodzisz.

Mitch patrzył na nią, czując, że puls gwałtownie mu podskoczył. Wiedział już, co jest w tej paczuszce. Miał

wrażenie, że zaraz eksploduje. W płucach brakowało mu tchu.

Kiedy się uśmiechnęła, wydało mu się, że nogi się pod nim uginają. Maria znowu go dotknęła - i poczuł wielką ulgę. Zsunął jej z ramienia torebkę i rzucił na podłogę. Chwycił Marię na ręce, a ona objęła go za szyję i ukryła twarz na jego piersi.

Znaleźli się w sypialni. Mitch puścił Marię, a paczuszkę położył na nocnym stoliku. Gdyby od razu zaniósł Marię do łóżka, nic już nie byłoby go w stanie powstrzymać. A on, zanim to nastąpi, chciał poczuć ją przy sobie naga, tak by nic ich nie dzieliło. Maria miała na sobie białą bluzkę i szeroką, kolorową spódnicę. Mitch jednym ruchem ściągnął jej bluzkę. Na widok nagich piersi krew uderzyła mu do głowy. Sięgnął do klamry od paska, ale Maria uprzedziła go. Mitch zamknął oczy i czekał, wstrząsany dreszczem.

Kiedy pozbył się dzinsów, szarpnął guzik spódnicy i zsunął ją Marii z bioder, wraz z majteczkami. A potem porwał ją na ręce i położył na łóżku. Kiedy poczuł pod sobą jej nagie, ciało, z piersi wydarł mu się głuchy jęk. To już nie był sen. To była rzeczywistość.

Maria odpowiedziała cichym pomrukiem i Mitch w tym samym momencie zrozumiał, że to nie on się liczy, tylko ona.

Był czułym i wytrawnym kochankiem. Zanim się w niej zatracił, zdążył się jeszcze zabezpieczyć. A potem długo dotykał Marii i całował ją; wielbił rękami i ustami,

aż w końcu dotarł do najczulszego punktu. Chciał dać Marii wszystko, chciał, by doznała najwyższej rozkoszy. Bez tego ich akt byłby pusty i pozbawiony sensu. A jemu nie chodziło jedynie o seks. Nie z Marią.

Kiedy z krzykiem wygięła się w łuk, wiedział, że teraz przyszła na niego pora. Wszedł w nią powoli i zaczął się poruszać zgodnie z naturalnym rytmem, który dyktowała mu podświadomość. Zakrył Marii usta, żeby uciszyć jej krzyki, i z głośnym jękiem doznał spełnienia.

W przeszłości, ilekroć kochał się z jakąś kobietą, przeżywał moment szczytu samotnie, a później nie czuł niczego prócz leniwego odprężenia. Tym razem było zupełnie inaczej. Tonął w morzu paraliżujących doznań, z których każde było silniejsze niż poprzednie. A Maria świadomie towarzyszyła mu w tej podróży do źródła najwyższej rozkoszy. Pomyślał, że spotkała go nie zasłużona nagroda. Dostawał tysiąc razy więcej, niż na to zasłużył. Czegoś takiego nie mógł się spodziewać w najśmielszych marzeniach.

Później potrzebował bardzo dużo czasu, żeby dojść do siebie. A do zmiany pozycji zmusiła go w końcu obawa, że jest dla Marii za ciężki.

Uniósł się na łokciach, ujął w dłonie jej twarz i złożył na jej ustach czuły pocałunek. Ogarnęła go tak wielka słabość, że nie miał nawet siły mówić. Pragnął tylko jednego - pozostać tam, gdzie teraz był, do końca życia.

Nagle poczuł na palcach łzy i zaczął całować oczy Marii. A potem znowu jej nabrzmiące, wilgotne usta.

- Dobrze się czujesz? - zapytał stłumionym szeptem. Maria skinęła głową i zaczerpnęła tchu.

- Czuję się... - Urwała, szukając w myślach stosownego słowa - czuję się bardzo wspaniale. - Objęła go za szyję. - A ty?

- Ja też czuję się bardzo wspaniale - odparł z uśmiechem i znów pocałował ją w usta.

Maria szarpnęła go lekko za włosy, a kiedy uniósł głowę, zapytała:

- Czy ty się ze mnie wyśmiewasz? I z mojego angielskiego, Mitchell?

- Tak - odparł, próbując powstrzymać się od śmiechu. - Oczywiście, że tak.

Maria zmrużyła oczy i uszczypnęła go w plecy, a on tylko się roześmiał i znów ją pocałował. I nagle poczuł, że musi zapytać ją, co naprawdę czuła, i musi jej powiedzieć, że jemu było wspaniale, bo dała mu coś, czego nigdy dotąd nie przeżył. Chciał opowiedzieć jej o tych wszystkich snach, które męczyły go nocami, a także o tym, że od tygodni był bliski obłądu. Może wtedy ona powie mu, co sama przeżywała i dlaczego wręczyła mu ten znaczący prezent. Niestety, znał sam siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że elokwencja nie jest jego mocną stroną. A poza tym zdawał sobie sprawę, że musi mieć się na baczności. Nie wolno mu zbliżyć się za bardzo do Marii. Mimo tego, co między nimi zaszło, powinien zachować pewien bezpieczny dystans.

Jednak myśl, że miałyby go teraz opuścić, wydała mu

się nie do zniesienia. Zamknął oczy, mocno objął Marię i zaczął wdychać jej słodki zapach. A w końcu, zaciskając zęby, wycofał się i przekręcił na plecy, pociągając Marię za sobą. Leżała teraz na nim, miękka i ciepła, a on bawił się jej włosami i całował w szyję.

- To było takie miłe, Mitchell - wyszeptała, pieszcząc ustami jego ucho. - Nawet bardziej niż miłe. - A po chwili spytała: - Długo czekałeś?

Nie miał pewności, o co chciała go zapytać. Na co długo czekał? Na jej powrót do domu? A może na to, żeby wziąć ją do łóżka? Postanowił być szczery. Roześmiał się cicho i odparł:

- Bardzo, bardzo długo.

Maria dotknęła ustami jego szyi. Był pewny, że się przy tymuśmiechała.

- Zdaje mi się, że podobał ci się mój prezent. Mitch wybuchnął śmiechem i mocno ją uściskał.

- Był wspaniały.

Maria zadrżała z zimna. Mitch naciągnął na nią prześcieradło, a potem znów ją objął i cichym głosem powiedział:

- Wcale tego nie planowałem, Mario.

Zamarła w jego ramionach. Widocznie wyraził się niezręcznie, a ona źle go zrozumiała. Wzmocnił uścisk na wypadek, gdyby chciała uciec i wtulił usta w jej miękką skórę.

- Nie chciałem, żebyś mnie unikała po tym, co zaszło w szklarni. Prawdę mówiąc, sam czułem się podle. W koń-

cu przyszło mi do głowy, że jeśli cię tu zaciągnę, będę miał szansę powiedzieć ci, co o tym wszystkim myślę. - Zanurzył palce w jej włosach i zmusił, żeby na niego spojrzała. Ale kiedy dałaś mi ten prezent, kochanie - dodał z uśmiechem - kompletnie straciłem głowę.

Maria odetchnęła z ulgą i obwiodła palcem jego usta.

- Więc chciałeś tylko porozmawiać, tak?

- Tak - przyznał z uśmiechem, chwytając ją za rękę -ale przytrafiło mi się coś tysiąc razy lepszego.

Maria roześmiała się i obdarzyła go czułym pocałunkiem.

- W takich rozmowach jesteś naprawdę dobry.

Jej ton trochę go zaniepokoił. Czyżby potraktowała to wszystko bardzo lekko? Poczul dziwny ucisk w piersi.

- Zostań - powiedział schrypniętym szeptem. Maria otoczyła dłońmi jego twarz.

- Zostanę - powiedziała, a on poczul, że chce mu powiedzieć coś więcej, i nagle się przeraził.

Nie podobało mu się to uczucie. Dotknął ustami jej warg, chcąc się w niej znowu zatracić. Maria oddała mu pocałunek tak, że wkrótce zabrakło mu tchu. I znowu porwała go fala obezwładniającej rozkoszy.

Później nie potrafił nawet policzyć, ile razy kochali się tej nocy. Wciąż nie mógł się nią nasycić i za każdym razem coraz bardziej jej pragnął. A kiedy wreszcie przyszedł sen, Mitch wiedział, że tym razem nie będzie już żadnych koszmarów. Bo jego wyśnione marzenie spoczywa u jego boku.

Obudził się o świcie i z przykrością przekonał się, że jest sam. Maria znikła, pozostawiając po sobie słodki zapach gardenii. Wszystko wokół świadczyło o tym, co zaszło ubiegłej nocy - rozrzucona pościel, ubranie, wreszcie jego własne, nagie i osłabłe ciało. Leżał przez dwadzieścia minut, z twarzą wtuloną w poduszkę, i rozpamiętywał każdą minutę tej szalonej nocy.

W końcu zwał się z łóżka i poszedł do łazienki. Stojąc pod prysznicem, usiłował odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu Maria go opuściła. Potem próbował zjeść śniadanie, ale mu się to nie udało, bo przez cały czas nasłuchiwał, czy nie otworzą się drzwi jej mieszkania. W końcu zszedł na dół i zaczął przemierzać centrum w nadziei, że się na nią natknie. Gdzie ona jest? Zresztą, gdziekolwiek by była, pewnie¹, podobnie jak on, ma teraz tysiące wątpliwości.

Byłby się całkiem rozkleił, kiedy nagle usłyszał jej kroki na schodach. Zamknął oczy i spróbował wziąć się w garść. Co się z nim dzieje? To, co przeżywał, było dla niego zupełną nowością i nie potrafił odnaleźć się w tej sytuacji.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Maria. Mitchowi serce aż podskoczyło w piersi. Patrzyła na niego przez chwilę nieodgadnionym wzrokiem, a potem jakby zrozumiała, że czekał na jej znak. Uśmiechnęła się, a w jej policzkach ukazały się dołeczki. W bezradnym geście uniosła ręce i wymownie wzruszyła ramionami. Cała jej poza zdawała się mówić: „Ale pokpiliśmy sprawę!” Była taka piękna, z rozpuszczonymi włosami, okalającymi

twarz, w obcisłych dżinsach, uwypuklających każdą krągłość jej ciała. Nagle poczuł, że musi jej dotknąć. Że jest mu to potrzebne do życia jak powietrze. Nie wiedział, co powiedzieć. Zresztą, co można mówić w takiej sytuacji? Wiedziony instynktem przemierzył dzielącą ich przestrzeń i wziął Marię w objęcia, a serce głucho tłukło mu się w piersi.

Zamknął oczy i ukrył twarz w jej włosach. Ogarnęła go dziwna słabość. Usłyszał jej drżący oddech, a potem jej ręce objęły go w pasie.

- Co cię tak długo zatrzymało? - zapytał z ustami przy jej skroni.

- Nie wiedziałam, że na mnie czekałeś, Mitchell - odparła z uśmiechem. - Idziemy gdzieś?

Mitch odetchnął z ulgą i cicho się roześmiał. Przytulił ją jeszcze mocniej. Jego ciało natychmiast zareagowało na jej bliskość. Pomyślał, że nie powinien jej tak dłużej trzymać. Ale nie chciał jej też puścić. Nagle przyszedł mu do głowy pewien plan.

- Co ty na to, żebyśmy wyskoczyli gdzieś na śniadanie?

- A co ze sklepem? - zaniepokoiła się Maria.

- Doris i Karen jakoś sobie poradzą - odparł, ezając, że się do reszty pogrąza.

Maria mocniej przytuliła się do niego.

- Miło byłoby zjeść razem śniadanie.

Tak bardzo chciał ją pocałować, bał się jednak, że jeśli ulegnie pokusie, będzie musiał zaciągnąć ją prosto do

łóżka. Nabrał w płuca powietrza, odetchnął głęboko, po czym niechętnie puścił Marię.

- Chodźmy, pani Munroe - powiedział, całując ją w czoło. - Pora coś zjeść.

Kiedy wyszli na dwór, Maria wydała okrzyk zachwytu.

- Och, Mitchell! Co za piękny dzień!

Zza zasłony ciemnych okularów mógł bezpiecznie napawać się jej urodą.

- Piękny - przyznał lekko ochryłym głosem. - Bardzo piękny.

Kiedy usiedli naprzeciw siebie, w małej wnęce przy stoliku w restauracji „U Joego”, Mitch poczuł się pewniej. Przy sąsiednich stolikach tłoczyli się kierowcy ciężarówek. W powietrzu unosił się zapach jajek na bekonie. W tle, ponad porannym gwarem, dzwoniła staroświecka kasa. A oni z Marią* w zacisznej niszy, byli jakby na bezludnej wyspie.

Dochodziła siódma rano. Słońce rzucało długie cienie, ptaki porannym tryłem witały nowy dzień.

Kelnerka w stroju z lat pięćdziesiątych, z ustami pełnymi gumy do żucia, przyniosła im kawę i przyjęła zamówienie. Kiedy odeszła, Mitch zaczął mieszać powoli kawę, szukając w myślach odpowiednich słów. Ostatniej nocy nie wyraził się chyba zbyt jasno, a nie mógł do tego dopuścić, żeby między nim i Marią były jakieś niedopowiedzenia. Za bardzo ją lubił i szanował. Dlatego nie chciał, by pomyślała, że starał się wykorzystać jej sytuację.

Ujął kubek z kawą i ponad jego krawędzią spojrzął na

Marię. Siedziała rozmarzona, podpierając dłonią podbródek, zapatrzona w fioletoworóżowy obłok. Zanim zdążył coś powiedzieć, odezwała się pierwsza:

- Twoje niebo mnie przeraża, Mitchell. Jest takie ogromne. Daje takie poczucie wolności.

Patrzył na nią z uczuciem, że rodzi się między nimi jakaś nowa więź. On także myślał to samo, patrząc na niebo nad Calgary. Kiedy stąd wyjeżdżał, brakowało mu tego nieba i tych gór.

- Doskonale cię rozumiem - powiedział cicho. "«" Spojrzała na niego wyczekująco, jakby chciała mu dodać odwagi.

Nie odrywając od niej wzroku, wyznał:

- Przepraszam cię za to, co zaszło tej nocy. Chociaż muszę przyznać, że tego nie żałuję. Od zajścia w szklarni marzyłem już tylko o jednym, żeby się z tobą kochać.

Śniade policzki Marii pokryły się purpurowym rumieńcem. Roześmiała się, a potem ukryła twarz w dłoniach. Nie chciał, żeby poczuła się zażenowana, ale skoro tak się stało, wcale tego nie żałował.

Była w tym wszystkim taka urocza, że chętnie by ją uściskał.

- A co do twojego prezentu - dodał jakby od niechcienia - to chyba najlepszy prezent, jaki w życiu dostałem i...

Maria poderwała się i zatkała mu dłonią usta.

- Już dosyć słyszałam o moim pipzencie, Mitchell -powiedziała. Głos jej drżał od tłumionego śmiechu.

- Cieszę się, że ci się podobał.

Oblizła wargi, a Mitchowi puls od razu podskoczył.

W jednej sekundzie przed oczyma przewinęły mu się wydarzenia ostatniej nocy. Maria patrzyła na niego, znana mu dobrze żyłka na jej szyi pulsowała jak szalona. Pojął, że oboje odbierają na tej samej fali.

Z bijącym sercem wyciągnął do niej rękę. Musiał się na to zdobyć. Chciał, żeby o tym wiedziała.

- Intymność, która nas połączyła, dużo dla mnie znaczy, Mario - powiedział. - Ciszę się, że staliśmy się sobie tacy bliscy.

Maria patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Aż w końcu, przyjmując jego dłoń, drżącym głosem odparła:

- Ja też się cieszę, że to zrobiliśmy. I nie widzę powodu, dla którego nie mogłoby się to stać częścią naszej umowy.

Z uczuciem najwyższej ulgi ścisnął jej rękę. Był Marii wdzięczny za to, że w tak prosty sposób potrafiła wyrazić to, co z takim trudem usiłował jej powiedzieć.

Teraz patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, jakby czekała na jego odpowiedź. Mitch uśmiechnął się.

- Czy to znaczy, że będę mógł użyć reszty prezentu? Maria roześmiała się i spłonęła rumieńcem.

Potrząsnęła

głową, jakby chciała go zganić, a potem pokazała dołeczki w uśmiechu.

- Ach, Mitchell - powiedziała, patrząc na niego ze zrozumieniem - widocznie nigdy nie dostałeś takiego prezentu. Nic dziwnego, że zawsze jesteś w takim złym humorze.

Mitch miał ochotę pocałować ją ponad stołem, ale wtedy pojawiła się kelnerka ze śniadaniem, więc musiał puścić Marię. Pogroził jej za to palcem, by wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Roześmiała się, strzepnęła papierową serwetkę i z miną niewiniątka zwróciła się do kelnerki:

- Pyszne śniadanie. Mój szef to bardzo trudny człowiek. Ciężko go zadowolić. Wczoraj pracowałam do późnej nocy. Jestem zupełnie skończona.

- Tak - mruknęła kelnerka, nalewając kawę. - Świetnie panią rozumiem.

Mitch z trudem powstrzymał się od śmiechu. Spojrzał na Marię i z naciskiem powiedział:

- Mówi się „wykończona”, Mario, a nie „skończona”. Maria uniosła głowę i rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

- Tak myślisz? - Strzepnęła serwetkę, położyła ją na kolanach, podziękowała kelnerce i udając, że nie widzi Mitcha, spokojnie zabrała się do śniadania.

Kiedy wrócili z restauracji, placyk przed centrum był już zatłoczony. Zatrzymali się na parkingu dla pracowników i Maria od razu wyskoczyła z samochodu, żeby pomóc parze starszyców, która popychała przed sobą wózek z geranium. Mitch ruszył za nią, mocno zgnębiony. Kiedy Maria znikła mu z oczu, poczuł się, jakby go porzuciła. A miał taką ochotę wziąć ją W ramiona!

Do południa nie udało mu się z nią zobaczyć, poza tym sam miał tyle pracy na stoisku z krzewami, że nawet nie mógł zrobić sobie przerwy na lunch. Wiosna była już

w pełnym rozkwicie, minęła groźba spóźnionych przymrozków, więc skrzynki z roślinami jednorocznymi cieszyły się takim powodzeniem, że trzeba było posadzić po dwie osoby przy każdej kasie.

Dopiero o szóstej po południu trafiła mu się szansa, żeby skoczyć na górę i zrobić sobie coś do jedzenia. Był tak zmęczony i spocony, że postanowił najpierw wziąć prysznic. Zrzucił przeпоconą koszulę i poszedł do sypialni, za którą znajdowała się łazienka, ale kiedy doszedł do drzwi, stanął jak wryty.

Łóżko było posłane, a pościel zmieniona. Na myśl o tym, że Maria zmieniała pościel w jego łóżku, noszącym jeszcze ślady ubiegłej, szalonej nocy, ugięły się pod nim kolana.

Przypomniaws sobie każdy szczegół tej nocy, niemal czuł zapach Marii i miękkiego dotyk jej ciała.

Zamknął oczy i oparł się o framugę. W uszach miał szum własnej krwi. Pragnął Marii. Pragnął czuć ją przy sobie, pragnął stopić się z nią w jedno.

- Mitchell...? - Usłyszał za sobą pełen niepokoju szept, a potem drobna ręka dotknęła jego ramienia. - Mitchell? Źle się czujesz?

Omam nie chwycił jej w objęcia, ale resztką sił zdołał się powstrzymać. Był rozpalony i dygotał jak w gorączce.

- Pościeliłaś łóżko? - zapytał, usiłując się uśmiechnąć. Maria, zmieszana, popatrzyła na łóżko, potem znowu

na niego. Powiedziała coś po hiszpańsku i rzuciła mu się w ramiona. Mitch ukrył twarz w jej włosach i zamknął ją w uścisku. Już sama jej obecność przyniosła mu ulgę.

Przyciągnęła ku sobie jego głowę i podała mu usta do pocałunku. Pocałował ją, a kiedy zabrakło mu tchu, znowu wtulił twarz w jej włosy, nabrał w płuca powietrza i wyszeptał:

- Muszę wziąć prysznic, kochanie.

- Nie musisz - mruknęła, chwytając klamrę jego paska. - Musisz zrobić sobie sjęstę.

- Najpierw wezmę prysznic - powtórzył z uporem, kiedy jej ręka wślizgnęła się w rozcięcie suwaka. Maria jakby go nie słyszała.

- Później weźmiesz prysznic - powiedziała, zsuwając mu spodnie. - Najpierw musisz odpocząć.

Mitch zadrżał i wpił się jej w usta. Czerwona mgła przysłoniła mu oczy. Nie potrafił już dłużej nad sobą panować. Tylko Maria mogła ugasić trawiący go żar. Tylko ona jedna.

Z czasem Mitch zdał sobie sprawę, że grubo się pomylił. Na początku był przekonany, że po kilku dniach zaspokoi swoje zmysły i będzie mógł ze spokojem wrócić do pracy.

Tymczasem prawda wyglądała tak, że spędzał teraz w łóżku więcej czasu niż kiedykolwiek w swoim życiu. Maria przychodziła do niego niemal co noc i każda noc była równie gorąca. Nie przestawał jej pragnąć i marzył o tym, żeby została przy nim do rana.

Nie mógł się jednak tego doczekać, ponieważ Maria zawsze znikwała przed świtem. Budził się potem, nieszczęśliwy, bo czuł wkoło tylko zapach gardenii.

Chodzili za to razem na śniadanie i to pozwalało mu rozpoczynać każdy dzień w dobrym nastroju. Oczywiście nie zawsze panowała między nimi pełna sielanka. Czasami ta kobieta doprowadzała go do szału. Nigdy nie potrafił przewidzieć, co ją ugryzie, a czasami w ogóle nie chciała go słuchać. Na przykład w dziwny sposób fascynował ją wózek widłowy i wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby nauczył ją prowadzić. Mitch próbował jej tłumaczyć, że właśnie zaczął się sezon i w sklepie panuje taki ruch, że nie ma na to czasu.

Próbowała z nim dyskutować, wypominając mu, że mimo licznych zajęć zabrał parokrotnie chłopców na wieś, by poćwiczyli jazdę. On jej na to mówił, że wózek widłowy to nie jeep, ale Maria prychała tylko ze znaczącą miną.

Kiedy znów zaatakowała go w piątkowy wieczór, nie miał już siły na dyskusje i tłumaczenia.

Powiedział wprost, że zabrania jej zbliżać się do wózka. Maria wybiegła, trzaskając drzwiami, jakby uraził jej godność. Nawet nie miał czasu, żeby pobiec za nią i spróbować ją udobruchać.

Później tego samego dnia, tuż przed zamknięciem, Mitch był na dworze i zawieszał metki na drzewkach, przeznaczonych do ogródków przy domach, które budował Murphy. Nagle usłyszał warkot wózka i serce podeszło mu do gardła. Maria siedziała za kierownicą i poprzez niemal pusty parking jechała ku nowiutkiej ciężarówce, którą niedawno kupił dla swojej firmy krajobrazowej. Ciężarówka była tak nowa, że nie zdążyła się nawet zabrudzić.

Wiatr rozwiewał Marii włosy. Na twarzy miała dobrze mu znany, wyniosły uśmiech, jakby prowadziła królewską paradę. Na widok Mitcha, który stał z otwartymi ustami, odwróciła się i pomachała mu ręką. Jeden rzut oka na kierunek, w jakim zmierzała, powiedział mu, że są o krok od katastrofy. Wrzasnął i puścił się za nią biegiem, ale ona znowu mu pomachała, po czym z całym impetem wjechała w jego wspaniałą, lśniąca ciężarówkę.

Oszalały z trwogi dopadł ją i chwycił za szyję. Był pewny, że złamała sobie kark.

Maria popatrzyła na niego z przerażeniem. Widocznie źle zrozumiała jego intencje.

- Chcesz mnie udusić, Mitchell? - wyszeptała. - Przepraszam, że zniszczyłam twoją piękną ciężarówkę.

Z oczyma pełnymi łez Maria próbowała się odwrócić, żeby obejrzeć wyrządzone szkody. Mitch chwycił ją w ramiona, a ona ukryła twarz w dłoniach.

- Jestem taka głupia.

Skoro mogła się ruszać, pewnie nie zrobiła sobie większej krzywdy. Mitch odetchnął z ulgą i nagle ogarnęła go straszliwa słabość.

- Nie chodzi mi o ciężarówkę - syknął. - Myślałem, że złamałaś sobie kark. Nic cię nie boli?

Opuściła ręce. Wyglądała jak skarcona pensjonarka.

- Mój kark jest w porządku - odpowiedziała - ale mam złamane serce. Popatrz, co zrobiłam z twoją ciężarówką.

Mitch naprawdę nie chciał się uśmiechnąć. W końcu

Maria zlekceważyła jego zakaz, a teraz on musiał ponieść tego konsekwencje. Mimo to nie umiał ukryć rozbawienia.

- Właściwie powinienem ci skrócić kark, Mario. Przecież mówiłem, że cię nauczę, jak będę miał czas. Ale ty mnie nie posłuchałaś.

Wyglądała tak żałośnie, kiedy patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie posłuchałam cię, Mitchell. Przepraszam. Puścił Marię i przez chwilę jej się przyglądał. Nawet nie

spojrzał na nową ciężarówkę, która była jego radością i dumą. Nie śmiał popatrzeć w tamtą stronę tylko dlatego, że Maria była taka przerażona. W końcu z westchnieniem powiedział:

- Przesuń się! - Maria spojrzała na niego zaleknionym wzrokiem, ale posłusznie wykonała polecenie. Mitch wdrapał się na wózek, cofnął siedzenie tak daleko, jak tylko było to możliwe, po czym posadził Marię przed sobą. Otoczył ją ramionami i chwycił dźwignię.

- A teraz uważaj. Tak włącza się wsteczny bieg. Naprawą ciężarówki zajął się dopiero następnego dnia.

Sam nawet nie chciał oglądać spustoszeń, których dokonała Maria, tylko kazał Abelowi i Karen odstawić wóz do dealera. Kosztorys otrzymał koło południa. Nie miał pojęcia, że nowe drzwi będą kosztowały aż tyle. Głęboko wstrząśnięty rzucił żadaną sumę na biurko.

- Załatw to, jak będziesz miała czas - zwrócił się do Jordan.

Jordan aż gwizdnęła z wrażenia, a potem podniosła na niego wzrok i starając się zachować powagę, zapytała:

- Nie chcesz załatwić tego przez ubezpieczenie? Mitch z westchnieniem pokręcił głową.

- Nie. Wolę zachować premię za sześć lat bezwypadkowej jazdy do czasu, kiedy Maria weźmie samochód i spowoduje karambol na autostradzie.

Jordan roześmiała się, a potem spytała:

- Wiesz o tym, że ona jest bardzo przygnębiona?

- Wiem - westchnął Mitch. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, a potem nagle przystanął i spojrzał na Jordan.

- Nie mów jej, że ubezpieczenie za to nie zapłaci, dobrze?

Szwagierka zasalutowała jak żołnierz.

- Tak jest, szefie.

Maria czekała na niego na dole. Stała przy półkach, załamując ręce. W jej oczach malowała się rozpacz.

- Czy dzwoniли z warsztatu?

Mitch zmierzył ją surowym wzrokiem.

- Tak.

- Powiedz mi, ile to kosztowało. Muszę ci zwrócić.

To dziwne, ale nie podobała mu się taka pokorna i niepewna. Wolał ją rozgniewaną, kiedy z dumnie uniesioną głową patrzyła mu w oczy. Westchnął i położył jej ręce na ramionach, a potem uniósł ku sobie jej twarz. Nagle przypomniał sobie jej minę tuż przed zderzeniem i strasznie zachciało mu się śmiać.

- Chciałaś mi pokazać, co?

Z przerażeniem w oczach chwyciła go za rękę. Przez chwilę myślał, że Maria się rozpłacze.

- To była także moja wina. Powiniennem być ci powiedzieć, czemu nie chcę, żebyś jeździła na tym wózku. Nie zrobiłem tego, więc teraz za to płacę.

- Ale ja cię nie posłuchałam - powiedziała z rozpaczą.

- Znając ciebie, wiem, że znowu mnie nie posłuchasz. Oboje to wiemy.

Tym razem Maria nie oponowała.

- Muszę naprawić twoją ciężarówkę, Mitchell - powtórzyła z uporem. - Zachowałam się bardzo głupio.

Mitch przytulił jej głowę do swojej piersi. Wolał nie patrzeć jej teraz w oczy.

- Ubezpieczenie za to zapłaci - skłamał gładko. - Chcę zawrzeć z tobą umowę. Następnym razem ja postaram się wyjaśnić ci wszystko bardziej szczegółowo, a ty postarasz się słuchać uważnie.

Poczuł, że Maria wreszcie się rozluźniła.

- Ale ja cię słucham, Mitchell. Tylko czasami jednym uchem.

Mitch potarł policzek o jej włosy i zamyślił się. Może i tak było. Za to czasami wiedziała dokładnie, o co mu chodzi, nawet jeśli nic nie mówił.

ROZDZIAŁ 8

Po maju przyszedł czerwiec. Mitch wciąż był taki zajęty, że często nawet nie pamiętał, jaki był dzień. Dostał kilka zleceń na większe projekty krajobrazowe, a ponieważ pogoda sprzyjała, całe dnie spędzał poza domem. Podpisał też stałą umowę z firmą Murphy'ego na dostarczanie drzew i krzewów do nowo budowanych osiedli. Był taki przemęczony, że czasami, kiedy wychodził spod prysznic, musiał się zastanowić, czy właśnie wstał, czy szedł do łóżka.

Tym, co pomogło mu przetrwać ten ciężki czas, były noce - gorące niezapomniane noce z Marią. Bywały także inne noce, kiedy wracał do domu później, niżby sobie tego życzył. W mieszkaniu Marii nie paliły się już wtedy światła, a jego ogarniała czarna rozpacz.

Mimo iż Maria tak często go odwiedzała, Mitch wciąż nie potrafił poradzić sobie z sytuacją, w jakiej się znalazł. Maria stała się niemal wyłączną panią jego myśli. Poza tym zaczął robić dziwne rzeczy, których nigdy dotąd nie robił. Któregoś wieczoru, na przykład, kiedy wracał od klienta, zatrzymał się przy drodze, żeby w świetle reflektora-

rów swojej świeżo naprawionej ciężarówce narwać jej bukiet dzikich róż.

Czasami próbował sam siebie przekonać, że doskonale nad wszystkim panuje, ale na ogół czuł się tak, jakby porwało go tornado. Wmawiał sobie, że w ich tymczasowym związku to poczucie chaosu jest czymś normalnym, ale tak naprawdę wcale nie uważał ich związku za tymczasowy. Nie traktował go też jak umowy. Oczywiście starał się spychać te niewygodne myśli w głąb podświadomości, ale nie zawsze mu się to udawało.

Odpoczynek przyszedł dopiero wraz z deszczem, który automatycznie wykluczył wszelkie prace na dworze. Także i w centrum ruch trochę zmalął i nareszcie wszyscy mogli złapać oddech.

Rozpadało się dokładnie w tym samym tygodniu, w którym ojciec Mitcha zamierzał zabrać wszystkie wnuki w góry, na ryby. Jednak żaden deszcz nie zdołał powstrzymać Patricka Munroe, kiedy się już na coś zdecydował. Urządzał takie wyprawy co najmniej dwa razy do roku, a jego wnuki to uwielbiały. Kryterium było tylko jedno - dzieci musiały być na tyle duże, żeby potrafiły same wytrzeć sobie pupę albo - jeżeli jeszcze nie potrafiły - musiał jechać z nimi ktoś ze starszego rodzeństwa, ewentualnie ojciec. Bo mam na takie wyprawy się nie zabierało.

W tym roku papa Munroe wystosował zaproszenie również do najnowszych członków rodziny, a Enrico i Roberto zareagowali z takim entuzjazmem, jakby zaproponował im co najmniej podróż w kosmos.

Zasypali Marię gradem pytań, niemal doprowadzając ją do szału, a spakowali się już cztery dni przed wyjazdem. Widząc zdenerwowanie Marii, Mitch postanowił wkroczyć do akcji. Chętnie odpowiadał na wszystkie pytania chłopców, zabrał ich też do sklepu sportowego, gdzie kupił im wędki, a także odszukał na stryszku swój stary namiot i dwa śpiwory. W ostatniej chwili okazało się, że trzeba dokupić dodatkowy sprzęt, bo ojciec postanowił zaprosić również dziadka Rodrigueza. Kiedy Mitch kazał chłopcom przynieść plecaki do pokoju dla personelu, żeby sprawdzić, czy zabrali wszystko, co potrzeba, dziadek Rodriguez, z błyskiem w oku, zamachał rolką papieru toaletowego. Maria, zdesperowana, chwyciła się za głowę i wybiegła z pokoju, a Mitch z sympatią pomyślał, że dziadek to cholernie zabawny facet.

Murphy i Marco także mieli jechać, podobnie jak drugi zięć, co dosyć dziwiło Mitcha. Już wcześniej brał udział w tych wyprawach i skoro miał cokolwiek do powiedzenia, wolał się z tego wykreścić. Te ich wędkarskie wycieczki przypominały mu obóz źle wychowanych małą, z których najgorszą był jego ojciec. Ale dzieci kochały to i jak dotąd nikt nikogo nie podpalił i nie wrzucił do studni. Nawet maluchy z otwartymi ustami słuchały opowieści o duchach i uczyły się rozpoznawać różne odmiany pstrągów.

Mitch dużo sobie obiecywał po tym, że z chwilą wyjazdu Rodriguearów Maria zostanie w domu sama. Niestety, w piątek po południu okazało się, że może się pożegnać z wszelkimi planami na kolacyjki we dwoje oraz upojne

noce. Wychował się w domu pełnym kobiet i nauczył się rozpoznawać symptomy, choćby po podkrążonych oczach i widocznym rozdrażnieniu. Poza tym spędził już tyle czasu w pobliżu Marii, że zdążył się zorientować w jej cyklu. Był trochę zawiedziony, bo skoro pogoda zmusiła wszystkich do przebywania w domu, z radością wyglądał weekendu. Ale w końcu to jeszcze nie koniec świata.

Grupa wędkarzy wyruszyła o trzeciej po południu, a wkrótce po ich wyjeździe znikła też Maria. Było po piątej, kiedy Mitch natknął się na nią w pokoju dla personelu. Siedziała z podkulonymi kolanami, z twarzą ukrytą w dłoniach, i kołysała się w sposób świadczący o tym, że bardzo źle się czuje. Mitch postąpił chwilę z dłonią na klamce, zastanawiając się, co robić, a potem odezwał się:

- Mario!

Podniosła głowę i spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

- Idź na górę i połóż się do łóżka - powiedział łagodnie. - W sklepie nie ma aż takiego ruchu.

Maria uśmiechnęła się blado, ale nie ruszyła się z miejsca. Mitch patrzył na nią przez chwilę, a potem zamknął drzwi i odszedł. Biorąc z recepcji kluczyki do furgonetki, powiedział Doris, że wyjeżdża. Był dość dobrze zorientowany w fizjologii kobiet. Nasłuchał się o tym, kiedy dorastał. Jego siostry nie były specjalnie wstydliwe i nie robiły z tych spraw żadnej tajemnicy.

Kiedy wrócił z apteki, nie zastał Marii na dole. Wobec tego ruszył na górę, przeskakując naraz po dwa stopnie.

Nie pukał, żeby jej nie budzić, na wypadek gdyby zasnęła, tylko uchylił drzwi do jej mieszkania i zaczął nasłuchiwać. W środku panowała cisza. Postał tak przez chwilę, bijąc się z myślami, a w końcu podjął decyzję i wszedł.

Znalazł ją skuloną na sofie w saloniku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wiedział już wcześniej, że chłopcy dostali jedną sypialnię, a dziadek drugą, co oznaczało, że Maria musiała sypiać na sofie. Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem, ale bardzo cierpiał nad tym, że Maria nie miała nawet własnego łóżka. Stojąc w saloniku, Mitch doznawał dziwnego uczucia, że jest tu kompletnie nie na miejscu. Jak dotąd praktycznie nie przekroczył progu zajmowanego przez nią mieszkania, poza kilkoma razami, kiedy przyniósł jej zakupy, ale zostawiał je niemal w drzwiach. Była to jego świadoma decyzja, żeby nie naruszać jej terytorium. Nie chciał, żeby Maria myślała, że skoro dał jej mieszkanie, ma prawo nachodzić ją bez zaproszenia.

Mieszkanie zmieniło się, choć meble, zasłony i kolory ścian pozostały te same. Teraz wszędzie było pełno kwiatów, na stolikach leżały różne ozdoby oraz barwne, meksykańskie serwetki. Wszędzie znać było rękę Marii. Mitch musiał przyznać, że udało jej się zmienić to bezosobowe mieszkanko w prawdziwy dom, który nasyciła swoim ciepłem i wyczuciem koloru. Z jakiegoś powodu poczuł się nagle zmieszany.

Przeszedł cicho przez pokój, ukląkł przy sofie i delikatnie pogłaskał Marię po głowie.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Mitch zaczął jej masować skroń.

- Marnie się czujesz, co? - zapytał cicho.

Skinęła głową, Mitch wstał, a potem nachylił się i wziął ją w ramiona. Jedno mógł przynajmniej dla niej zrobić - położyć ją do prawdziwego łóżka. Zaczęła protestować, ale on delikatnie ją uciszył.

Zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz na piersi, zwijając się w kłębek.

Mitch uniósł ją ostrożnie i zaniósł do swojego mieszkania. Wszedł do sypialni, odrzucił kołdrę i położył Marię na łóżku. Nakrył ją, delikatnie odgarnął jej włosy z czoła, a potem poszedł do łazienki.

Maria wciąż leżała z zamkniętymi oczyma. W łazience wyjął z kieszeni opakowanie tabletek, wziął dwie i nalał wody do szklanki. Wrócił do Marii, usiadł obok niej na łóżku i powiedział:

- Masz, zażyj to. Maria otworzyła oczy.

- Co to jest?-zapytała.

Gdyby powiedział jej, na co są te tabletki, byłaby przerażona. Może i była odważna - w łóżku i w życiu

- ale była również bardzo skromna. A Mitch chciał, by zachowała tę cechę.

- Zażyj je - powiedział z uśmiechem. - Zaufaj mi. Zaraz poczujesz się lepiej.

Maria uniosła się, wzięła do ust tabletki i popiła wodą, a potem oddała Mitchowi szklankę i znów zwinęła się w kłębek.

- Przepraszam - wyszeptała, zamykając oczy. Naciągnął jej kołdrę pod brodę, a potem nachylił się i musnął ustami jej policzek.

- Nie przejmuj się - powiedział. Odgarnął jej włosy i wyprostował się, czując dziwny ucisk w piersi. Po chwili Maria spała jak suseł, a on stał, patrzył na nią i po prostu nie potrafił wyjść. Nawet kiedy wreszcie zmusił się do tego, ten dziwny ucisk wcale nie minął.

Poszedł do kuchni, wstawił szklanę do zlewu, a potem stanął przy oknie. Patrzył na deszcz, na ogród i myślał. Teraz wiedział już na pewno, że w jego związku z Marią nie chodziło o seks. Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że to coś znacznie bardziej poważnego.

Było jeszcze coś. Przez cały czas odnosił wrażenie, jakby coś mu umykało - zupełnie jakby próbował utrzymać w ręku garść drobniutkiego piasku. I bez względu na to, jak mocno zaciskał pięść, piasek wciąż sypał mu się między palcami. Czemu, na Boga, było to dla niego takie ważne, żeby mieć Marię przy sobie także i rankiem? Skąd ten impuls, żeby mieć ją w swoim łóżku? Może brało się to stąd, że przeznaczony im czas - jak piasek - wolno przesączał mu się między palcami.

Tego rodzaju rozmyślania zawsze sprowadzały Mitcha z wytyczonej drogi. Sięgnął po marynarę i wyjął z kieszeni kluczyki. Maria będzie spała przez następne kilka godzin, a przy takim deszczu nie będą go potrzebowali w sklepie. Wobec tego zostawało mu trochę czasu, żeby zrobić zakupy i przygotować kolację. Jeszcze nigdy nie

gotował dla Marii i uznał, że już najwyższa pora. Poza tym, będzie miał przynajmniej jakieś zajęcie. Maria pojawiła się po siódmej - w pogniecionym ubraniu, potargana, z odciskiem dłoni na policzku. I choć wciąż wyglądała na zmęczoną, wyraz udręki zniknął z jej oczu. Popatrzyła na Mitcha, który właśnie obierał jarzyny, a potem zaczęła sobie rozcierać ramiona.

Mitch zerknął na nią, nie przerywając swojego zajęcia.

- Wreszcie się obudziłaś.

- Uhm - mruknęła cicho.

Znowu podniósł na nią wzrok. Na jej twarzy malowało się zażenowanie, jakby nie mogła zrozumieć, w jaki sposób się tu znalazła. Mitch westchnął i znów zajął się przygotowywaniem posiłku.

- Kolacja będzie gotowa nie wcześniej niż za pół godziny. Gdybyś chciała wziąć prysznic, zostawiłem ci czyste ręczniki w łazience.

Uśmiechnęła się blado i mocniej objęła się rękami.

- Nie musisz mi robić kolacji, Mitchell - powiedziała. - Mam... jak to się mówi? Mam w domu jakieś resztki.

Mitch bez słowa wrzucił posiekane jarzyny na gotującą wodę. W pierwszej chwili ogarnął go gniew, ale zaraz potem doznał olśnienia. Nic dziwnego, że Maria czuła się tak niepewnie. Do tej pory ilekroć przekraczała jego próg, zawsze kończyło się to w łóżku. Nigdy dotąd niczym jej nie poczęstował, nigdy nie zaprosił na telewizję, a nawet nie zaproponował jej filiżanki kawy. Nigdy też jej nigdzie nie zaprosił, nie licząc śniadań „U Joego”. Nagłe poczuł

wstręt do samego siebie. Maria miała wszelkie prawo czuć się niepewnie.

Na dodatek nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Z wystudiowaną obojętnością upił łyk czerwonego wina, po czym odstawił kieliszek.

- Nie będziesz zjadała żadnych resztek, Mario. Robię ci porządną kolację.

Wykonała nerwowy gest w stronę drzwi.

- Najpierw muszę wrócić do siebie - powiedziała z zażenowaniem w głosie. Mitch skinął głową i zaczął siekać pietruszkę z takim zapalem, jakby chciał pokroić przy tym deskę. Kiedy drzwi zamknęły się za Marią, cisnął nóż

i palnął się w czoło. Boże, jak mógł być takim skończonym durniem!

Przed jej powrotem nakrył do stołu w małej wnęce z widokiem na ogród. Deszcz przestał wreszcie padać, więc mógł otworzyć okno. Do mieszkania napłynął zapach wilgotnej ziemi i bzu. Gdy usłyszał, jak Maria wchodzi do kuchni, ustawił dwa kieliszki wina i dopiero wtedy spojrzał w stronę drzwi.

Maria wykapała się i włożyła luźną, długą tunikę z wielobarwnej tkaniny w indiańskie wzory. Z włosami upiętymi w gruby węzeł wyglądała jak królowa.

Jednak w jej oczach wciąż malowała się niepewność, jakby nadal nie wiedziała, czego po niej oczekiwano. Mitch znowu poczuł się jak dureń. Pomyślał, że musi w jakiś sposób zmniejszyć dystans. Podszedł do Marii i pocałował ją w policzek.

Chwyciła go za ręce, jakby potrzebowała oparcia. Mitch zaklął pod nosem. Czuł, że sam siebie nienawidzi. Objął Marię i zanurzył twarz w jej wilgotnych włosach.

- Lepiej się czujesz?

Pokiwała głową i objęła go, a on odetchnął z ulgą. Czuł, że musi działać dalej, jeżeli chce, żeby ten wyraz niepewności zniknął z jej twarzy.

- Jesteś głodna?

Maria znów skinęła głową.

- Ufasz mi? - zapytał, siląc się na uśmiech. W oczach Marii błysnęły iskierki.

- Tak.

- A tak na marginesie, musisz wiedzieć, że od dawna nie bawiłem się w kucharza. Mam nadzieję, że cię nie otruję.

- Przecież to wspaniale pachnie.

- Nie daj się nabrać, dziecinko - ostrzegł ją Mitch. - To jeszcze o niczym nie świadczy.

Maria nareszcie się roześmiała.

- Zaryzykuję. Pokażę ci, jaka jestem odważna.

Kolacja przebiegła w miłej atmosferze. W trakcie rozmowy Mitchowi udało się odkryć niejedną przyczynę rozterek Marii. On sam również czuł się niezbyt pewnie, kiedy tak siedział naprzeciw niej w swojej kuchni i jadł kolację, którą dla niej przygotował, jakby to było coś najzupełniej zwyczajnego. Ale dla niego nie było to zwyczajne. Prawdę mówiąc, żadna kobieta nie siedziała dotąd przy tym stole i nie

kręciła się po jego kuchni. Przed Marią nie przyprowadził tu żadnej kobiety. Uważał, że nie wypada. Zabierał je gdzieś indziej. Nigdy tutaj. Maria była pierwsza.

Rozmowa o Meksyku otworzyła przed nimi pewien obszar, po którym mogli się bezpiecznie poruszać. Mitch dużo podróżował, był czytany, a także niezłe orientował się w polityce. Choć nigdy nie dotarł do tej prowincji, z której pochodziła Maria, potrafił wiele zrozumieć. Maria zaskoczyła go swoją rozległą znajomością historii. W trakcie rozmowy z nią uświadomił sobie, że choć jego żona nie pochodziła z uprzywilejowanej sfery, potrafiła zdobyć wykształcenie. I to całkiem przyzwoite.

Robiąc zakupy, wstąpił do wypożyczalni po kilka filmów. Po kolacji chciał obejrzeć je razem z Marią. Gdy oświadczył, że pozmywa na drugi dzień, Maria nawet nie chciała o tym słyszeć. Wobec tego razem sprzątnęli ze stołu, a potem, kiedy Maria zmywała, Mitch poszedł za nią do kuchni, żeby jej towarzyszyć. Było to dla niego bardzo miłe i nie znane dotąd doświadczenie - jakby naprawdę byli mężem i żoną. Jeżeli dzięki temu Maria miała poczuć się pewniej, jemu to nie przeszkadzało. Gotów był zrobić wszystko, by znów stała się tą dumną, odważną Marią, jaka podobała mu się najbardziej. W połowie pierwszego filmu Maria znowu poczuła się gorzej. Leżała na sofie, obok Mitcha, owinięta w cienki koc. W którymś momencie Mitch przypomniał sobie, że przy takich okazjach jego siostry często narzekały na bóle w stopach. Położył sobie nogi Marii na kolanach i zaczął

jej masować stopy. Wkrótce powieki zaczęły jej ciążyć i widać było, że ostatek sił stara się nie zasnąć. Sięgnął po pilota, wyłączył telewizor i lekko uściśnął jej stopę.

- Dajmy sobie spokój i chodźmy do łóżka.

Jego słowa podziały na Marię jak wiadro zimnej wody. Poderwała się i usiadła, podkulając nogi. Nie patrząc na Mitcha, zaczęła składać koc. Była wyraźnie speszona.

- Nie mogę... - Urwała, machając nerwowo rękami. - Nie mogę dzisiaj spać z tobą, Mitchell. -

Podniosła na niego oczy, pełne niepokoju. - i nie dlatego, że nie chcę...

- Wiem, kochanie - z uśmiechem przerwał jej Mitch. - Nie szkodzi. Nie chcę, żebyś spała sama w pustym mieszkaniu. Może chcesz coś zabrać od siebie?

Maria wyraźnie odetchnęła.

- Tak.

- To idź i przynieś swoje rzeczy - powiedział, całując ją - a ja pozamykam okna, bo znowu zaczęło padać.

Kiedy Maria wróciła, ciągle jeszcze był w kuchni, ostentacyjnie uprzątając ostatnie garnki i patelnie. Słyszając ją, zgasił światło i wyszedł na korytarz. Maria była onieśmielona jak pensjonarka, ale on udał, że tego nie widzi.

Zamknął drzwi na zasuwkę, czego nigdy dotąd nie robił. Nie chciał, żeby ktoś nieproszony złożył im wizytę tej nocy. Dobrze pamiętał, że jego siostry miały zwyczaj zjawiać się bez uprzedzenia, i to o najróżniejszych porach. A potem objął Marię i poprowadził do swojej sypialni.

Zamknął się w łazience i długo brał prysznic, a na

koniec jeszcze się ogolił, żeby dać jej trochę czasu na osobności.

Kiedy wyszedł, Maria leżała już w łóżku. Natychmiast zauważył, że rozpuściła włosy. Zamknął drzwi do sypialni i zgasił światło.

Kładąc się do łóżka obok niej, znowu poczuł się jak najprawdziwszy mąż. Objął ją i przyciągnął do siebie, a ona lekko się opierała, jakby nie była pewna, czego od niej oczekuje. Żeby rozwiać jej wątpliwości, pocałował ją i wyszeptał:

- Nie bój się. Chcę się tylko do ciebie przytulić.

Maria westchnęła, po czym nagle odwróciła się i z całych sił go objęła. Mitch poczuł się nagle bardzo szczęśliwy. Cekał na to przez cały dzień - żeby móc ją przytulić, żeby mieć ją przy sobie. I wcale mu to nie przeszkadzało, że nie może już posunąć się dalej. Może właśnie czegoś takiego zawsze mu brakowało.

Maria miała na sobie obszerny podkoszulek i majteczki. Mitch pogłaskał ją po plecach. Uwielbiał dotyk jej gładkiej skóry.

- Mitchell?

- Hm? - mruknął, masując jej krzyże.

- Czy to nie jest dla ciebie nieprzyjemne?

- Nie - wyszeptał z ustami przy jej włosach. - Nie. Zapadła cisza. Po chwili Maria znowu się odezwała:

- Myślę, że nie mówisz prawdy - wyszeptała głosem nabrzmiałym od łez.

Mitcha nagle olśniło. Zrozumiał, czemu była taka zmie-

szana. Tulił ją tak mocno, że musiała czuć, jak straszliwie był podniecony. I czuła się winna, jakby odmawiała mu jego praw. Zamknął oczy. Poczł dziwny ucisk w piersi. Do czego doprowadził? Oto Maria leżała u jego boku i myślała, że robi coś złego. Wydawało jej się, że w jego oczach przedstawia wartość wyłącznie jako kochanka. Nic dziwnego, że co rano znikaa.

Kiedy to sobie uświadomił, zrobiło mu się słabo. Jak mógł być takim zaślepionym egoistą? Teraz mógł tylko próbować przekonać Marię, że jest inaczej, i mieć nadzieję, iż mu uwierzy.

Mocno ją przytulił i zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

- To, że jestem podniecony, wcale nie znaczy, iż muszę się z tobą kochać. - Poglaskał ją po plecach. - Wystarczy mi, że mogę cię tak tulić. To też sprawia mi przyjemność. - Musnął ustami jej czoło. - Lubię czuć cię przy sobie.

Maria chwyciła go za rękę i zaczerpnęła tchu.

- Ja też to lubię.

Przytłoczony poczuciem winy, nie przestawał masować jej krzyża, próbując przez dotyk przekazać Marii swoje uczucia. Pamiętał, jak wiele lat temu żona nazwała go nieczułym kłosem. Zdegustowany zacisnął zęby. Niestety, miała wtedy rację.

Tej nocy Mitch długo nie mógł zasnąć, za to obudził się już o czwartej rano, kiedy Maria próbowała uwolnić się z jego uścisku. Gdy ścisnął ją mocniej, żeby ją zatrzymać,

wyszeptała, że musi iść do łazienki. Puścił ją, choć niechętnie, ale zapalił lampkę i czekał, aż wróci. Bał się, że mogłaby się wymknąć ukradkiem. Nie chciał, żeby poszła do siebie. Nie chciał też, by jej się wydawało, że w jakiś sposób go zawiodła. Nie podobało mu się to, że miała o sobie takie niskie mniemanie, a do siebie żywił pretensję, iż jej nie docenił.

Przez cały następny tydzień próbował jej to wynagrodzić, ale widać było, że Maria nie czuje się dobrze w jego mieszkaniu. Widział to po jej zachowaniu i słyszał w jej głosie. Rozluźniała się dopiero wtedy, gdy schodzili na dół, do sklepu. Wtedy znowu stawała się tą samą Marią, która dawała mu się nieźle we znaki.

Widocznie w tym otoczeniu czuła się pewnie i знаła swoje miejsce. A na górze było inaczej. Tylko w sypialni potrafiła się odnaleźć. Tam nie miała żadnych zahamowań. Mitch nie mógł tego zrozumieć i bardzo się tym wszystkim trapił. Stał się drażliwy i nerwowy, czego także nie mógł zrozumieć. Miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg.

W tej sytuacji powrót wędkarzy nawet go ucieszył. Zdawać się mogło, że wszystko powróciło do normy. Tylko że nic już nie było normalne. Bo czasami, kiedy leżał sam, w środku nocy, dopadał go atak paniki. Serce tłukło mu się wtedy w piersi jak oszalałe i długo nie mógł się uspokoić.

W końcu było już tak źle, że sam nie mógł siebie znieść. Jednego dnia potrafił być zły jak osa, a drugiego bezradny i zalękniony jak dziecko. Wszystko, co robił, zdawało się

pozbawione sensu. Jedynie noce z Marią miały jeszcze jakiś sens i tylko one trzymały go przy życiu. Gdy nadchodził ranek, a Marii przy nim nie było, cały cykl zaczynał się od nowa.

Ileż to razy, zdjęty strachem, potrafił wstać o trzeciej nad ranem i brać się za przenoszenie ciężkich worków. W końcu sprawy zaszły tak daleko, że zaczął unikać Marii i spędzał całe noce w biurze, nad zleconymi projektami, próbując walczyć z paniką. Nie minęło wiele czasu, a Maria zaczęła się czegoś domyślać i blask znikł z jej oczu.

Mitcha trapiły wyrzuty sumienia. Świadomość, że znowu ją krzywdzi, spędzała mu sen z powiek. Zaczął się uważać za skończonego drania. Widział smutek w jej oczach i coraz bardziej sam siebie nienawidził, a zarazem nie potrafił zrobić niczego, żeby to zmienić.

Ten stan rzeczy, który ciążył im obojgu, nie mógł trwać wiecznie. Któregoś wieczoru, kiedy przesadzał krzewy w ogrodzie i właśnie trzymał w rękach dwie doniczki, na ścieżce pojawiła się Maria. Stała przed nim, krzyżując ręce na piersi, a na jej twarzy malowało się napięcie. Unikając jego wzroku, zaczęła mówić:

- Dzwoniłam do pana Petersona, żeby się dowiedzieć o przepisy regulujące czas trwania małżeństwa. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

Mitch zachnął się, odstawił sadzonki i zdjął rękawice. Z miejsca pojął, co chciała mu przekazać. Pan Peterson był prawnikiem, specjalistą od spraw imigracyjnych. Widocz-

nie Maria chciała zmienić warunki umowy. Już od dawna czuł, że to musi przyjść. Poczł bolesny skurcz żołądka.

- No cóż, w porządku.

- Powiem ci, jak tylko się czegoś dowiem.

Mitch ujął się pod boki i dopiero wtedy odważył się na nią spojrzeć.

- Zrobisz, jak zechcesz - powiedział głucho.

Maria wytrzymała przez chwilę jego wzrok, a potem odwróciła się i odeszła.

Mitch patrzył za nią ze ściśniętym sercem. Wiele razy w życiu postąpił głupio, ale nigdy tak idiotycznie jak w tej chwili. Jak mógł tak wszystko popsuć? Co go opętało?

- Mitchell.

Uniósł głowę. Maria stała przy furtce, na tle fioletowo-czerwonego nieba. Patrzyła na niego, ale w półmroku nie mógł dostrzec jej rysów.

- Przepraszam, Mitchell - powiedziała bardzo cicho. - Tak mi przykro.

Mitch zacisnął zęby i potrząsnął głową. Ból przeszywający mu pierś stał się wręcz nieznośny.

- Mnie też jest przykro - rzekł z wysiłkiem.

Nie wiadomo, czy Maria usłyszała jego słowa. Odwróciła się i odeszła, a Mitchell stał jak wrośnięty w ziemię, pełen nienawiści do samego siebie. Ale nie to było najgorsze. Najstraszniejsza była świadomość, że nagle zgasło światło jego świata, a on będzie musiał odtąd żyć w ciemnościach.

Następne dni były straszne. Nic nie było w stanie zała-

godzić poczucia bezpowrotnej straty - ani najcięższa fizyczna praca, ani żmudna papierkowa robota, ani długie biegi w środku nocy. A jeśli nawet udało mu się w końcu zasnąć, powracały męczące sny, tyle że całkiem inne. W snach tych doznawał uczucia tak beznadziejnej pustki i samotności, jakby był ostatnim człowiekiem na ziemi.

Po kilku takich dniach Mitch był tak wyczerpany, że z trudem funkcjonował. Znowu lunął deszcz - tym razem była to regularna ulewa, więc musiał zostawić pracę w ogrodach. Wrócił do domu, wziął prysznic i runął jak kłoda do łóżka, pewny, że tej nocy nie będzie miał żadnych snów.

Tymczasem okazało się, że się pomylił. Tym razem miał inny sen. Sen tak realistyczny, jakby naprawdę trzymał Marię w ramionach. Jej pocałunki były tak prawdziwe, że niemal czuł ich smak i wszystkimi zmysłami chłonał zapach gardenii. Jego ciało reagowało na jej bliskość. Zatracił się w Marii, w jej pieszczotach i pocałunkach.

Nagle wszystko znikło - ulotnił się gdzieś zapach, dotyk, kolor - ogarnęło go uczucie wielkiej pustki. Zanim zdążył zawołać, otoczyło go wilgotne ciepło, a na biodrach poczuł słodki ciężar. Jęknął i wygiął się w łuk, bliski spełnienia.

Obudził się z bijącym sercem i wtedy uświadomił sobie, że to nie był sen. To była prawda - i Maria także była prawdziwa - a wtedy doznał bezmiernej ulgi, która do reszty go wchłonęła. Chwycił Marię i wczepił się w nią, jak w ostatnią deskę ratunku.

Pragnąc utwierdzić się w przekonaniu, że to prawda, chwycił ją i przyciągnął do siebie, po czym zmiążdżył jej usta pocałunkiem. Maria wyszeptwała jego imię, a każda jej pieszczota doprowadzała go do szaleństwa.

W końcu osiągnął szczyt, ale zanim zdążył oprzytomnieć, Maria znikła, a on został sam w ciemnościach, z uczuciem tak dotkliwej pustki, że aż się przeraził.

Przedtem było źle, ale potem było jeszcze gorzej. Mitch nigdy w życiu nie był tak przerażony i taki bezradny. Swoim odejściem Maria obaliła ostatni obronny mur, który wzniósł wokół siebie, a on został bezbronny i nagi. Nie podobało mu się to uczucie. Ani trochę. Nie miał przecież dokąd pójść. Później także nie było lepiej. Wszędzie wyczuwał obecność Marii. To uczucie pustki było samo w sobie straszne, ale jeszcze straszniejsza była świadomość, jakie środki przedsięwzięła, żeby się od niego oddalić. A przecież nikt tak dobrze jak on nie wiedział, w jakiej pułapce znalazła się Maria. Z ludzi zaufanych miała tylko jego rodzinę i poza tym nikogo. Jeżeli chciała, by jej rodzina została w Kanadzie, musiała nadal prowadzić tę grę. Bo tylko to dawało im szansę na lepszą przyszłość. Mitch uznał, że tak dłużej żyć nie sposób, a wiedząc, że tylko on potrafi uwolnić Marię od presji, postanowił wynieść się na kilka dni. Jedyne wówczas oboje będą mogli wziąć głębszy oddech. Poza tym on sam potrzebował trochę czasu, żeby pozbierać myśli.

Mając to na uwadze, Mitch spędził cały ostatni czwartek czerwca na przygotowywaniu harmonogramu zadań dla swoich pracowników, tak by pod jego nieobecność wszystko szło jak w zegarku. Załatwił już wszystko prócz jednej sprawy. Pamiętał, że powinien zapłacić dostawcy za kilka ciężarówek torfu, dostarczonych do ogrodów na jednym z nowych osiedli, ale nigdzie nie mógł znaleźć faktury.

Czując narastający ból głowy, rozsiadł się wygodniej na krześle i zaczął masować sobie skronie, bolejąc nad stanem, do jakiego doprowadziła go ta huśtawka emocjonalna.

W końcu z ciężkim westchnieniem podniósł się i poszedł w stronę schodów. Jordan pewnie jest gdzieś na dole, więc trzeba ją zapytać, czy nie załatwiła już tej przekłetej faktury.

Nie było jej przy kasach ani w pokoju dla personelu. Może wobec tego była z Doris w szklarni z roślinami tropikalnymi. Już miał tam wejść, gdy nagle zauważył Marię i stanął jak wryty.

Stała przy stoisku z kwiatami i rozmawiała z Wandą David, która kółsała przed sobą wózek. Wanda była jedną z jego stałych klientek i kiedy Mitch widział ją po raz ostatni, była w bardzo zaawansowanej ciąży.

Maria nachylała się nad wózkiem, a na jej twarzy malował się głęboki zachwyt. Mitchowi serce ścisnęło się w piersi.

- Jaki śliczny! - mówiła Maria, zaglądając do wózka. -1 ma już takie piękne włoski!

Wanda nachyliła się i wyjęła małe zawiniątko.

- Chcesz go potrzymać? - Z uśmiechem podała Marii dziecko. - Nie będzie czuł, że jest uwielbiany jak należy, póki go nie potrzywasz. - Odsunęła wózek na bok. - A ja pójdę jeszcze obejrzeć begonie, bo moim strasznie zaszkodziły te ostatnie ulewy.

Maria z zachwytem popatrzyła na dziecko, które trzymała w ramionach.

- Mój maleńki - szepnęła, muskając palcem różowy policzek niemowlęcia - jesteś taki prześliczny.

Chłopczyk zaczął się wiercić i robić miny. Maria roześmiała się cicho, zamknęła oczy i zaczęła kołysać go w ramionach, podtrzymując dłonią jego główkę. Na jej twarzy malowała się bolesna tęsknota. Nawet ślepiec mógłby zauważyć, że gorąco pragnęła własnego dziecka.

Patrząc na nią, Mitch załamał się do reszty. Nagle zobaczył swoje życie takie, jakie było naprawdę, i doznał porażającego uczucia klęski.

Mgła przysłoniła mu oczy. Odwrócił się i odszedł, czując dławiący ból w piersi. Boże! Jak mógł być takim głupcem!

Kiedy skręcił za róg, omal nie rozdeptał Jordan. Chwyciła go za rękę i przerażeniem zapytała:

- Mitch, co się stało?

Próbował coś powiedzieć, ale gardło miał zbyt ściśnięte, więc tylko odwrócił wzrok i potrząsnął bezradnie głową.

Na twarzy Jordan odmalowało się współczucie. Obję-

205

ła go za szyję i patrząc na niego ze zrozumieniem, wyszeptała:

- Och, Mitchell.

Mitch lekko uściskał jej rękę.

- Wyjeżdżam na kilka dni - powiedział jakimś głuchym, obcym głosem. - Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń na komórkę.

Odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył na górę. Czuł, że jest już tylko żywym trupem. W swojej bezmiernej głupocie popełnił straszliwy błąd, za który teraz będzie płacił do końca życia.

ROZDZIAŁ 9

W pierwszym odruchu Mitch zamierzał pojechać na farmę, ale uprzytomnił sobie, że urzęduje tam dozorca, a on nie miał ochoty na żadne spotkania. Potrzebował trochę oddechu, ale przede wszystkim chciał być sam. Po namyśle postanowił wyruszyć w przeciwnym kierunku.

Przez pierwsze godziny przed oczyma miał tylko Marię - Marię z dzieckiem na ręku, Marię z twarzą rozjaśnioną zachwytem, Marię z oczami pełnymi tęsknoty. Jechał z boleśnie ściśniętym sercem, świadom swojej nikczemności i bezdennej głupoty.

Potem dopadły go wyrzuty sumienia. Przypomnił sobie każdą minutę wspólnie spędzonego weekendu, a przede wszystkim to, jak źle Maria czuła się w jego kuchni i przy jego stole. Zupełnie jakby była nie na swoim miejscu. Nie był na tyle przyzwoity, żeby spojrzeć na sytuację z punktu widzenia Marii. Czy w ogóle zastanawiał się nad jej rolą? Nad tym, co czuła? Zżerało go pożądanie i ono przesłoniło inne aspekty ich związku.

Czy choć przez chwilę pomyślał o tym, w jakim świetle

stawiało to Marię? W oczach świata była jego żoną, ale z powodu ich umowy wcale się tak nie czuła. Czy choć raz przyszło mu do głowy, jak bardzo musiał ją ranić swoją gruboskórnością? Nigdy nie brał pod uwagę tego, że ona także ma swoją godność. Nigdy!

Owszem, zaoferował jej azyl. I to byłoby w porządku, gdyby potem trzymał ręce przy sobie. On jednak nie był w stanie zapanować nad pożądaniem i to on pogwałcił wytyczone granice. A Maria musiała za to zapłacić.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jaki będzie to miało wpływ na Marię. Próbował operować zdrowym rozsądkiem oraz pojęciami takimi jak „dystans” i „neutralność”. Założył sobie z góry, że zaangażowanie uczuciowe jest czymś niepożądanym, a nawet niedopuszczalnym. Był tak zajęty ochroną samego siebie, że nawet nie przyszło mu do głowy, jak bardzo krzywdzi Marię.

Jechał przez wiele godzin, uciekając przed ścigającymi go myślami. Nie chciał przekraczać granicy i skierował się na wschód. Wybierał puste boczne drogi, które w końcu zaprowadziły go na bezkresną równinę prerii. Te olbrzymie, rozległe przestrzenie zdawały się odzwierciedlać pustkę w jego duszy.

Bo Mitch zaczynał mieć wrażenie, że wewnątrz jest już martwy.

Dopiero po zmroku uświadomił sobie, że w stanie, w jakim się znajdował, może spowodować wypadek. Skrajnie wyczerpany zatrzymał się w jakimś miasteczku, w którym był jeden motel, jeden bar i mała stacja benzynowa.

Czując, że nie ma już sił jechać dalej, postanowił za-

trzymać się na noc. Choćby jechał nie wiadomo jak szybko i daleko, i tak nie uciekłby przed własnymi myślami. Nagromadzone w nim uczucia bólu i wstydu rozpaczliwie domagały się ujścia, a on znał tylko jeden sposób, żeby się z tym uporać - chociaż na kilka godzin. Dlatego najpierw zatankował samochód, potem wynajął pokój w motelu, a na koniec udał się do baru. Koło północy nie czuł już nic. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, były zmagania z kluczem do motelowego pokoju, a potem po prostu urwał mu się film.

Kiedy się ocknął następnego ranka, długo nie mógł dojść do siebie. Nie potrafił nawet powiedzieć, gdzie się znajduje. Udało mu się to dopiero, gdy wsiadł do samochodu i popatrzył na mapę. Jednego mógł być pewny - nigdy dotąd nie miał tak straszliwego kaca. Piekielny ból rozsadzał mu czaszkę, oczy niemal wychodziły z orbit, a usta miał wyschnięte na pieprz. Ponieważ nie mógł patrzeć pod słońce, skierował się na północ.

Przeżywał takie fizyczne męki, że nie był w stanie myśleć o niczym, poza jednym - żeby trzymać nogę na gazie i omijać wyboje. Wreszcie natrafił na nie używany wjazd na pole kukurydzy, zaparkował samochód, otworzył okna i przespał kilka godzin. Kiedy się obudził, znalazł kolejne miasteczko i postanowił coś zjeść. Wprawdzie jego żołądek buntował się na samą myśl o posiłku, ale po przekąsce Mitch wreszcie poczuł się nieco lepiej.

Gdy tylko minął ból głowy, powróciły dawne skrupuły i to straszliwe uczucie pustki, tyle że po stokroć silniejsze.

Chcąc nie chcąc, musiał wreszcie przyznać, że skrzywdził Marię. Nie było to jego zamiarem, niemniej jednak tak się stało. Poza tym wykorzystał ją, i choćby tylko za to powinien smażyć się w piekle.

Tej nocy, w kolejnym tandetnym hoteliku, w kolejnym bezimiennym miasteczku na prerii, objawiła mu się kolejna prawda: choć obwarował się grubym murem i przez całe życie próbował trzymać się na uboczu, zdało się to na nic. Mimo tyłu środków ostrożności był po uszy zakochany w Marii!

Nie potrafił nawet powiedzieć, kiedy to się stało. Może już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na lotnisku, gdy zatracił się w jej oczach... A nie było to przelotne uczucie, czasowe zauroczenie, ale miłość z rodzaju tych, co to potrafią człowieka odrodzić albo zniszczyć. Taka miłość nawet najtwardszego człowieka może rzucić na kolana.

Zrozumiał, że przez te wszystkie lata prowadził sam ze sobą grę. Nigdy się nikomu nie przyznał, jak destrukcyjny wpływ miał na niego rozpad pierwszego małżeństwa. Zamknął się w sobie i obawiał się zbliżyć do kobiety, która mogłaby mu zakłócić odzyskany z takim trudem spokój ducha.

Jego rodzina miała rację - stał się pracoholikiem i od-ludkiem. A wszystko dlatego, że bał się podjąć ryzyko. Skończyło się na tym, że wpadł we własne sidła. Może i miałyby jakieś szanse u Marii, gdyby nie to, że sam wszystko popsuł. Czy uda mu się to naprawić? Raczej nie.

Piątego dnia tej szaleńczej wyprawy Mitch nabrał pewności, że przejechał już wszystkie boczne drogi w trzech prowincjach. Czuł się jak karawan na kółkach. Wprawdzie oddalił się o tysiące kilometrów od domu, ale jeśli chodzi

o poznanie samego siebie, zrobił zaledwie kilka małych kroczków. I niestety, nie znalazł wyjścia z tego labiryntu, w którym się pogubił. Wnioski były zawsze takie same

- był draniem, wszystko popsuł, a wreszcie to najgorsze

- był nieprzytomnie zakochany we własnej żonie.

Kiedy zrozumiał, że nie potrafi dłużej tak żyć, podjął decyzję. Zawróci i pojedzie prosto do Marii, żeby błagać ją o przebaczenie.

Tej nocy zatrzymał się w kolejnym obskurnym motelu. Czuł się okropnie, a jeden rzut oka w popękane lustro upewnił go, że wygląda jeszcze gorzej, niż się czuje. Na-biegłe krwią oczy, zapadnięte policzki, pięciodniowy zarost - doprawdy żaloszny to był widok. Żeby się jakoś pozbierać, wziął gorący prysznic i nawet się ogolił, a potem wyciągnął się na łóżku i stanął oko w oko z kolejną prawdą - że jeśli Maria mu nie wybaczy, zostanie sam.

Serce ścisnęło mu się w piersi, zakrył rękami twarz

i głucho jęknął. Nie był pewny, czy potrafi tak żyć. To byłaby dla niego klęska, po której nie widziałby już przed sobą żadnego celu. Zresztą było mu wszystko jedno, bo i tak wiedział, że nigdy nie pozbiera się po tym ciosie.

Obudził się kilka godzin później, z bijącym sercem i dławiącym uciskiem w piersi. I znowu musiał pogodzić się z kolejnym faktem.

Tej nocy, kiedy Maria przyszła do niego w ciemności, gdy zaczęli się kochać, zanim się do końca obudził, robili to bez zabezpieczenia. Po raz pierwszy nic ich nie dzieliło. Nic.

Mitch zerwał się z łóżka i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. He to było dni po tym nieudanym weekendzie, kiedy Maria źle się czuła? Nagle w jego sercu obudził się cień nadziei.

Przypomniał sobie wniebowzięty wyraz twarzy Marii, gdy trzymała w ramionach dziecko klientki. Jakby się o coś modliła. Dobry Boże! Czyżby miała nadzieję, że zaszła w ciążę? Co to mogło oznaczać?

A może chciała mieć z nim dziecko? Wielki ciężar spadł mu z serca; poczuł wilgoć pod powiekami. Wielkie nieba!

Spojrzał na zegarek. Była druga nad ranem. Gdyby teraz wyruszył, mógłby za osiemnaście godzin być w domu. Lekceważąc głos rozsądku, zaczął wrzucać rzeczy do torby. Dobrze, że zapłacił z góry za hotel, i to gotówką. Zamierzał wyjechać - i to już, jak najprędzej!

Był w drodze od kilku godzin, kiedy do niego dotarło, że jeśli miał rację i Maria chciała mieć z nim dziecko, to musiało oznaczać, że planowała wyjazd. Bo na pewno nie zamierzała urodzić w Calgary. To było wykluczone. Maria nigdy by nie postawiła jego rodziny w takiej sytuacji. Gdyby zaszła w ciążę, na pewno by wyjechała.

Gnany obłądnym strachem wcisnął gaz do deski. Nawet gdyby uciekła, odnajdzie ją choćby na końcu świata i już nigdy nie pozwoli jej odejść. Nigdy!

Po siedemnastu godzinach jazdy zajechał na parking

przed centrum ogrodniczym. Był kompletnie wykończony - po tylu godzinach bez snu, podczas których przy życiu podtrzymywały go jedynie końskie dawki kofeiny i strachu. Wszedł do hali, minął kasy i właśnie kierował się ku schodom, kiedy usłyszał za sobą kroki.

- Mitch? Poczekaj chwilę.

Odwrócił się i stanął oko w oko z Jordan.

- Dzięki Bogu, że nareszcie wróciłeś! - zawołała, patrząc na niego zatroskanym wzrokiem. - Od trzech dni próbuję dodzwonić się do ciebie na komórkę.

- Co się stało? - Pod Mitchem ugięły się kolana.

- Kilka dni temu był telefon do pani Munroe. - Jordan z miejsca przystąpiła do rzeczy. - Doris myślała, że chodzi o mnie. Dzwonili z biura podróży, żeby podać ceny biletów lotniczych do Meksyku.

- Czy ona już wyjechała?

- Nie. - Jordan potrząsnęła głową. - O ile wiem, nie. O trzeciej po południu jeszcze tu była.

Mitch rzucił się ku schodom, zaciskając pięści. Czy zdążył na czas? A może jest już za późno?

Na górze przebiegł korytarz i zaczął walić w drzwi Marii. Był tak zdesperowany, że nie słysząc odpowiedzi, chciał włamać się do środka. Właśnie wtedy na końcu korytarza ukazał się Roberto.

Widząc Mitcha, rzucił się ku niemu z radosnym uśmiechem.

- Mitchell! Wróciłeś!

Panika i nadzieja zlały się w jedno. Mitch głęboko odetchnął i próbując nie krzyczeć, zwrócił się do chłopaka:

- Gdzie mama?

Roberto wzruszył ramionami.

- Poszła do kościoła, na mszę o siódmej.

Co robić? Mitch był w rozterce. Jechać za nią czy czekać w domu? Jeżeli za nią pojedzie, mogą się minąć po drodze. A jeżeli się miną, powrót autobusem zajmie jej co najmniej godzinę. W końcu doszedł do wniosku, że nie jest w stanie czekać.

Kiedy dotarł do kościoła, słońce chyliło się ku zachodowi. Drzewa rzucały długie cienie po obu stronach bulwaru. Parking przed kościołem był pełny, więc musiał zostawić samochód na ulicy.

Wszedł do kościoła, bo czuł, że nie wytrzyma, jeśli natychmiast nie zobaczy Marii.

Kościół był duży i Mitch przeszedł połowę nawy, zanim wreszcie ją dostrzegł. Klęczała z pochyloną głową i nawet z daleka mógł zobaczyć, że odmawia różaniec. Miała na sobie prostą, białą bluzkę, włosy związała czarną wstążką. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Po raz pierwszy od wielu godzin był w stanie normalnie oddychać i serce zaczęło mu bić zwyczajnym tempem. Widział, jak Maria podniosła do ust różaniec i ucałowała krzyżyk. Zamknął oczy i nareszcie poczuł, że opuszcza go napięcie. Odnalazł ją, była bezpieczna, a tylko to się Uczyło. Nie dbał o to, jakie łamie zasady, stojąc w kościele podczas mszy - po prostu nie zamierzał się stąd ruszyć. I nie spuszczał wzroku z Marii.

Oparty o ścianę, z założonymi rękami, był po raz pierwszy od wielu dni spokojny. Nie wiedział jeszcze, co

jej powie, miał tylko nadzieję, że jego domysły okazały się prawdziwe. Że Maria rzeczywiście przyszła do niego tamtej nocy, bo chciała mieć z nim dziecko. Że jej na nim choć trochę zależy. Ale co będzie, jeśli się pomylił?

Kiedy msza wreszcie się skończyła, przepchnął się między ławkami, podbiegł do Marii i dopiero wtedy zobaczył, że są z nią Enrico i dziadek Rodriguez.

A niech to! Tego nie wziął pod uwagę! Chciał chwycić ją za rękę i wyprowadzić z kościoła w jakieś odosobnione miejsce, gdzie mogliby porozmawiać w cztery oczy;

Skoro Maria nie jest sama, trzeba zmienić plan. Trudno. Będzie musiał poczekać, aż wrócą do domu.

O ile wcześniej Maria nie pośle go w diabły.

Stanął za nią, chwycił ją za łokieć, a puls natychmiast przyspieszył mu tempo.

Maria zachnęła się, podniosła wzrok i zastygła na jego widok. W jej oczach odmalowało się niedowierzanie, a potem smutek. Patrząc mu prosto w twarz, powiedziała twardo:

- Nie chcę cię więcej widzieć, Mitchell.

No tak! To było do przewidzenia. Mitchowi nagle zrobiło się słabo. Rozpaczliwym gestem chwycił Marię za rękę.

- Mario! - wykrzyknął. - Nie mów tak! Przyjechałem, żeby cię zabrać do domu.

Patrzyła na niego przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem nagle ruszyła do wyjścia. Widocznie szok, jakiego doznała na jego widok, już minął, i teraz

chciała jak najprędzej od niego uciec. Byłby się kompletnie załamał, ale nagle zobaczył, że Maria się potknęła -jakby nie widziała, dokąd idzie.

W samochodzie usiadła z tyłu, obok Enrica, i przez całą drogę milczała z kamienną twarzą.

Na szczęście Enricowi nie zamykały się usta, za co Mitch był mu bardzo wdzięczny. Gdyby nie on, powrotna jazda przebiegłaby w iście grobowej atmosferze.

Po przyjeździe do domu było jeszcze gorzej. Maria ruszyła przodem, ale dziadek zastawił jej drogę i Mitch mógł się wreszcie do niej zbliżyć. Chwycił ją za rękę, zdenerwowany jak nigdy w życiu.

- Nie walcz ze mną, Mario! - krzyknął, kiedy próbowała się wyrwać.

Czując, że nadeszła decydująca chwila, dziadek Rodriguez przytomnie wepchnął Enrica do mieszkania. Mitch poczekał, aż znikną, a potem otworzył drzwi do siebie. Maria znowu zaczęła się wyrwać. Potem uczepliła się framugi, ale Mitch siłą wciągnął ją do środka, zamknął drzwi na zasuwkę, oparł się o nie i wtedy uświadomił sobie, że nie wie, co robić dalej. Maria wyszarpnęła się i ruszyła do kuchni. Nagle gdzieś ulotnił się cały gniew. Mitch zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, co powiedzieć, bo wiedział, że to ostatnia szansa, by z nią porozmawiać. Znowu dopadła go panika - serce zatrzepotało mu w piersi. Co będzie, jeśli się nie uda? Co on wtedy ze sobą pocnie?

Ze stężałą twarzą otworzył oczy i odezwał się głosem nabrzmiałym od skumulowanych emocji:

216

Mario, muszę z tobą porozmawiać.

Maria wyskoczyła do holu. Jej czarne oczy miały błyskawice. Dygocząc z furii, ujęła się pod boki:

- Ale ja nie muszę już z tobą rozmawiać! - krzyknęła drżącym głosem. - Zostawiłeś mnie bez słowa.

Nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie jesteś. Myślałam, że nie żyjesz. - Z oczyma pełnymi łez

wyrzuciła ręce do góry i zawołała: - Co ja ci takiego zrobiłam, że tak mnie potraktowałeś? - A potem nagle ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

Z jakiegoś dziwnego powodu tym swoim atakiem furii rozwiała wszelkie wątpliwości Mitcha. Nagle ogarnęła go porażająca słabość. Maria płakała. To dobry znak.

Nawet bardzo dobry.

Poczuł przyływ energii. Podeszedł do niej i wziął ją w ramiona. Przez chwilę próbowała z nim walczyć, ale na próżno. Po raz pierwszy od dziesięciu dni Mitch czuł, że żyje. Dzięki Bogu, że Maria tak się uniosła. Nie wiedziałaby, jak z nią rozmawiać, gdyby potraktowała go tak obojętnie jak w kościele.

Szlochała w jego ramionach, bijąc go pięściami w pierś, ale on po prostu uwięził w dłoniach jej ręce i nie wypuszczał jej z uścisku. Teraz wiedział już znacznie więcej na temat własnej żony. Gdyby jej na nim nie zależało, nie walczyłyby tak rozpaczliwie. I nagle doznał olśnienia! Przecież gdyby jej na nim nie zależało, nigdy w życiu nie poszłaby z nim do łóżka!

Trzymając Marię w ramionach, zamknął oczy, napawa-

jąc się jej bliskością. Przytknął twarz do jej twarzy i ze ściśniętym gardłem wyszeptał:

- Kocham cię, Mario. Nigdy nie brałem czegoś takiego pod uwagę, walczyłem z tym, ale się w tobie zakochałem. - Zaczerpnął tchu i modląc się w duchu o właściwe słowa, mówił dalej: - Odkąd zrozumiałem, że moje życie spoczywa w twoich rękach, zacząłem się ciebie bać.

Maria zastygła w jego ramionach, a potem odsunęła się lekko, z twarzą zalaną łzami i wyrazem najwyższego zaskoczenia w oczach.

- Kochasz mnie? - wyszeptała. Mitch uśmiechnął się.

- O tak, nawet bardzo.

Zadrżała, a na koniuszkach jej rzęs ukazały się łzy.

- Jesteś tego pewny?

- Absolutnie pewny - odparł z uśmiechem, ocierając jej mokre oczy.

Maria patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem nagle znów się rozszlochała,

- Zabiję cię, Mitchell. Zabiję cię za to, że tak mnie przeraziłeś. - Mrucząc coś po hiszpańsku, przyciągnęła ku sobie jego głowę i namiętnie pocałowała go w usta. W jednej chwili Mitch poczuł, że cały płonie.

Próbował być delikatny, ale Maria nawet nie chciała o tym słyszeć. Chciał się wycofać, ale mu nie pozwoliła. Rozpacz, namiętność i determinacja wzięły górę nad resztkami zdrowego rozsądku.

Poczuł, że jeśli się teraz zatrzyma - umrze.

Na szczęście Marii nawet nie przyszło do głowy, że mogliby się zatrzymać. Z ustami przyciśniętymi do jego warg zaczęła zdierać z niego ubranie. Wtedy Mitch przestał nad sobą panować. I nie chodziło tu o seks - ale o to, by przeżyć. By dwie połówki połączyły się w jedną cudowną całość.

Kilkoma szybkimi ruchami rozebrał ją, a potem uniósł i przycisnął do ściany. Otoczyła go udami i zaszlochała mu prosto w usta, kiedy wdarł się w nią z całą siłą eksplodującej namiętności. Jej paznokcie wbijały mu się w ramiona, a on atakował ją raz po raz; póki, krzycząc, nie doznała spełnienia.

Kiedy przyszła jego kolej, wydało mu się, że otworzyła się pod nim ziemia. Czegoś takiego nigdy dotąd nie przeżył. Poczł się oczyszczony i odrodzony. Jakby się na nowo narodził.

Maria z drzeniem przywarła do niego. Objął ją tak mocno, jak potrafił, żałując, że nie może wchłonać jej w siebie. Był tak wyczerpany, że kolana miał jak z waty.

Gdy wreszcie trochę oprzytomniał, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Tam posadził ją na łóżku i całując w szyję, wyszeptał:

- Kochanie, już cię nigdzie nie puszcę.

Kiedy przywarła do niego, pociągnął ją za sobą. A ona usiadła na nim i znowu przyjęła go w siebie. Zaczął ją pieścić, tym razem delikatnie i czule. Tak by mogła spokojnie nacieszyć się każdą pieszczotą. A kiedy wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi, ten drobny odruch sprawił, że do reszty się rozkleił.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś mi potrzebna - powiedział urywanym głosem. - Jesteś dla mnie cudem, na który nie liczyłem.

Nigdy by nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe, ale Maria jeszcze mocniej się do niego przytuliła i poszukała jego ust, a wtedy wszystkie jego wątpliwości rozwiały się jak dym. Przebaczyła mu! Teraz może już spokojnie czekać na jej słowa, bo jej odpowiedź to będzie dokładnie to, co chciał usłyszeć.

Ten drugi raz był powolniejszy, delikatniejszy i dłuższy. Znacznie dłuższy, ale końcowy efekt był taki sam. Mitch wzlatywał do nieba. Zejście na ziemię z tak wielkiej wysokości zajęło mu bardzo dużo czasu, a jeszcze dłużej trwało, nim wreszcie odzyskał siły. A Maria, odkąd zaniósł ją do łóżka, nadal nie powiedziała ani jednego słowa.

Kiedy wreszcie był w stanie się poruszyć, przekręcił się na plecy, pociągając ją za sobą.

Leżąc na wznak, tulił ją, głaszcząc czule po głowie. Był szczęśliwy, a zarazem taki wyczerpany, jakby uszły z niego wszystkie siły. Uśmiechając się do siebie, wplótł palce w jej włosy.

- Żeby wszystko było jasne, informuję cię, że już nigdy nie pozwolę ci odejść.

Maria zaczerpnęła tchu, a potem cichym głosem powiedziała:

- Jesteś pewny, Mitchel?

- O tak - odparł z naciskiem - absolutnie pewny.

Maria spojrzała na niego. W jej czarnych oczach malowało się powątpiewanie.

- Nie wiem, czy mogę ci wierzyć - wyszeptwała. Mitch przyciągnął ją ku sobie i mocno uściskał.

- Nie mogę cię o to winić. Zachowałem się jak skończony drań.

- Nie jesteś draniem! - zaprotestowała z oburzeniem.

- Ale byłem - westchnął Mitch. - Przez wiele lat wznosiłem wokół siebie mur, którym chciałem się odgrodzić od świata. Musiałem mieć pewność, że nikt nie zbliży się do mnie na tyle, żeby mógł mnie zranić. - Raz jeszcze westchnął, po czym odgarnął jej włosy i pocałował ją w czoło. - Wydawało mi się, że świetnie sobie radzę - mówił dalej - ale tak naprawdę moje życie polegało na ciągłym ukrywaniu się. Musiałem dopiero przejechać tysiąc kilometrów, żeby naprawdę dotrzeć w głąb swojej duszy i sobie to uświadomić. - Poglaskał ją po plecach i znowu pocałował. - Bałem się ciebie; po prostu umierałem ze strachu, bo wiedziałem, że możesz przewrócić moje życie do góry nogami.

Słyszając to, Maria rozplakała się.

- A ja się bałam, że cię straciłam.

Mitch poczuł podejrzaną wilgoć pod powiekami. Zamknął oczy i zaczął kołysać ją w ramionach.

- Nie musisz się tego obawiać, Mario. Odtąd zawsze będziemy razem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Potem Mitch pozwolił jej się wypłakać i tylko od czasu do czasu ocierał jej łzy. Kiedy się trochę uspokoiła, odezwał się:

- Wyjdź za mnie, Mario.

Zamarła, a potem wzięła głęboki oddech.

- Przecież jesteśmy już małżeństwem.

- Ale nie tak, jak bym chciał - mówił dalej Mitch, głaszcząc ją kojąco po głowie. - Zaslugujesz na prawdziwy kościelny ślub z księdzem.

Maria wysunęła się z jego objęć i usiadła, ocierając oczy jego koszulą, którą potem na siebie narzuciła.

- Nie chcę innego ślubu - wyszeptwała, głosem nabrzmiałym od łez.

- Czemu nie? - przeraził się Mitch. Unikając jego wzroku, wzruszyła ramionami.

- Bo ten, który miałam, bardzo mi się podobał.

Nie brzmiało to całkiem szczerze, poza tym nadal nie chciała spojrzeć mu w oczy. Mitch obrócił ku sobie jej twarz.

- Dlaczego?

Popatrzyła na niego, a potem spuściła wzrok.

- Przed naszym ślubem poszłam do księdza - powiedziała po chwili. - Wiedziałeś o tym?

- Nie - odparł, ścierając jej z policzka resztki łez. Maria chwyciła go za rękę.

- Myślałam, że nasze fikcyjne małżeństwo to grzech. Powiedziałam o tym księdzu. A on mnie zapytał, czy cię kocham. - Uniosła wreszcie głowę i spojrzała na niego

płonącym wzrokiem. - Powiedziałam mu, że bardzo cię kocham.

Mitch odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Zamknął ją w uścisku i tulił z bijącym sercem, a w głowie kręciło mu się ze szczęścia. Maria go kocha! Już wtedy go kochała!

Muskając koniuszkami palców jego twarz, wyszeptała:

- To dlatego nie chcę innego ślubu, Mitchell. Wystarczy mi ten, który miałam.

- Ach, Mario - powiedział schrypniętym głosem. - Co takiego zrobiłem, żeby sobie na ciebie zasłużyć?

Uściskała go, a potem, śmiejąc się cicho, odparła:

- Pewnie bardzo dużo złych rzeczy, Mitchell. Nie jestem dla ciebie żadną nagrodą.

- Jesteś, jesteś-zapewnił ją, jakby właśnie ofiarowano mu jakiś bezcenny skarb.

Maria odsunęła się i popatrzyła na niego. Poły koszuli rozchyliły się, odsłaniając nagie piersi.

- Nie jestem - powiedziała z uporem. - Jestem bardzo uparta. Mam okropny charakter. Boję się, że mogę zmienić twoje życie w piekło.

Mitch poczuł przypływ bezmiernej ulgi. Zrobiło mu się lekko na sercu. Nagle obudził się w nim duch przekory. Głaszcząc ją po głowie, powiedział śmiertelnie poważnym tonem:

- Nigdy tego nie zauważyłem.

- Nie umiesz kłamać, Mitchell - powiedziała z uśmiechem. - Widać to po twoich oczach. - Nagle spoważniała

i chwyciła go za rękę. - Muszę ci jeszcze coś wyznać. - Podniosła na niego oczy. - Tamtej nocy, kiedy przyszedłam do ciebie... ja wtedy nie uważałam.

- Wiem - odparł z uśmiechem, ujmując jej dłoń w swoje ręce. - Wiem.

- Wiedziałaś o tym? - W oczach Marii pojawiły się błyski. Mitch puścił jej rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Tak, ale teraz chciałbym, żebyś mi powiedziała, dlaczego.

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby się jeszcze wahała, a potem odwróciła wzrok.

- Myślałam, że nasza umowa dobiegła końca - powiedziała cicho - że będę musiała wrócić do Meksyku. Ale - głos jej przeszedł w szept - chciałam zabrać ze sobą twoje dziecko.

Mitch uniósł ku sobie jej twarz i patrząc w oczy, powiedział:

- Dam ci dziecko, kiedy tylko zechcesz. I tyle, ile zechcesz. - Obwiodł kciukiem jej usta. - A może to już się stało?

Maria potrząsnęła głową.

Mitch złożył na jej ustach zaborczy pocałunek, a potem opadł na wznak, pociągając Marię za sobą.

Tuląc ją, zanurzył palce w jej włosy.

- Wolałbym, żebyśmy mieli trochę więcej czasu tylko dla siebie - powiedział - ale jeżeli dzisiejszej nocy zaszłaś w ciążę, wcale mnie to nie zmartwi. Mój plan w stosunku do ciebie wygląda tak - naga, bósa i w ciąży.

Maria uniosła głowę, dała mu kuksańca w zebra, a w jej oczach pojawił się błysk.

- To ci się nie uda, Mitchell. - Nagle dotarło do niej, że Mitch z niej żartuje, i boleśnie uszczypnęła go w ramię. - Jesteś bardzo złym mężem. Lubisz mnie denerwować.

- Owszem, lubię - przyznał, głaszcząc ją po karku. Maria zgromiła go wzrokiem. Zadrżała lekko, a na jej

ramionach ukazała się gęsia skórka. Mitch odsunął się i podniósł okrywające go prześcieradło. Na jego ramieniu widniał okazały siniak.

- O Boże ! - przeraziła się Maria. - Co ja zrobiłam! Mitch objął ją i szybkim ruchem wciągnął pod prześcieradło.

Unieruchomił ją pod sobą, a potem nachylił się i pocałował ją w usta.

- Chcesz mnie jeszcze? Niestety, jak widzisz, jestem wybrakowany.

Maria dotknęła jego policzka i z czułością w głosie powiedziała:

- Chcę. Przecież to część naszej umowy.

Mitch nachylił się i znowu ją pocałował, czując, jak mięknie w jego objęciach.

To nie było żadne fikcyjne małżeństwo. To był najprawdziwszy cud.

EPILOG

Drzewa i krzewy nad strumieniem stały w jesiennej krasie - osika i brzozy przyodziane w złoto, wikliny nakrapiane czerwienią, głogi i tarniny spowite w karmazyn. Dzikie trawy przybrały odcienie brązu i rdzy, od których jaśniejszymi plamami odcinały się opadłe liście w kolorze palonej umbry. W kryształowo przejrzystych wodach strumyka odbijały się promienie słońca. Po lazurowym sklepieniu nieba przemykały białe obłoczki. Nostalgiczny zapach jesieni mieszał się z cierpkim dymem z ogniska, który siwymi kłębammi rozpląwał się pośród tej feerii kolorów.

Mitch leżał oparty o pień potężnej topoli. Pod plecami, mimo grubego rybackiego swetra, czuł szorstką rzeźbę kory. Z rozleniwionym uśmiechem patrzył na gromadkę rozbrykanych siostrzenic i siostrzeńców, którzy puszczali na wodę miniaturowe łódeczki.

Strumyk był o tej porze roku bardzo płytki, mimo to nadal stanowił główną atrakcję dzieci. Papa Munroe stanął na straży rozdokazywanej gromadki, ucząc przy okazji Enrica łowić na muchę. Mitch uśmiechnął się do siebie.

Jego przybrany syn robił olbrzymie postępy. Już teraz potrafił zarzucić muchę jak wytrawny wędkarz. Zwracając wzrok na maluchy, Mitch znów się uśmiechnął i zadał sobie pytanie, ile jeszcze trzeba czasu, żeby synek Murphy'ego, Erie, przegonił swoich kuzynów. Już wkrótce chłopczyk zacznie bez strachu wchodzić do strumienia i baraszkować w wodzie jak starsze dzieci.

Nad łąką rozbrzmiewały wesołe okrzyki, odbijając się echem od gąszczy starych drzew. Dziecięce głosiki dźwięczały w raeńskim, jesiennym powietrzu. Pozostała część rodziny grała w siatkówkę - panowie przeciwko paniom, a sądząc po gromkich wybuchach śmiechu i podniesionych głosach można było przypuszczać, że panie nie zawsze przestrzegały zasad gry. Tak więc wszystko było w normie.

Na twarz Mitcha padł cień. Nie odwracając się, chwycił żonę za rękę i pociągnął na ziemię. Maria próbowała się opierać.

- Mitchell - zganiała go - muszę teraz pomóc twojej matce. To nieładnie zaprosić wszystkich na piknik, a potem zostawić jej całą robotę.

Mitch udał, że jej nie słyszy, i pociągnął ją tak, że wylądowała mu na kolanach. Kiedy oparła się o jego pierś, wsunął jej ręce pod żakiet i mocno ją uściskał.

- Moja matka nie potrzebuje pomocy. I nie ma nic do roboty. Patrz, zdejmuję pokrywki ze wszystkich półmisek, żeby zobaczyć, co inni przynieśli, i spróbować wszystkiego po trochu. - Mitch przytulił policzek do po-

liczka Marii i razem patrzyli, jak jego matka zagląda do pojemników porozstawianych na piknikowym stole. Zachowywała się dokładnie tak, jak przewidział Mitch. - Widzisz? A nie mówiłem?

Maria ze śmiechem wtuliła się w jego ramiona. Oparła mu głowę na ramieniu i nakryła dłońmi jego ręce.

- Nie powinieneś się wyśmiewać ze swojej mamy.

- Ja się wcale z niej nie śmieję. Ja tylko stwierdzam fakt.

Maria odwróciła się i przycisnęła twarz do jego twarzy. Mitchowi nagle coś się przypomniało i serce żywiej zabiło mu w piersi.

Choćby żył i sto lat, nigdy nie zapomni tego deszczowego poranka, dziesięć dni temu. Wszedł zaspany do łazienki i zobaczył Marię z ciężowym testem w ręku. Na jej twarzy malowały się zaskoczenie i lęk. Potrzebował niecałej minuty, żeby zrozumieć, co się stało. Przez ostatni miesiąc był tak zajęty, że nawet nie zauważył opóźnienia. Nigdy też nie zapomni uczucia, jakie go ogarnęło, gdy sobie uświadomił, że będą mieli dziecko. Na samą myśl o tym czuł dziwny ucisk w gardle.

Zamknął oczy i mocniej przygarnął do siebie Marię. Boże, był taki szczęśliwy! Maria diametralnie odmieniła jego życie. Nie było takiego dnia, żeby nie dziękował gwiazdom za to szczęście, które go spotkało. Nie potrafił zrozumieć, jak w ogóle mógł bez niej żyć. A teraz miała obdarzyć go najwspanialszym prezentem, jaki mógł sobie wyobrazić. Wprawdzie nadal doprowadzała go do szału

i wciąż wybuchały między nimi kłótnie, ale była częścią jego samego, bo nie umiał tego inaczej określić. Odkąd byli razem, inaczej patrzył na świat.

Zaczął ją kołysać w ramionach, a potem położył dłoń na jej brzuchu.

- No i co? Jak się czujemy, mamusiu? - zapytał przytłumionym głosem.

Maria ujęła go za rękę i głębiej wtuliła się w jego ramiona.

- Czujemy się dobrze, Mitchell - odparła, tłumiąc śmiech. - A jak ty?

Mitch roześmiał się.

- Ciągle jeszcze jestem oszołomiony. Maria dała mu klapsa w rękę.

- Nie jesteś oszołomiony, tylko otumaniony.

Mitch z uśmiechem wtulił twarz w jej włosy. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby użyła tego słowa.

Widocznie „otumaniony” było nowym słówkiem na ten dzień.

- Mitchell?

- Hm?

- Nie przeszkadza ci to, że jeszcze nie powiedzieliśmy nikomu o dziecku?

Nie planowali dziecka tak szybko, ale była to tak radosna niespodzianka, że chcieli się nią nacieszyć tylko we dwoje.

- Nie, kochanie - powiedział, czule ją ściskając. - Nie. Ani trochę mi to nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, nie dojrzałem jeszcze do tego, żeby im zakomunikować tę nowinę.

Maria położyła mu głowę na ramieniu i mocniej ścisnęła go za ręce. Mitch zamknął oczy. Ogarnęła go fala wzruszenia. Maria... Jego kobieta... Jego żona...

Nawet rodzinne spotkania przestały go irytować. Nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób Maria tego dokonała, a jednak udało jej się wytworzyć pewną strefę buforową, tak że niemal z dnia na dzień przestał się ich obawiać. Oczywiście nie bez znaczenia pozostawał fakt, że rodzina nie mogła mu już dokuczać z powodu jego kawalerskiego stanu. Teraz wszyscy przerzucili się na Camerona, który niedawno wrócił z Ameryki Południowej. Mitch szczerze współczuł młodszemu bratu.

W życiu Mitcha zaszły również inne zmiany. Chciał, żeby Murphy wybudował im duży dom w jednym z nowych osiedli w pobliżu centrum ogrodniczego, ale kiedy przyniósł plany, Maria wpadła w szal. Nie chciała ani nowego domu, ani przeprowadzki. Nie - i już! Powiedziała, że nie ruszy się ani na krok, a jeśli Mitch chce mieć nowy dom, może się sam do niego przeprowadzić. Mitch starał się jej łagodnie wytłumaczyć, że męczy go wnoszenie coraz większej ilości zakupów na piętro, na co Maria zaproponowała mu, żeby się zaczął stołować „U Joego”.

Kłócili się przez całą noc, aż do rana, ale Mitchowi nie udało się jej przekonać. Maria nie chciała nowego domu. I pewnie do tej pory by się spierali, gdyby nie to, że Maria nagle wybuchnęła płaczem i wśród szlochów wyznała mu, że jej pięknym nowym domem są „Słoneczne Ogrody”. To raz na zawsze zamknęło temat przeprowadzki.

230

Oboje za to zgodzili się, że nie mogą dalej mieszkać całą piątką w dwóch małych mieszkanekach. I tak powstał projekt gruntownej przebudowy piętra nad sklepem. Remont, prowadzony przez firmę Murphy'ego, miał się zacząć zimą, kiedy skończy się sezon w centrum.

- Mitchell?

- Tak?

- Chłopcy świetnie sobie radzą, prawda? Jak myślisz, chyba już się zaaklimatyzowali?

Maria nadal nie przestawała się martwić o swoich pasierbów. Bała się, czy będą potrafili bezboleśnie zaadaptować się w nowych warunkach. Choć sama widziała, że doskonale sobie radzą, potrzebowała od czasu do czasu zapewnienia, że podjęła właściwą decyzję.

Mitch z uśmiechem pocałował ją w szyję.

- Kochanie, oni są bardziej kanadyjscy niż większość Kanadyjczyków. Obawiam się, że nawet siłą nie udałoby ci się odesłać ich do Meksyku.

Maria klasnęła w ręce.

- Jesteś takim dobrym ojcem, Mitchell - powiedziała łamiącym się głosem.

Mitch znowu położył jej rękę na brzuchu. Nawet sobie nie wyobrażał, że można kogoś potrzebować tak, jak on potrzebował Marii.

- Mitchell?

- Tak?

Maria przywarła do niego i szepnęła:

- Myślę, że powinniśmy wrócić na chwilę do domu i odpocząć.

Mitch roześmiał się i przesunął dłoń niżej, darząc Marię intymną pieśczęcią. Dobrze wiedział, do czego zmierzała.

- Myślałem, że chcesz pomóc mamie. Martwiłaś się, że ma tak dużo roboty.

Zanim się obejrzał, Maria poderwała się i chwyciła go za rękę. Stała pod słońce, otoczona świetlistą aureolą. Mitch nie mógł oderwać od niej oczu.

Wiatr dmuchnął jej włosami w twarz. Chwyciła długi kosmyk i odgarnęła go za ucho, a potem uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Przecież sam mówiłeś, że twoja mama nie ma nic do roboty. - Zaczęła go ciągnąć za rękę. - Chodź, Mitchell!

Wiedząc, że ich wyjście zostanie natychmiast zauważone i skomentowane przez resztę rodziny, Mitch postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Błyskawicznie chwycił Marię pod kolana i posadził z powrotem na trawie. Nim zdążyła się zorientować, już leżała na wznak.

Mitch spojrzał na nią z góry, z uśmiechem.

- Nie słuchasz mnie, Mitchell - powiedziała z wyrzutem.

Na ścieżce pojawili się Murphy i Jordan. Patrząc na Mitcha i Marię, brat uśmiechnął się, a potem otoczył ramionami swoją bardzo już grubą żonę.

- Żadnych przepychanek - powiedział. - Znacie zasady mamy.

Mitch z błyskiem w oku spojrzał na Marię.

- To nie są żadne przepychanki - oświadczył. - Mamy poważny problem. Ja uważam, że powinniśmy zostać do końca pikniku, ale Maria chce wracać do domu i...

Nie dokończył, bo Maria uklękła przed nim i obiema rękami zatkała mu usta.

- Mitchell! - powiedziała groźnie, choć w jej oczach błyskały wesołe iskierki - twój brat nie ma ochoty słuchać o naszych problemach.

W oczach Murphy'ego ukazał się nagły błysk zainteresowania.

- Ależ chcę!

Jordan wybuchnęła śmiechem, złapała męża za rękę i odwróciła się.

- Chodź, mój kochany. Te problemy ciebie nie dotyczą. Murphy zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

Nie przestając się uśmiechać, zaczęła go po prostu ciągnąć.

- No bo tak.

- Co to za odpowiedź?

Jordan nadal szarpała go, jakby byli parą psotnych chłopaków.

- Innej nie usłyszysz.

Mitch miał ochotę się roześmiać, ale Maria nadal zatykała mu usta. Chwycił ją za nadgarstki i odciągnął jej ręce od swojej twarzy, a potem pociągnął ją do siebie. Leżała teraz przed nim, zdezorientowana, patrząc na niego z wyrzutem. Mitch nachylił się i pocałował ją w usta.

- No to jak, pani Munroe? Nadal chce pani iść do

domu? A tak, dla waszej informacji - zwrócił się do brata i bratowej - jeżeli pójdziemy do domu, postaram się dobrze wykorzystać to miłe sam na sam z moją żoneczką. A trzeba wam wiedzieć, że ona ma olbrzymie wymagania.

Z potarganymi włosami i policzkami równie czerwonymi jak jej żakiecik, Maria podniosła na niego roześmiane oczy. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ust.

- Ale z ciebie niedobry mąż! A do tego kłamczuch! Nie jestem wcale wymagająca.

Mitch wyciągnął się obok na trawie, opierając się na łokciu, i z uśmiechem odgarnął Marii z czoła niesforny kosmyk.

- Jesteś, jesteś. To cud, że nie budzisz przy tym dziadka. Maria znowu spłonęła rumieńcem, a potem dumnie uniosła głowę.

- Dziadek nigdy nie słyszy takich rzeczy. - W jej oczach ukazały się figlarne błyski. Obwiodła palcem usta Mitcha, a potem nawet miała czelność go pouczyć. - Jak by to wyglądało, gdybyś zostawił teraz twoją rodzinę? To byłoby bardzo niegrzeczne.

Mitch nachylił się i obdarzył ją długim, zaborczym pocałunkiem, zdecydowanie nie przeznaczonym dla szerszej widowni. Maria zachłysnęła się, otworzyła usta, szarpnęła go za włosy i nagle zmiękła w jego ramionach.

Przerwał w połowie pocałunek i poderwał się na nogi, pociągając ją za sobą.

Piknik, nie piknik - pewnych spraw odkładać nie wolno. Na przykład kochania się z własną żoną w piękne jesienne popołudnie.

234

Mitch ruszył ścieżką w tóerunku domu, ciągnąc za sobą Marię, która usiłowała dotrzymać mu kroku. I co najdziwniejsze - nawet nie próbowała się z nim kłócić!

Zresztą, czemu miałyby to robić? Czyż ich małżeństwo nie było wynikiem umowy?